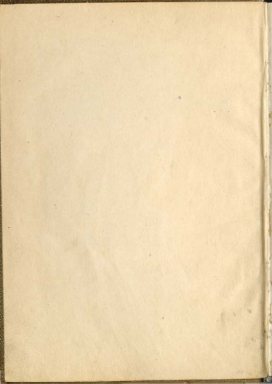


Powiatowa Centrala
Bibliotek Ruchomych
w Suwałkach.







JAN WIKTOR

BUREK



WYDAWNICTWO „PŁOMIEN”
KSIĄŻNICY NAUKOWOPEDAGOGICZNE

WARSZAWA

WARSZAWA: Z. WAWRZENOWICZ, UL. PIERNA 16B
ŁÓDŹ: K. PAWLAK, KSIĘG. „CYTAJ”, UL. DZIELNA 3
LWÓW: ST. KOHLERA SPADKOW., UL. BATOROWA 7B

TEGOŻ AUTORA :

OPORNI. Wydawnictwo Polskie. Lwów (wyczerpane).
PRZEZ LZY. Bibl. Polska. Warszawa.

W przygotowaniu :

SZAŁ NA PROGU ŚMIERCI
LEGENDY O GRAJKU BOŻYM
W OPUSZCZONEJ PUSTELNI
Z PODWÓRZA.
MALI PRZYJACIELE (dla młodzieży)



I Drukarni Jana Łazora w Poznaniu

Przyjacielowi serdecznemu

Bolesławowi Goliowski



CZEŚĆ PIERWSZA



str. ks. ius. 1990

Na podwórzu Kowalika, w kącie, między worow-
nią a stajnią, stała budą sklecona z kilku ob-
ciosanych desek w kształcie pudła. Tę pojedynczą,
ale wygodną, słomą zaścieloną, siedzibę, zajmował
Burek, rwykły, podwórzowy kundel, średnio rozro-
śnięty, krępy, zbudowany z mięśni krzepkich, niby
stał. W dnie chłodne zakopywał się w barłotysku,
spal rozkosznie, o niczem nie myśląc, w dnie zaś
pogodne umieszczał syte ciało na płaskim dachu i tu,
niby na plaży, oblewany strumieniami ciepła, zatywał
słonecznej kąpieli. Jako wsiołskiprostak niewiele dbał
o wygląd zewnętrzny, to też w pomierzwionych jego
kudłach wiele było widr, paździerz, ździebeł słomy,
paprochów. Mimo tego zaniedbania uchodził wśród
psiej piękności za miłego towarzysza zabaw, a to
z powodu wyszczerkania, bezcelnej odwagi i ra-
dości życia, jaka w nim kipiała. Życie dla niego było
zabawą, wyczynianiem psot, awantur. Myślałby kto,
że zerwa i się z uwiązania piekła, aby brnąć, szaleć
na padol e ziemskim. Ten paliwoda, pędziatr, urwi-
poleć, znany powszechnie po okolicznych obsiadłac b
z wybryków, umiał też samienne pićnować mienia
powierzonego jego pieczy i rzetelnie spełniał obo-
wiązki stróża. Do strzeżonej zagrody nikomu nie
pozwolił przystąpić. U Gębali ktoś jałówkę, wartającą

ze sto papierków, ze stajni wyprowadził, u Łozgi, z końca, w biały dzień wyniosło z komory sadło i poleć słoniny, znów u Madeja, z Zapola, chyba pół kopy żyta, a wymłóconej pszenicy dobry korzec. Nie było nocy, aby kogoś nie okradziono. Rano wokół rozlegały się płacze i przekleństwa. Kowalikowi jednak nigdy nic nie brakowało. Bo też Burek był niezrównanym strótem. W nieprzeniknionej ciemności czował z nastawionemi uszami i odemkniętym wędchem. Niechby galą zaszemrała, a on już się ruszał i czujnie nadsluchiwał. Czasem, ot tak dla postrachu, poszczekiwał. Złodzieja zdaleka zwietrył, narobił piekielnego gwału i przeplaszał poza dęciąty płot, zostawiając na ciele pamiątki bolesne. Niejeden je nosił. Mimo płachy, czy kurzawy, obchodził całe gospodarstwo, zaglądał w każdy kąt i węszył, czy ktoś nie chce uszczknąć własności, powierzonej jego rębcom. Kiedy nie dostrzegł nic podejrzanego, kładł się w swoim legowisku. W pogodną noc cisza go rozmarzała i snił o misce omaszczonej skwarkami i o miłości, będącej skwarkami tycia. Spał jednak tak czujnie, że go badał szelest liści, echo przyciszonych kroków, przez podmuch przyniesiony w ciepoci do czuwających uszu.

Za pilność szczerze go ludzie wynagradzali. Nigdy nie zasmakował biedy. Dobrze nakarmiony, tył bez troski. Na barki nie zwały się strapienia rodzinne, nie pieklowała baba nad uszami, a ojcostwo jego wiatrami gnało. A dzieci? E suk! pamięci nie mają i nie napędzają ojca zębami do nich, aby krał strawę, jak nie przymierzając lis kuroduś. Za wygodne tycie, za opiekę, umiał się ludziom odwdzięczać. Nie zawsze jednak w równej mierze. Miał też swoje muchy w nosie. Ni stąd ni zowąd coś go podleciało

i rozpuszczał się, jak dziadowski bicz. Ledwo go o śmierchu spuszczano z łańcucha, już znikał bez śladu. O tych wycieczkach szerzyły się bajki, wywołujące rumieniec u skromnych, uśmiech poblatania u starszych, u młodszych zaś westchnienie tęskne, pytania potądliwe i spojrzenie, pragnące ostarowad i kwiatami uwielbień zasłać drogę do łoża rozkoszy. Co się działo na okolicznych polach, to ty psie nad psami, co wszystko widaćś, ale gorsz się, ale najgłówniejszem szacunkiem pochwał najmilszego syna swego i nie pamiętaj awantur, dokonanych ku czci płci nadobnej. Burek bowiem, choć tył z wszystkimi w przyjaźni, ale swego babciska strzegł rzetelnie i nie pozwalał byle niepbniowi korzystać ze skarbcza miłości. Niesposób zliczyć bijatyk, zwycięstw. Sława ich rozleciała się po wszystkich podwórzach w skowytach pobitych i w sercach suk wybranych. Zwykle wracał do domu przed świtem. Zapewne w drodze rozdały się wyżsoty sumienia. Chcąc je przytępić, udawał ogromną gorliwość. Oblatywał najciemniejsze zakamarki dziedzińca, obszczekiwał Bogu ducha winne drzewa i pędem gnał, ujadając w rozmaitych miejscach. Robił tyle wrzasku, tak hałasował, tak gwałcił, tak piekłował, jakby przepłazał na koniec świata niezliczoną gromadę złoczyńców.

Zbudzona Kowalkowa szarpała męża.

— Jadom, wyfrzyj no na dwór, ktoś włoż, bo Burek socko.

— Doj matka pekkój — przęt ten zachnął się

— Wyfrzyje nie słysys — mocniej targnęła.

Kowalik tał pięciami oczu, siewał i mamrotał nieprzytomnie.

— Idźno, oboc prądnioku, bo cię pociokiem wyżeńś, nie słysys, jak strasnić wydzwiwo.

— O strasznie wydziwio — — pewnikiem ma
coś — no, ale mię śpiak zmorzył. — — Chłopisko
stękał, kwękał Nijak nie chciało mu się ruszyć z pod
cieplej pierzyny, więc sam siebie i babę uspokajał.
— Nie bój się nic, już ci sprawi się ze złodziejem,
do st som radę, nadrze mięsa komu potrzeb. Taki
pies... do se radę...

Wycieczki nocne powtarzały się nieraz przez
tydzień. W tym czasie żadna awantura nie obe-
szła się bez jego uczestnictwa. Wszystkie dnia-
dygi, latając pod budą, sparszywiały w cności saki,
zagrane przykładem burka gotowe były na najwięk-
sze niebezpieczeństwa. Dość padło wyszczekanych
przekleństw, dość ludzkich pomstowań. Zawsze i nie-
omylnie wskazywano na Burka, jako na sprawcę
szkód. Słychać było wrzask na całą wieś

— Kowalików pies wystroił.

— A cyjażby. Chyba djabel, nie pies.

Poszkodowani szli ze skargą

— Jadanie — dzisiaj z gorzka wywlókl kawał
śtaki.

— A miłe szmaty potar mosił

— ●, patrzcie, co ~~zrobił~~.

— A ktoś wam to zrobił?

— A ktośby inny, jak nie was pies

— Mój? — dziwił się Kowalik.

— Was...

— Jezusieńku Nazareński — no dyć leży na
łańcuchu uwiązany.

— Jo ta nie wiem, co robi, ale wiem, że to on.
Cuję jesce jego zębce. Mo też kielcyska zorara,
mo...

— Skoranie boskie z takim piekielnikiem, już
nie wiem, co robić — biadał Kowalik.

— Powiem wam kumie prawdę, pies dobry, n' ma co mówić, ino lajdus.

— Utrafilicie. nima co mówić, dobry ino lajdus.

Kowalikowá zaś z dumą patrzyła na Burka, jak matka, która słowami karci, ale spojrzeniem do serca przytula miłego bultaja.

Gospodarz jednak nie na zarty zabierał się do skóry. Niewiele to pomagało. Na psie wszystko przyszło. Ukarany dalej broił, psocił, awanturował, będąc niewyczerpanym w pomysłach.

O, co daleko szukać, dopiero wczoraj..

Zniknęły ostatec obłoki, przepejone odhlaskiem zachodu i pyłem, spieczonym skwarem dnia. Padł zmierzch. Ludzie wrócili z pola. Każdy jeszcze czynił jakieś obrządki w gospodarstwie. Kowalik zajrzał do stajni, nasypał do słobu obroku, pogładził czule źrebie, obtarł wiechciem bok kobyły. Obok dreptał Maciuś. Na potęganie do każdego stworzenia czule przemówił, następnal do uszu słodkich słów. Krowy, konie odwracały lby i uśmiechały się do malego, jakby ich poczęstował samym owsem. Za nim walczał się Burek. Po obejrzeniu gospodarstwa razem wrócili do izby. Domownicy już wieczerali przy świetle ognia, płonącego „na koninie“. Dzieci, siedząc na polepie glistasnej, pojadaly z wielgachnej michey. Rozodziani koniarze, którzy za „błędowską górką“ wyściapali łąkę, w uroczystem milczeniu wygarniali kłuski z mlekiem. Na widok mlaskających pies oblizywał się potądliwie. Oczami odprowadzał każdą łytkę, ginącą w czelnościach ust. Czasem zaskoczał, niecierpliwie zadreptał. Kiedy laskotająca woń wionęła, oblizal się. Niewysłuchany i rozczarowany, kładł łapę

na kolanach i na swój sposób pokornie prosił o jakiś ochlap.

— Cóż mi tak licha kocha tę łyską? — zalujeś mi jedzenia? — no i ty się pacyw — — ktoś wysłuchał błagań i na odcipekę szmyrgnął mu jakiś kęs.

Burek w locie chwycił, laperzywie polykał i znów patrzył dalej, jakby chciał rzec, że to dla niego okruszyna nic nie znacząca, nie warta zachodu.

Gospodyni nie zwracała ~~wzglądu~~ Burka. Wciąż kręciła się po kuchni. Tu coś rzekła, zachęcając do jadła, podsunęła pajdę chleba, to znów tam dolala, aby nikt nie odchodził niesyty i aby potem nie obnosili jej na językach po wsi, że choć bogaczka, a morzy głodem najemników. Niby wstydliwie wrbitali się, jakto każe wsiowski zwyczaj, ale godnie, dokumentnie wypróżniałi donicę. Najedzeni, składali łyżki spodkieni do góry, aby złe licho nie potywiło się zabierali węzłki i Panem Bogiem żegnali. Po odejściu ostatniego Kowalikowa cupnęła na progu, teleżniak wzięła między kolana i pojadła, bacznie na wszystko patrząc. Burek teraz przysiadł przy gospodyni, jakby strażnik czujny, pilnujący każdej łyżki. Co mogła, to ma cięnęła.

— Nawet zjeść nie dos spokojnie. No, weź już wsyćko. — Wysypała mu na miszkę.

Burek, wylizawszy do ostatniej okruszyny kaptusę z ziemniakami, jeszcze skuczał prosząco. Gospodyni na dobre rozsterdzona chwyciła za polano.

— Jeszcze się mało nazar, bestyjo okowano.

Pies wziął ogon pod siebie i co sił uciekał. Zdawał się wolać:

— Cóż to tyle, co to tyle.

Na podwórzu panowała cisza. Wszystko spracowane stworzenie usnęło, aby skoro świt zerwać się

do nowego zjawia. Na niebie, zawiązanem mgiełkami obłokami, migotały rozproszone gwiazdy, podobne do kropeł potu, rozsianych przez roboczy dzień. Z poza ciemnej ściany lasu wychylił się rąbek księżycyca, zrazu nie wielki, szedł nisko, potem coraz wyżej. Na sklepienie wytoczyło się jasne, wypolerowane kolisko, wytopione ze srebrnej rudy. Barka przejęło niewytłomaczone uczucie, ogarniające psią duszę od wieków. Siadł na środku dziedzińca, wyciągnął szyję i zawył tak rozpaczliwie, jakby chciał wypłakać nieutulony żal, zatapiający serce bolejącami łzami, jakby w tym przeraźliwym głosie chciał rzucić w twarz dalekiego, zimnego widma wszystko cierpienie. W tej chwili nikt nie poznałby pustegoswawolnika. Zupełnie zmieniły go niemiłe siły żalności, bólu czy tęsknoty za czemś wielkiem, nieziemskim. Zamilkł dopiero wtedy, kiedy chmura spowila w czarną chosnę tarczę miesięczną. Świat potemniał. Pies otrząsł się z dreszczów. Oblediał podwórze, obwąchał każdy kąt. Słyszał jakieś szepty. Biegał pomiędzy temi głosami strwożony. Nic podejrzanego nie zauważył. Nudziła go bezczynność. Około północy wymknął się wiadomą sobie dziurą w płocie i mało uczęszczaną ścieżką podążył w pole. Obok stodoły Zielińskiego zawiął go powiew niezmiernie miły. Zawinał nosem potężny niuch zapachu, wciągnął głęboko, na samo dno pierś, długo kosztował, smakował i z lubością orzekł, że to musi być świeżo wędzona kiełbasa.

— A juscie, przecież zabili wieprzka — mruknął do siebie z radością, pełną nadziei.

Dopiero wczoraj słyszał kwik z tej strony.

Na to przypomnienie mlasnął rokoszenie. Jął się obliżywać, bo doznał wrętenia, że kawał mięsiwa

przygłął do górnej wargi, znow zadarł leń, bo zdawało mu się, że jest w komorze, a nad ním, na cząstkach, wiszą zwoje kielbas. Głupio mu się zrobiło, że tarloczne zmysły haniebnie go oszukaly. Niecierpliwie począł szukać nie zładnego pozoru, ale czegoś rzeczywistego, czegoś co mógł podziwiad paszczką ku radości brzucha. Obiegl kilkakroć stodołę. Wrota były zamknięte.

— Zapole puste, wiatr ino gwizdo, nie dźwota, ~~przecie~~ jeste zboże nie zwieli — mroczal, przykladając nos do ścian słabo spojonych

— Oho jest -- po chwili wykrzyknął, o mało nie pogłaskal się po żywocie, taka go lubość przejęła.

— Ino, jak się bań dostać. Mocno zawarli. Wszelko chcieliby zerzyć. Niedoczekanie ich. Cóż, ino ony mają kaldun do napchania? Miśka lokozdego równo.

Próbował odchylić deski, drapał pazurami, szarpał zębami. Każda była mocno przybita.

— No, bedziemy widzieć, kto mocniejszy w pysku i rozumie. Jo stąd nie odyjdę z pustym brzuchem. Musę mieć, co mi się należy, to trudno i darmo

~~Próbował~~ szaleńczych wysilkach smutnie stwierdził.

— Nic nie pomoze. Człowiek ma lepsze pazury w pomysłenia. Nie puszą mię na boisko.

Stał bezradny ze zwieszonym łebem. Naraz błysła szczęśliwa myśl.

— Chyba mię nie zasją. Jo też mam głowę na karku. Ale som nie dom rady.

Zaszczekał potężnym głosem.

— Pójdźta haw, kto żyje i kto uciechę chce mieć.

W rozmaitych stronach oderwały się szczerkania — Co chcesz?

— Pójdźta, to obocyta — odkrzyknął.

Ode dworu przybiegła pierwsza Figa. Drobną, czarną, wychowaną na pańskich pokojach, całodziś trzymaną w zamknięciu, a tylko w nielicznym czasie ujęła, szukając przygód z hołotą wiejską. Do Burka, do którego czuła słabość serca, zbiłała się w pociesznych, powabnych podskokach, wdzierając się oczami, strojąc najzabawniejsze miny paszczką i ogonem.

Burek, zaprzątnięty swoją sprawą, zupełnie nie zwracał uwagi na zalotne spójrzenia, na miłosne przymilania. Suczka, zawiedziona w nadziejach, damnie podniosła łeb, rozsierdzona jawnie okazywała obojętnością, burknęła ostro.

— Czegdźta tak wrzeszczysz — mógłbyś inaczej się zachowywać, nie jestem przyzwyczajona do barłogu — już się zabierała do odwrotu.

Burek mrugnął na nią porozumiewawczo,

— Nie kręć nosem grymaśnico, a uwosoj... Wsyćko po porządku będzie. Trzeba brzuch napchać, a potem go tłustością kochania omaścić.

Nieco złagodniała.

— Czt więc chcesz.

— Kto mo kiel do wężania, niech wężo, a będzie o wsyćkiem wiedziol.

Wciągnęła oddech głęboko. Doznała nad wyraz łubego uczucia. Stała jakby w dymie, napelniającym słodką wonią nozdrza, pierzi.

— Dobre? — poruszył Burek.

— Kielbaso, a! we wnętrzu wiemi — i na potwierdzenie tego siarczyście kichała.

— No, teraz już wiesz — zaśmiał się szelmowsko — po damno nikogo nie wołam — ja zawsze do wszystkiego dobra zawiedę. Nie bój się, będzie i to, co ci teraz smakuje. Ino skrzepię siły. Nie zwiędę nikogo.

— Oj wiem — tklawie westchnęła, co mogło oznaczać, że wołałaby mieć w zębach pociechę, niż rozkoszować się daleką znikomością zapachu i nadzieją obietnic.

Powiodła wzrokiem po ścianach i rozczarowana dodała:

— Zamknięte, chyba połamiesz pazury, niczego nie dorobisz się.

— To nie. Zrobi się, moja już w tem głowa — rzekł chępliwie. — Same nie domy rady, jesteście na kogo zakrzykniewa.

Spojrzała nań z ufnością, wiarą, uwielbieniem, wiedząc, że będzie starła wszystkie smakołyki z pełnej miski.

Znowu zahuczał Burek, zaszelekała piskliwie Figa

Na ich wiele obiecujące wołanie rozebrzmiały okoliczne budy. Zaspasane psy zrywały się z legowiska.

— Nie daje spokoju. Po nocy budzi. Znowu bestya stroi jaką stukę. Bedzie ino piekło we wsi.

— Niechta będzie piekło, byle było co chycić w pasoczkę — dodał drugi, śpiesznie zdążając w stronę Burka.

Jedne z ciekawości, inne z przyzwyczajenia, nie mogąc oprzeć się nakarowi chciwości, dyndały przez pole. Wkrótce przybył „Mosiek“, narwany tak szędliwie, gdyt się uplął w karczmie. Za nim jaimnik przycedpał na wywichniętych łapach. Ugorem gnał

„Bobek”, po drodze zdaleka wyszczekując, aby nie bez niego się robili. Przyleciał „Kruczek”, kundys z czarnemi latami, potem „Fryśka”, suczka zgrabna, giętka, pełna dwornego obejścia, at dźwi zbierał, że ujrzała światło tycia na chłopskim barłogu. Przylekły się przemądrzałe dziadygi z kpinami i starczem niedowierzaniem, patrzące na wysiłki młodych. Gromada chwilę stała, witając się przyjaźnie, prawiąc sobie czułości węchem i merdającym ogonem. Po naradzie milczącej, po obwąchaniu przyceści, postanowiono kopać wspólnemi siłami. Praca szła sporo i łatwo. Podwalina bowiem położona była na szczyrym piachu. Po jakiejś godzinie wdała się czereda do środka. Warcząc, gryząc się wzajemnie, słędbiona, przesadziła zapolnieć irozwścieczona głodem dopadła siecek, w których leżały kielbasy, przygotowane na ucztę weselną, ale nie dla psów.

Na drugi dzień, ku powszechnemu zdziwieniu, żaden pies nie tknął jada. Burek chleptał wodę, tak go paliło w bebechach. Leniwie laził po dziedzińcu i zaraz uciekał na legowisko. W cieniu budy leżał z miną najniewinniejszego świętoszka, który nie potrafił nic złego zrobić. Przerzucił łeb przez przednią łapę i patrzył po obejściu, nikiej bogaty gazda, kiedy pod jedzogy odpoczywa, a niezmierna radość gorozpiera na widok żywny i wszelakiego dobytku.

Tut obok psa dziewczka Kowalika wysypała z podłoka ziarno poślednie i nad uszami mu wrzasnęła, przywabiając drób donośnym głosem.

— Tu... tu... tu... tu...

Gawieź przyrywana biegła, co sil w nogach starczyło. Kacski przetaczały się z boku na bok. Nijak im drogi nie ubywało, więc w okrutnem przeżaleniu bez wytchnienia kwakały.

— Ino nie zaryjta wszyckiego, oj! oj! — bo my okrutecznie głodne — ostowta i lo nos.

Żwawsze kury z rozwiedzionemi skrzydłami leciały, drobno pomrukując.

— Już tehu brakuje, rety, retecku! żeby choć f dziebelko ostalo.

Kogut, butnie rozszerwieniony, sadził na czele potuinych wielbicielek. Łopotal ciętko i grono kokoszek pocieszał po swojemu.

— Nie bójta sie nic, nie bójta sie nic, podzielę się z wami. nie dom was ukrzywdzić.

Przy rozsypanem ziarnie powstał wrzask gulgotan, gdakań, kwakań, gęgań. Kotłowało od pstrych upiercon przewijaly się szare, ogniste, białe barwy. jakby je ktoś mątewką mieszał. Jedne drugim z pod dzioba wyrwały. Koguty nawet teraz nie pohamowały swej samosiej nieczności. Nieznacznie się przepychaly przez siebie, rozsierdzone napadały na siebie i w tłumie, w zamieszaniu wolań prały się jak pijaczki chłopcy w karczmie wśród krzyków, lamentów przerażonych bab.

Kury nie przerywały jedzenia. Prędko, coraz śpieszniej dziobały, myśląc se bogobojnie w cichości ducha:

— Niechże sie ta biją — nom więcej ostanie.

Co sobie które podjadło, powoli odchodziło do rondelka. Piły wodę, zadzierając głowę do góry, jakby w upojeniu w niebo niezmierzone patrzyły, licząc gwiazdy, a to tylko woda ściekała kropla po kropli.

Burek krzywił pociesznie pysk, jakby składał wargi do najweselszego uśmiechu. Radował go ruch na podwórzu. Żeby umiał mówić toby se pogwarzył z każdym stworzeniem. A tak tylko merdal ogonem

i śmiał się oczami, całą paszczką. Powatnie minął go Siwek Burek usunął się z drogi. Dotkliwie pamiętał srogie kopnięcie, jakim go koń poczęstował. POCO mu na drodze zawadzić? poco pod kopyta wlaść? Zato zęby wyszczerzył do krasuli. Przestraszona krowa w bok całym rozpędem się rzuciła z fukaniem, jakby giez ją ugryził w nosdrza. Cielę zaś stało beładne, wywalalo głupawe ślepia, nie beknąwszy ani be ani me. Po południu dziedziniec opustoszał. Wojtus pognał gęsi na błonie, Gospodyni posłała po trawę dla bydła. Kowalik zdjął kosę z wystającego węgla stopy. Kroczył powoli wśród zboża, ino ostrze błyskało. Burek odprowadził go za stodołę i zamt wrócił do gospodarstwa. Ułożył się w ogrzanym barłogu. Najedzony śledził sprawy podwórza. Na kalnicy domu gołębik gwar czynił wśród gruchań podlotów, okrętań miłosnych. Co chwila pary zrywały się z klaskaniem i z uciechy były w skrzydła na wspomnienie tego, co nastąpi. Jaskółki przetrzynały powietrze czarnymi błyskawicami lotu. Kilka kur rozgrzebało pod stodołą słotone sterty plew. Zaraz padła gromada wróbli, dziobały prędko, ćwierkając głodno.

— To nasze — to nasze — ęde-krew —

Kogut, gorzejący upierzeniem, stanął na płocie, niby tagiew płomienista, zalepotał skrzydłami, zgiął szyję i zapiał władczo, na całą wieś. Śirnął na ziemię. Krocząc dostojnie, błyszczący w słońcu królewską przyodziewą, blasków ognistych, wiódł na bezdroża grono bezwolnych wielbicielek, z wdziękiem podchodzących pod oczy, zabiegających mu drogę. Samiec sierdzysty, krwią nabiegły, przystawał, drapał ziemię, coł krótko, rwąco pogadywał, jakby rozsypywał na przynętę sarną, zmasz, okrętając wybraną.



Rozczapierzony sunął z łbem naprzód podanym, myślałby kto, że to duma, zapalczywość kogucia idzie łamać przeszkody, zdobywać twierdzę. A tu bramy cnoty kurzej, pokornej, potulnie czekającej, stały namiętnie otwarte przed wojowniczą siłą, przed buńczucznością.

Burkowi nieeszły się obrazy. Ukołysany ciszą smacznie zasypiał. Wtem kokoszka przeraźliwie zawrzęszczała swoim ko—ko—ko, jakby ją z pierza oskubywano.

Pies zerwał się, miał wrzawienie, że ktoś łuskał nań okropem.

— Kiz to djasi nadali. Nie wrzesc, beskurcyjo zatracono. Zatkuj se dziób, bo jo ci go zawrę. — Doprowadzony do ostatniej złości wściekał się. — O rety — nie widzieliśta dziwowiska — znieśta jajcyoś moze tylachną, jak laskowy orzech i drze się pomana, jakby baryłkę se siebie wytoczyła — ko... ko... i ko...ko...ko... Zawzes roz ten rozdziawiony dziób. — Skoczył, chcąc ją uciszyć. Kura z fargotem śpiesznie strunęła na dach stajni. Miało krocząc po skraju okapu, drażniła rozsierdzonego sydliwem gókanietem.

— Widzis, telos mi zrobił.

Burek wciąż ujadł.

— Co głuptoku telo wydziwios. Cy mos pascekę do zdarcia. Nic mi nie zrobis. Idź se swoją drogą, bo jo se chodzę swoją. Nie włazę do twojej miski. I ty do mojej nie włazę. Sierkizmasz nie nie ugryzies, choćbym i ogon rozczapierzyla... Hę... hi... półd haw. Pozyoć ci skrzydel. A zrestą... sockoj se do sondnego dnia. Duro se tam z twoich socków robię. — Udając obojętną, przechodziła nad okapem strzechy. Już nie zwracała uwagi na ujadanie psa.

— Pockoj, wleziez w moje szty, warknął na ostatek Burek i osowiały, kładąc pod nosem, powłókł się pod krzew brzo. Gałązki były tak słabo ulistnione, że widać było pobliskie ogrodzenie i sad. Jednakże te zarodki dawały dostateczny cień. Za ledwie głowę przyłożył do pnia, a już obiadły go dle, zgłodniałe muchy. Cięty boleśnie, rzywał się, otrząsał, robił groźne miny. Spłoszone z brzęczeniem uciekały, aby w las, a jemu drążeniem miejscem zapakować ostre żądła. Burek trządził zarodki, niby drzemał, ale z pod oka śledził. Kiedy któraś mucha, pasąca się na jego krzywdzie, zbyt blisko się zbliżyła, kłapał szczękami, gryzł z wściekłością niegodziwą. Wejść machał ogonem, drapał kudły, chcąc zdusić, zabić, odstraszyć i przez odpędzić nieczne ciaciałajstwo. Nic nie pomagało. Dalej, bez ustankowania gryzły. Zrozpaczone, zwijał się w kłębek, stękał i kłął na czołm światła.

— Żeby ci skrzydła poodpadały... żebyś łapy colomala... Nie można nawet kapinkę odzipnąć... Nie dośpię... nie dojem, a waruję, a pilnuję - Nimo wyrozumienia. Tak widać i tak zdoli doskwarczyć do bebeczków. A żebyś... Obrażdliwy miał dzień. Pewnie lewą nogą wylazł z budy. Nie mógł leżeć spokojnie. Wejść go coś ze snu budziło. Teraz zaś kwoka, wodząca kaczęta, wlała mu pod sam nos. Nie odpędził, choć któreś w kudłach szukało potywienia. Z czułością na nie patrzył. Stado łótych maleństw pászczalo w dziecienny sposób. Przewijały się kłębuski, omszale mizernym, prawie przezroczystym puchem, rozsypane niby łóte ziarna po trawie. Z powodu dzieciństwa nie pozwolono kaczętom opuszczać pieleszy domowych podwórza, więc staw zastąpiono misą, wkopaną w ziemię. Tutaj do przesytu mogły

zatywać kąpiel bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Zmoczone, unurkowane nagusy wylazły na murawę, wspinając się na nożynach, pociesznie machały nieopierzonymi skrzydełkami. Widok ten rzewnie nastroił psa

— Macierstwo, kiedy to odrośnie od ziemi? — Jastrząb, wrona może capnąć. Czy to zdołasz upilnować przed takim złodziejem? Machaie skrzydłem i ścigoj po niebie. Paśta się, paśta, jo tu jestem. Kiej się uchowota, gospodyni będzie miała pociechę. Trza jej... wytko się w chałupie przydo... ito pierze i ten grosik, a choćby i tę kosteczkę ogryść

Najbardziej wruszała go miłość przybranej matki. Kwoka troskliwie dbała o wychowanie i nakarmienie powierzonych gromady. Wodziła po ogródku, zbierała patyny, toteż kaczęta miały pełne wącioly. Nawet nie zabraniała im kąpeli. Nigdy jednak nie przestawała się dziwić nieopatrzonym wybrykom. Ani ona sama ani inne kury nie miały pociągu do wody. Co im strzeliło do głowy, aby z taką zapalczywością paplać się w byle kałuży. To nie licowało z godnością wróbli głupich, a co dopiero kurcząt, stworzeń wybranych na świecie. Czasem siepokój ogarnął ją o los małych. Cóż było robić? Upominała, gdakała, ale nie nie pomagało. Macierzyńskie serce z trwogą i pobłażliwością patrzyło na wybryki miłusieńkich pędraków.

— Młode, to leca, kaj ich ecy poniesą. Niechże se użyją świata. Jak przyjdzie jajko znieść, na gnóźnie wysiadywać, wodzić, to figle niebeda trzymały się głowy, rozlecają się nikiej plewy z wiatrem.

Z dobrotliwym spojrzeniem obchodziła swe umiłowane stado, rozgrzebywała serty śmieci, uczyła dziobać, szukać żywności, przytem niezamierdowanie

powtarzała kurse przykazania mądrego tycia, aby uszczyć je na pociechę ludzi.

Burek, zajęty kaczącami, zupełnie zapominał o spaniu. Z rozkosznej a rozleniwiającej zadumy zbudził go wielce podejrzany szelest czyjegoś lotu. Zerknął przez szpary pomiędzy konarami brzo. Na pobliskim drzewie zobaczył wronę

— Jesteś, beskurcyjo nienazarto, pewnikiem chceś hań coś ukrąść. Niedoczekanie twoje. Znowa cie, nie zwiędzies nikogo — o jak spojro ku chalupie... dzwirze zawarte... ckej... dom jo ci... przysłaś pod moje zęby... — mruczał pod nosem.

Jako raptus, w pierwszej chwili o mało nie skończył, aby skłać, zmieszać z błotem zintenawidzoną czarną wiedźmę. Na szczęście wczas się opamiętał. Praywał jeszcze bardziej do ziemi. Ani się drgnął.

— O jak spojro, a stroi świętom minkę; żeby rence miała, toby se położyła na brzuchu i kopę paciery wyklepała. Ino jej ślipaska wsendy lotają, cy kogo na obejście nima. Raduj się, nikogo nie zdyblasz zatrzacone noszenie! — h! — h! — nie zdybies, jo ta dobrze schowany — zachichotał z ucjechy

Miał wronę na oczach, choć sam nie był widziany. Rabusińca pewna była zdobyczy. Bezcelnie wlepiła wzrok w rozswawoloną gromadkę kacząt, lubując się smakowitymi kęsami. Otrząsnęła się całym ciałem, przejechała dziobem po gałęzi. Już gotowała się do skoku. Wtem coś nad nią zachrzęściło słowrogo. Zabobonny dręszcz przeniknął ją. Tuż obaczyła trupa siostrzycy, wiszącej na wierzchołku terdzi.

— Mordują... i za co?... biedocki my, nigdzie nie miewowa spokoju... zabili... co jej dziś, to maie jutro... kto z bręga, ten idzie... Cóż złego zrobiła?... głodno,

to chciała jeść... urosła tklwą łę nad niedolą, wzdychając bogobojnie... oóż to człowiek nie może zdechnąć... Ino jemu sie przez gembę wsyćko dobre prze-liwo... a my? .Kiedy jedno kacątkoskostuję, to nie zdechnie z głodu. Wystarczy mu... Ba, teraz to mnie nie złapi, oho — nie. Kacątko będzie moje

Przeszła z powagą po konarze, nie zwracając uwagi na pokpiwania wróbli. Z pogardą pomyślała o tych pędziwiatrach. Zatrzymała się chwilę, przechyliła głowę nisko, strzeliła jeszcze raz warokiem po wszystkich kątach.

— Sośną godzinę będę miała dzisiok. Sprawiedliwie mi sie należy. A może jesce kogo z kracących zawolać? Wystarczyloby lowsyćkich. E, pocol! Niech koady o sobie myśl li, koady inajednaką głowę i pazury. — Rozdziawiła szeroko dziób, ziewając do głubin chciwego żołądka. — Reszę zostawię se na potem. Co dnia se przydę. Co mos tjeść dzisioj, to zjedz jutro. A jo dzisioj i jutro będę unialapociechę. Na ile mi to starcy?... dość tego jest...

Postanowiła więc sama spożywać dary, złowione w poście zestrachanego czola.

Burek od początku śledził ruchywrony. Wodził oczami, ścigał linję, po której mogła przelecieć. Naraż czarna plama zakołysała się tuż nad głową. Pies jednym sustin chwycił ją w locie. Poczuiwszy w pysku puszysty wiecheć, już rzucił na ziemię, aby potar mostć, poszarpać. Ptak, w tem krótkim mgnieniu, wydarł się z obłudzonych więzów zębów, wywinął dziwnego kosiolka, przeciął powietrze gwałtownem machnięciem skrzydeł. Burek skoczył, wyrwał kawał ogona. Wrona cudem dostała się na drzewo, nie wdawszy najcichszego krakarza. Dopiero w bezpiecznem miejscu na gałęzi łżej odetchnęła.

— Cóż to było? .. o wrono nad wronami, kie-
 rująca wyćkieni nasemi sprawami... oświeć mój ro-
 zum, doj dobre pomysłenie... — Nieprzytomna z prze-
 strachu, pokiereszona, nie mogła sobie zdać sprawy
 z zajścia. — Wiem ino to, że mam pusty brzuch
 i boloki na ciele. Cóż to było... jakieś licha odegnęło
 od kacząt.

Wrona dopiero teraz poznała Burka, który oszo-
 lomiony i oglupiały niespodziewanym obrotem sprawy,
 stał z garścią wyrwanych piór, obok nasrotonej
 i gdczącej kwaki. Z wściekłością na nitgu wra-
 soła:

— A zebys skąpił dziadu za moją krzywdę.

— Wrzesc jesce głośniej — duzo ci pomoze
 Cujes moje zębce? hi... hi... może ci ulży.

— Pockoj, przydę po ciebie na okopowisko

— Strasznie wiele se robię z twoich serdecnych
 kakań... Pedom ci jesce roz, kacząt jeść nie bedzies
 i powidz to samo wszystkim wronom. Popamiętos se
 teraz Burka, złodziejski gadzie. Nie lo was pólnuje,
 nie lo was zdzirom lapy i ocy.

Wróble, uradowane widowiskiemniepowszedniem,
 ćwierkały głośno, zwinnie przeskakując z gałązki na
 gałązkę

— Dobre było.., co?

— Smakują kacęta — doj nom pokostować

— Wystarczy ci na dlugo. Wypasies sie zębami
 Burka — hi hi!..

Nie mogła znosić dłużej szyderstw, uwłaczają-
 cych powadze i godności Ścigana wyrwikami sta-
 rych, podwórzowych kpiarzy, posybywała na publi-
 ska topolę. Pod gęstwina liści, zdala od spojrzeń
 bliźnich, pełna posępnych myśli, oglądała skazy siń-

ców, pieczułowiec wyglądała podskubane podbrzusze.

Wieść o zajściu rozniosły wróble po całej wsi. Wnet zleciały ku zbolalej wszystkim siostrzytce i bracia, pytając o przyczynę pobicia. Zbolalem krakaniem opowiadała, w jaki sposób wybrała najchudsze kaczątko, chciała tylko spróbować, aby potem całe stado przywieść na ucztę, jak skoczyła ku zdobyczy. Machając bezsilnie skrzydłami, osłabła, nabośnie dodała, że laską opiekuńczych sił, strzegących sprawiedliwych wron, wydarła się z paszczyki przeklętego wroga.

Zamilkła gawiedź, jakby w zadumie i skupieniu uczuła dobroć wrony nad wronami. Wnet zakotłowało na drzewie. Powstał piekielny krzyk, odgrazano, puszczano za miastwidelnego Burka.

— Pockoj... kizyroodka.. zdechnie, to ci ślipska wydłubiewa.

— Zebyś ni miał co do przeposconego pyska wraść.

Słyszane to rzeczy, zeby taki kundys na wronę pysk rozdzierol.

— Kosdy krzywdzi nos — choć my wybrane pioki...

Przyjdzie i na nos szczęsno godzina. Zezrymy twoje szmerzące ścierwo.

— Hi! hi! sztyjewa se godnie na padlinie. Wykrzykiwały jedna za drugą na Burka, który wygodnie leżał w bódzie i z uciechy bił ogonem. Wrony na drzewie pocieszały nieszczęśliwą siostrę błogą nadzieją zemsty. Może jednak w ich wzburzonych sercach wyblysła cicha, a najmilejsza radość i szczerą, serdeczną podzięką, że to nieszczęście bliźniego spotkało...

Od rozkrzyezanego stada oderwała się czuła para. Malteństwo wronie popłynęło do wsi, gdyż rano u Zielińskiego w śmietniku coś godnego obydwoje upatrzyły. Nie miały się do roboty, więc czas skracaly sobie żywołwą rozmowa.

— Dobrze jej tak — krąknął wron.

— Ja tak samo mówię. Zawsze sama chce wyćko zestyć. Drugiemu nie pomoze, nie zratuje. Chyba myśli, że kto inny śimo brzucha.

— Ale ją nauczyli rozumu.

— W jednociel trzeba żyć, dzielić się z drugim, to beły pies nie lepiej pyskował. Matiewa się do kupy brać, a zakłócewa świat i wyćka bedzie lo nos, lo wron.

— Taki głuptok o tem nie pomysli.

— Siła w naszych dziobach i pazurach..

Naras obie wrony zawarły powieki. Serce w piersiach zatrząsło się smagółte przerateniem. W dole, na wysokiej terdzi, groźnie zuczeraiał trup, zawieszony za obie nogi. Wiatr poruszałchrzeszczącemi zwlokami, bawił się niemi, skubał pierze bez uwzględniania.

— Od głodu, od śmierci, od satana człowieka, co lo nos biednych i ukrzywdzonych piekło nastawio, wybow nos wrono nad wrosami. Obec nase wywie i spadnij ze swego gniozda na człowieka i sprawiedliwość cyń...abyśmy w spokoju porywałi kacęta albo to lango — wron zanim rotaly peboty, po wrosiemu, chcąc w małych piersiach podciąć, u samego pnia, wyolbrzymiałą bojaźń zakłóciem modli twem..

Nieodłącznym przyjacielem Burka był Maciuś, syn Kowalika. Razem czytali wyprawy, razem wędrowali po lasach, łąkach, pastwiskach, przytem płatali figle, na jakie mogła zdobyć się psia i chłopięca fantazja. Pędzili życie wśród swawoli, igras, zabaw. Z całej rodziny Kowalików Burek był najbardziej przywiązany do Maciusia.

Jednego dnia wyszli w pole. Już dawno wszystko z łądów posprzątano. Rdzawiły się wielkie łachcie spustoszonych ugorów. Na zagonach leżały zrudziałe sznaty, zdarte chyba z gwałtu biedoty. Wbrózdach pośniewały kalnte, jakby swawolny chłopak błyskał z ukrycia zwierciadłem światła. Kowalikowa osimina w suchszych miejscach już ładnie wchodziła. Wódra wątle, czule na najłżejszy powiew, bojaźliwie drżały, czyniąc wrażenie, że przelatuje postajających ras pod much słońcizony, ~~drugi raz~~ ~~biedoroczny~~. Wiatr pięściwie przegarniał białkiznąwą przedzą mgły, nosił w powietrzu i łagodnem jej tchnieniu osaul dalszy widok. Blżej, wśród zsiwionych traw, przejętych przeczućem ślana, sterczały samotne, ostatnie, wyblakłe bławaty. Na rtykach, podobnych do zaśnieżonego złota, czere ienisić drobny, kurzy ślad, jakby na październikach ściernisk zwisały krople rubinów, czy krwi i znoju, wyciekłych w pracowity dzień żniw

z poranionych stóp zniwiarzy. Wszystkie barwy umierały z uśmiechem jesiennej żalości. Czasem ptak wyfrunął i owił więdnące korony wieńcem cichych, brami rozperłonych melodyj. Tylko pajęczyna lśniła na gałązkach głogów, obrzuconych paciorkami koralu. Drgały siatki rozbłysków, wśród których promienie były owikłane. Z krajobrazu wiał smutek i zaduma omglona niebieskim obłokiem i ostatnimi tchnieniami konającego słońca.

Ani pies ani chłopak wcale nie odczuwali tego. Harcowali po polach. Serce malowało ich oczy i usta kolorami wesołości. Burek wystawiał paszczkę na ciepło i śmiał się, merdając ogonem. Wojtus biegł miedzą. Nagle stanął. Tuż obok tyta Kowalika, na ugorze pasły się czyjeś gęsi, pozostawione na łasce Opatrzności. Sucha, jesienna trawa nie bardzo im smakowała. Przeniósł się na oziminę. Chłopak wtulił się w widok skody.

— To wy ludzką krzywdą choćta siepaść... Po ckojta, zarazy... dom jo wom.

Pies, przeczuwając miłą dla siebie sprawę, stanął na zagonie, podniósł łeb i prosząco patrzył.

— Puść mnie — już jo się z niemi sprawię.

— Narobią też skody — z tałem szepnął mały.

— Jesocoby też nie, zra całym dziobem. Na cyjem szwarcie nie widać łopoc — mruczał pies.

Chłopak z rozwianym spencerkiem pognął kilkanaście kroków, wskazał palcem białą gromadę i poszedł słowem groźnym.

— Hutia... Hutia!

Burkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Skoczył z radosnym szczebrnięciem. Pędził z wywieszonym jęzorem, susami wielkimi przysadział miedze, brzozy, zagony, zarodła. W biegu dokazywał cudów

zręczności. Chybkością, zwinnością mógł prawdziwy podziw wrzucić w duszach suk. Gęsi, dojrzawszy psa, ięły wyciągać szyje, zgryfliwie syczeć, gęgać. Może chciały napastnika przestraszyć, a może pańską miną mówily:

— Cóż to za gbur tak wrzeszczy?

Odsuwały się na bok, trzępały skrzydłami.

— Ważpan do będy w sam raz, ale nie w dobre towarzystwo.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem, moćdopanie, mógłbys uważać... koszulkę mi powalasz, świeżo praną w stawie... też bez wycho~~wania~~ania!

I bos~~kie~~ przechodziły.

Pies wcale nie zważał na grzeczność i okazał się ostatnim chamelem. Wpadł w~~szeregi~~środek zbitego stada i rozpołowił błyskawicznym cięciem. Po zostało niemożliwe zamieszanie, wrzask jarmarcznych bab. Burek uciekające pyskiem rwał, tarmosił. Ziajany hulal, jak na weselu, nie słysząc ani pomstowań ani przeraźliwych wołań o litość i zmiłowanie. Rozgęgane uciszał tak dokumentnie, że paszczy wrywały się ledwo żywe, oniemiale z śmiertelnej trwogi. Rozsierdzony, a zarazem obawiony decierał do podbrzusza, szarpał, włóczył poturbowane ciała. Pierze wydarto z ogonów, grzbietów, płynęło górą, jakby z rozprutej pierzyny. Całe chmury zaścielały pobojowisko śnieżną bielą. Rozbitki wlokły się po zagonach osłabłe i utrudzone. Jedna ledwo kuśtykała, ciągnąc okulalą nogę, druga niosła skrzydło berwładnie zwisle, wpał przetrącone. Inne pogryzione, podarte, znaczyły nieszczęsny odwrót różańcem ściekającej krwi, innym z łbów sączyły się krople i okalały bielusię szyje sznurem cterwonych paciorków. Rozgromione gromadziły się na niewielkim pagórku.

Tam dopiero wybuchnął hałas, rozpaczliwe gęganie, pełne utyskiwań, wymówek, jakby wzajemnie wyrzucały sobie tchórzostwo, jakby obsypywały się najobrzydliwszymi wyzwiskami.

Burek miał dość uciechy. Stał na zagonie, patrząc ze śmiechem na pobite. Syt chwaly, obwieszczał całemu światu wynik staczonej walki, dmąc w rozgłosną surmę szczekania. Zadowolony w podskokach wracał do Maciocha.

— Aleś im pokozół, co ja znacę.

Tarzał się u stóp, wlepił pokornie ślepią, tądając pochwały i nagrody za chwackie czyny.

Dobry pies... dobry... aleś im wystroił... szeptał chłopiec, przygarniając Burka z czułością i miłością.

Nie zawsze jednak czekały go pieszczoty i nagroda za rycerskie sprawy. Oj, nie zawsze. Bardzo często obrywał baty, ale to, co się zowie baty. Szczególnie za napady na ludzi.

Burek od urodzenia prowadził ciągłą wojnę z chudymi postaciami w czarnych chałatach. Tę nieważką dziwną i niewytłumaczoną wyszał chyba z miłością sukki. Za co? Ktoś to wie. Może zwierzę jak i człowiek żywi ją z podobnych powodów... Najbardziej nie cierpiał Sruła pachciarza. Ten zjawiał się co dnia, około południa, kiedy krowy wracały z pastwiska. Droga wypadła mu przez dziedziniec Kowalika. Pies, lekko poczuł znajomy zapach, warczał groźnie zjętony.

Pachciarz, chcąc ulagodzić Burka, rzucał skibkę chleba, to skibał ziemniak. Zwierz jednak nie dał się przekupić i wcale nie darzył miłością dobrodzieja. Choćby na żart, musiał zaszcześcić Żyd nagletem na-

padem zaskoczony, słodko zbieletemi wargami przemawiał:

— Cicho Burek... jakiś ty... śliczności... no, cicho... jo ci nic nie zrobię. Czego ty szebois... cicho, dom ci coś... cmokał, mlaskał obiecująco, wywlekając za oba uszy słowa życzliwe, uśmiechyprzypochlebiające, a tak rozdygotane, jak te fruwające szaty rozwieszane na patykach kości.

Wybrany człowiek z podkasaną jupicą umykał przez podwórze, trwożnie obzierając się na wszystkie strony. Ilekroć błysły kły, zaraz w pustych pierśsiach serce skakało, niby te pejsy. Dopiero po przebyciu miejsca niebezpiecznego dawał upust swym uczuciom. Z za węgla chałupy wyciągał zacisniętą pięść i śmiertelnemu wrogowi groził.

— Czekał, ty zbój, jo ci nogi razem z gembomą gorącą wodą wyprzetroncom. A zebyś zdech, ty, rałusnik.

Pogróżki z zasadzki doprowadzały psado istnego szaleńca. Szczekał, warczał, pyskował, w oczach miał ogień nienawiści, w zębach przekleństwa, mogące piorunem porazić.

Pewnego razu Sruł obarczony naczyniem, pełnem mleka, przechodził rwykłą ścieżką. Burek, jak swyczajnie, wyskakiwał na dach budy, pomstując, pieniąc się ze słosci. Chciał trochę przestraszyć bojaźliwego. Boć, jak łańcuch łańcuchem, jeszcze nigdy nie pękł. Naraz wyprętone ogniwa szaczkowały... chrasta... i pies zarył nosem o ziemię.

Nawet nie miał czasu szaczknięciem podziękować za cud. Kichnął raz, drugi, radośnie łypnął ślepiami i pognał za uciekającym. Mało nie parsknął śmiechem na widok chudego ciała, wykonującego najpociesznijwsze ruchy. Nogi, plątające się, kreśliły

dziwaczne zakrętaszy. Rude dwa wiórka grochowiń, skręcone przy uszach, niby dwie chybkie wskazówki, stały wprzód i wtył szarpane ismą zawieruchą pędu. Rozwiany chałat podobny był do czarnych skrzydeł kruka, nie mającego siły wlecieć w górę. Sruł wołał o ratunek, wymawiał święte zaklęcia, aby ten apokaliptyczny zwierz, dybiący na życie wybranego człowieka, skamieniał, aby go siarczysty ogień Sodomy pochłoniął. Ale Jehowa nie spojrział na pokornego sługę, znajdującego się w opalach. Pies pędził co tchu za pachciarzem. Gwałtownym susem dopadł, chwycił zębami w miejscu najbardziej poniewieranem i hańbionem i targał mocno. Ku radosnemu zdziwieniu wyłoniła się biała plama. Jeszcze ubiegł kilka kroków. Znowu skoczył; napotkał pełnię i padł w piach. Berek odwrócił głowę i stanął zdumiony. Przed nim leżało ciało w oplakany stanie, rozpadłe na części składowe; obok chałata, bezsilnie rozpostartego, spoczywał kapelus, jarmułka, nogi i ręce rozkrzyżowane.

Sruł uniósł się na widok zniszczenia, chciał krzyknąć, ale tylko cicho, bezsilnie z boleścią zaskal.

— A wa... a wa, tyle szkody.

Mleko wyciekło z obalonych naczyń. Białe strumienie płynęły rowkami, a zatrzymywane na grudach piachu tworzyły kałużę. Sruł miał tywe uczucie, że to wycieka znoj utrudzonego dnia, krew zapiekła z poranionych nóg, biegających bez wytchnienia po walach od świtu do nocy. Z rozpaczą patrzył na zmarnowany zarobek, na łyżkę stawy dla dzieci. Spojrzały na niego błagająco. Ich irenie odbiły się w sercu, jakby w wielkiej ojcowskiej łbie. Patrząc na ich żalność, w szaleństwie odwagi chwycił za kij i próbował okładać psa.

— Idź, ty, rozbój, od mojej procy — awa — awa — ty huncwot — żeby cie morowo słabość zabiła za moją skodę — idź — idź — — coraz tałońniej mówił, błagał, jakby w głosie zasłuchało wspomnienie dziecięcych próśb i wołań. Żal za zmarnowaniem dobrem dodawał zemście sił.

§ .] Burek ze śmiechem a zarazem ze zdziwieniem patrzył na pocieszne podrygi osłabłego kija. W jego majemaniu mleko rosiewało się, więc, nie chcąc marnować botych darów, trzeba je wypić. Zabrał się do tego z wielką ochotą. Ledwo liźnął językiem kilka razy, a tu słodycz napoju zmieniła się w gorzkie krople wspomnienia. Raz Maciek wyrzucił skopiec, a on mleko wychleptał. No, bo cóż miał robić! Ale miał za to. Oj, dostał od Kowalika, o rety! Teraz owo tajście stanęło przed oczyma i kijem najgorzszego przeczucia padło na duszę.

Chlepnął jeszcze, ale zupełnie bez smaku. Nowy cios Szuła nie na łaty go rozgniewał. Warknąłniby obratony.

— Co se ta pokraka myśli. Nic ci złego nie zrobiłem, a tyzarozna mnie z biciem. Cóż to znacą ~~tebie—figle!~~.. anim ci brat ani swat Kozdemu wolno pić, kiej dobro boze rozlewo sie po drogach

Zakręcił się w miejscu. Naostatek spojrział na poszkodowanego. Na widok wielce pocieszny parsknąłby śmiechem i równocześnie zapłakałby nad sobą. Jak widmo złowieszce stanęła mocna garść Kowalika.

— E, nie boję sie nic, ani teledko, co mój pa sur. Nie wiem, czego miałbym sie bać, idę do chalupy, bo ni mom co baw robić — udawał zucha, ale w głębi suchowatego serca cierpił.

Przez niewielki plac szedł powoli, mając obwisły ogon, ten najoczwiśtyszy wyraz stanu psiego dacha. Przeczucie kary odebrało mu wszelkie zadowolenie z tak chwackiego czynu. Nawet nie spojrzął na umiłowaną Figę, która stojąc na podcieniu, niby bogdanka na krąganku zamkowym, śledziła przebieg wspaniałych zapasów i zwycięzcy w szacunku posyłała najemnie pochwały, a ze spojrzeń owielbiających wieniec wila Burek, pełen najstraszniejszych przypuszczeń, cichaczem przeniknął Przez podwórze i legł w najciemniejszym kącie budy.

— Oj, będzie to, będzie — co ja najlepszego zrobiłem? Ani czekać nie pomore — kłapał szczękami, bacznie nadsłuchując.

Za chwilę posłyszał urywek rozmowy, przyjęty z uwagą.

Gospodarz ze złością bronił honoru psa.

— Mówię ci, że uwiązany, to uwiązany. Za belę co nie bede go bił.

— Jadamie, jak uwiązany, a kto zrobił takie dziury, takie kaliki? Jo zom ważego kusia.

— No, chodź, oboc!

Pes sadygotał i rządził się w barłogu. Kiedy został chwycony za kudły, wparł nogi w ziemię, wstrząsnął się, lecz nżak nie mógł rzucić krzepkiej, chłopkiej garści.

— Psiakrew! uwol lańcuch! Pocekoj!

— Widzicie! Nie mówilem? On — on — — kroby inay zrobił takie kalictwo — tyd az przysiadł z żalostnej a mściwej uciechy. Palcem wskazywał na wroga, stojąc w stosownej odległości od groźnej pa-szczęki przekłętego smoka.

Burek udawał zaspanego, mrugał oczami, drapał kudły, ziewał, tydki jednak z zimna trzęsły się. Wie-

dział, że go lanie nie minie. Spuścił lech, chcąc pokornym i zbolalym wyrazem wzbudzić litość.

Kowalik z pasją krzyknął:

— Kto ci kazował... kto?..

— Oj! oj! oj! — pies zaskomlał przeraźliwie, co mogło oznaczać, że z miłjstwa zaprzecza lech o miłosierdzie blaga. Kiedy spozstrzegł, że to nie pata lewki, wlepił ślepią w chłopca bezczelnie, mruczając pod nosem z jawną pogardą.

— No! no! Mieliście też o co zeźlić się. Cóż w tem strasnego, zem go tknął. Jest też o co mię bić!

— Jakto? — chłop rozdziawił gębę, jak wrota i całkiem stropiony drapał się, chcąc widocznie mądrą myśl wygrzebać. — Aleś mi klina zabił — ja bom — jobem, jakże to pedzieć, kości natrząsał, bo przecie Żbawiciela powiesił. — Ale będzie mie po sondach wodzil ina cały świat wrzescoł. Somzłoiłbym kaštana, bo to nie chrześcijańskienosienie... miolłbym zasługę w niebie za bogobojny uczynek. Trudno rada — połom rence, a nie można.

Nastąpiło pewnezłagodzenie sporu. Sruł zobaczył wahanie chłopca. Wniebogłosy podniósł wrzask, malując zajście w najczarniejszych barwach, zaczął psa oskartać, jako winowajcę, pokazywać dziury w chałacie i spodniach, przedstawiających widok rzeczywistości pożałowania godny.

— Jo wam nie daruję tego. Za co on mi takie nieszczęście zrobił... za co on zębce aż pod serce wbił — to rabeś na mój majątek, ten zwirz, co prosto do tworzy leci za moje dobro. — A wy może miszlicie, że to pirszy roz zrobił mi takie kalictwo? Jagem sed do bódnicy w sondny dzień, to on mie tak uchłół, że mie za trzy dni zabolalo — taki on roz-

bójek na moje ciało — ja was zaskarzę — wy mi za wszystko zapłacicie...

Srul nagle zmienił głos i zaczął chłopą gładzić, składał ręce, trząsł się, kiwał modlitewnie, odpychał wszystkie groźby i przysięgał przyjaciół.

— Kowalik, gróbcie wy rós koniec z tym djabłem. Postronek i fertig. Jo wam wódkę postawię, som rarytas, som tymes — est — est — szliwowy, szabasówki — jo wiem, że to zrobicie — wy wiecie, co sie komu należy. — Jo do ojakiego sondu nie póde — pogań naco? jo ino do spasu waszko mówilem — wyszcie ze mną w przyjaciulstwie, ino ten rabuśnik.

Pies słyszał oskarżenie i nie mógł jednym szczełknięciem dać wyrazu najprawdziwszej prawdzie. Widząc wahanie w oczach chłopą, miał jeszcze jaką taką nadzieję, że ujdzie kary. Patrzał błagalnie w gospodarza, a na boki ku pachciarzowi warczał, kurczył górną wargę, chcąc pogróżkami zmusić go do milczenia.

— Nie leń mi na ocy, moje nie potraza twoich smaków... Ino jeste słowo piśniesz, to cie tak poterpoć, że nie pozkieros kosci. Odyndy, po dobroci mówie, nie dājuć, żeby mie kłobadź poniewierol, jo mom swój psi honor i wjem, co mi się należy — same moje zęby — strać się z ocu ~~moje~~.

Wspomniawszy, błyskał ślepami, pokazywał kły, mimo to ciepł na myśl o tem, co się święci.

Kowalik stał bezradny. Żał mu było wiernego psa, z drugiej strony kłapał na samą myśl, że musi wynagrodzić wyrządzoną szkodę. Kiedy tak medytował, wpadł krzyk pachciarza:

— Bedziecie widzieć, Kowalik, że jo tego nie podaruję — już leczę skarżę — narobię kosztów —

tu wykonał gwałtowny ruch rękami, głową, nogami, jakby już pędził do sądu z najoczywistszemi dowodami swej krzywdy i stanął uśmiechnięty — Widzicie, że ja już lecę — on, taki zbdj, powinien zgnieć w kryminale. No, niech między nami zgoda będzie. Wy z nim rzeć koniec zrobicie!

— Ścierwo chleb rozpiro. Ja cie chowom, a ty zbytkował bedzies. Kaj sie coś stanie, to on, kozdy z pyskiem na mnie: was pies, złociufki Bureczek. Jesce będą mie po sondach wodzić — zorazo — jakby się bał zmienić swoje postanowienie, śpiesznie rozpiął pas; we dwoje złożonym potrząsnął nad nosem **Pa**.

— Cujes, jak to pachnie!

— O, rety! retecku, na niewinnego to kozdy bij, zabij. — Burek przybierał skruszoną minę, gładził łapą chłopa po kolanie, jakby solennie przeproszał i na wszystkie psie świętości przysięgał poprawę.

Kowalik nie zwracał uwagi na wrzaski. Uniesiony złością, łapał zwierzę mocno przez grzbiet i bijąc zwolna, mówił z namysłem

— Na ludzi nie napodoj — zedrę skórę, to bedzies lepszy — nie jójc, narobiks zbereszestw, to dostajes, coś se zarobil. Ja za ciebie nie bedeplacil. Sprawiedliwość musi być na świecie. Żyd nie żyd — choć nieboskie stworzenie, ale kieszeń moja...

— Oj — oj — pies zwijał się, skomlał coraz przeraźliwiej — gospodarzu, już nigda — nigdaaa — oj — oj — — kiej go oboce, zawrę ocy, zęby wypłuję — scekanie polknę — oj! oj!

Kudły gęste chroniły go. Tak bardzo go nie bolało. Wrzeszczał z formalnych powodów, mając swoje wyrachowanie. Nie chciał dobrowolnie poddać

się woli kija, dziertonego ręką przemożnego dawcy kary i pełnej miski, po drugie, pragnął wzbudzić współczucie i pozorami bólu omylić chlosię, krzywdzącą kości.

— Nie wydziwioj — stał pysk — ani oczekiwanie psie ci pomoże — przemawiał chłop, waląc w takt słów z brutalnością.

— Bijcie Jadanie, nie pozwalajcie ręki, już ja wam wszystko wynagrodzę — widzis, ty rabuśnik — już ci nie będzie smakowało moje mięso. — Srał pokrzykiwał, dreptał nackolo psa w należytej odległości, tupał nogami, przysiadął, mlaskał z lubością, żeby mógł, toby gwiazd pasa całował.

Krzyki Burka rozlegały się po całej wsi tak przeraźliwie, jakby cały ród psów obdierany był ze skóry. Właśnie wtedy Kowalikowa myła garnki Zdzisłona wypadła na dziedzińiec.

— Z tym psem lno strapiene.

Zdębiała chcała ~~wyprzeżać~~ któregoś nie nawiedziła, gdyż nie kupował od niej mleka, hojnie zakrapianego wodą. Zaraz z progu rozwarła gębę.

— Co to chca zółtku zapowietrzony djabli cie to przyniesli.

— Widzicie — co was pies zrobił. — Na widok nowego wroga zatrząśły się nogi i wykonując pocieszne ruchy, poklony, dygotającymi rękoma wskazywał ruinę chałcy.

— Nie bij mi psa — wydarła mężowi pas, że pełnie nie patrząc na pokrzywdzonego.

— Niech psakrew nie napastuje ludzi.

— Pasa go zaraz!

— Zebyś wiedział, że nie puszę — jak będę chciał, to zabiję ścierwoka — krzyknął niby ostro, ale już się śmiał udziżyć Burka.

— No, spróbuj!

— Będiesz widziała.

— Chcę oboczyć — czego nie bijesz? — jobym ci dała — wywinęła pięścią przed nosem chłopca, niby kijanką. — Jak chycę palicę, to was obu wytęnę.

Kowalik nie śmiał stawie czoła żonie w walce otwartej bez naradzenia na wstyd honoru chłopskiego. Wiedział, że babskiego pyska nie przemoże nawet pięścią, jednak nijak mu było ustępować. Szukał wybiegu, żeby się z oczu stracić. Zbaraniał docna. Skrobał kudły, poprawiał spodnie, splotwał, kiedy mu zbyt długo dogryzła, a nijak nic wymyślić nie mógł.

Pachciarz zaś skrył się za plecy chłopca, skurczony i mały i jego wystawiał, niby sarczę, na prawdziwie siarczysty ogień gniewu kobiecego.

Baba i na niego natarła z całą furją pyska.

— Przez ciebie wszystko — wynoś się, ty kapcanie. Co tu masz? Mliko to umiesz kupować u Tocyka, u Marceli, a tuje to zapowietrzone!... ścierwo! W te migi się wynoś.

— Gospodyni, dojdzie pokój! Nie gniewajcie się, co ja winien? co?... — Z poza okopów chłopskich Seul wyszedł. Dygotał, niby widmo strachu, przeginał się, pokazywał ruinę chałata, biorąc w ręce strzępy potulowania godań. Na widok zniszczenia nowy wybuch żalu. Zaszlochał.

— Widzicie, co mi zrobił, on, ten potwór. Skoczył na mnie, urwał kawał mięsa, aż mi pod sercem jeszcze piko.

— To mu nie leń pod ocy. Nie drożnij mi psa.

— Co wy takie brzydkie słowo mówicie, ja go drożniał, Jadamowo? Mocie wy Boga w sercu?

— A czego nikogo nie napastuje — powidz, czego? — Wynoś mi się stąd!

Burek nie czekał końca sporu. Frasi wiedrą, coby z tego jeszcze wynikło, a możeby dostał coś, czegooby łitanie nie odlepił. Korzystając z ogólnego zamieszania, skutecznie porwał się między gami i przepadł za stodołą. Leżał w miękkim barłogu piachu, na prawym, potem na lewym boku. Nie mogąc znaleźć miejsca, zaklął zasmaknie.

— Za moje cierpienie, żeby cie nie jeden, ino dziesięć psów w ciasnej ulicy napadło. Czekaj, ja ci pokorę, dostaniesz się w moją paszczkę.

Hełkoć dotknął twardej ziemi, razy na obitem ciele at nadto dotkliwie przypominały mu zajście i rozogniały nienawiść.

— Pockoj! — — pockoj! — nie daruję — ja gem pieś! Zaco telo bicio? no, zaco? cym kogo skrzywdził? Siedzę se w budzie spokojnie, nikomu mocniejszemu nie wchodzę w drogę, bo wiem, co mi ceko, to i pocó on włoż mi pod zęby. I za to telo bicio? — Ej, gospodarzu — gospodarzu — za moją procę, za warowanie, tako nagroda? Oj, nima sprawiedliwości le bidnego psa, nima!

Wiedział at narbyt dobrze, że było zgola łaszczej. Musiał jednak oczyścić sumienie przed samym sobą, aby mieć spokój wewnątrz i szerokie pole do skarg. Co chwila lizał nrojsca pobite i skuczał tałaśnie, jakby je słował łaszci.

— Włoż mi w drogę, tom go kapinkę tknął. Zeby słodziej ukradł z komory, abo z obory, a jo nie dopilnował, ha! trudno rada, sprawiedliwie wysękolnym: bijcie gospodarzu, waso prawda. Tak sprać, o rety! Cós jo winien, że taki plosy i zarusko na ziem leci. Nic ma nie zrobilem, a on pąc pod mój pysk. Za to bic? Nie chciałem gryźć, przestę mom litość, a cós jo winien, że zęby samio-

skie własny, jak w świeżaki chleb. O retecku miłosierny, tak zbić... A on jeszcze niehonor mi zrobił... Golańskie wystawił ciało. Cym to jaki przywłoka, cym to nie gniada na swojego, haw z korzenia od dziada pradziada wyrośnięty?

Im bardziej zajście rozpamiętywał, tem większy stal cwał do Kowalika. natomiast rozstawiła go dobroć gospodyni.

— On był, jak nie swego, ona bronila. Nie zapomnę jej tego nigdy. Dobroście, jakbyście w kordem siłoweku mleko podawali. Niechcie sie wam we wsyckiem sećści. Do ostatniego secknięcio będę pilnował kaczą, kurczą, będę odganiał złodzieja.

Jeszcze dolatywały urywki kłótni. Wkońcu za pełnie ucichło na obępciu.

— Oho, wyjechała na Sralu za wrota — uśmiechnął się radośnie przez lzy. — Dobroście. — Jo mu tez dolozę święcie. Zeby z ostatnim sębem, a zapłać. Krzywdzić sie bele komu nie dost. Jo imom tez psi honor, ciowom go w sębach, pyskiem będę pamięciol i w pysku sprawiedliwość nosę.

Dopieroż na podmieocierz wyladł z kryjówki. Obaczywszy Kowalika, przywarował jakby ratony piorunem. Nie miał odwagi pokazać się na oczy. A nutby zemścił się za poniewierkę przez babę. Już tam człowiekowi nie można wierzyć.

Ukryty w bródzie, mruczał

— Zbić, to się zbił, nima co mówić, rzetelnie Ciężką mo rękę, o ciężką, sprawiedliwie mówię — widać dobry gospodarz — at mlasnął rozkoszenie, jakby coś najwyborniejszego z miski chłęptał.

Tuż za stołną „na rozolku”, w rozgrzebanej kopce przesychnącego siana leżał Burek i Mars Wiktorczyków, rudy wywłoka, który już z niejednego rodnia mądrość wylizywał i obcałił ją po wszystkich śmieciakach. Choć nieraz jeden drugiego poturbował, teraz spoczywali zgodnie, jakby nie czuli sędów w pa-
szczęce.

Burek, spracowany przygodami niłoseemi po przedniej noc, zdrzemał się od czasu do czasu. Po głowie, napasionej wspomnieniami błogiemi, mi-
galy obrazy.

Kiedy z wysokości lusiała smuga światła, zaraz się budził, z zabobonnym lękiem patrzył na widmo bladego księżyca i natychmiast spuszczał łeb, mru-
cząc zakłęcia, znane przerażonej duszy psa. Raz paszczką skurczyła się do śmiechu, aż z uciechy brzuch zatrząsał mu się.

— Hi! hi!.. ścigają tę psia postrachę, nikięj my dziada w ciasnej ulicy.

Rzeczywiście po ugorze niebieskim uganiały chmury, podobne do gromady psów, milczkiem przy-
padających do świetlistych lydek księżyca. Z cieleśka jego na ziemię spływały czarne i srebrne szmaty cieni i blasków, jakby kawały przyodniewy.

— A żeby ci smaty potargaly, a żebyś ni miol co wlożyć na świecący grzbiet. Ech, kijem wyprać i zamknąć do budy, żebyś świata nie obocyl, beskurcyjo. Siedziolbyś na twardej ziemi, inacejby ci smakowało rycie, nie spiwołbyś se w górze jaśniutkich piosnecek, nie wydzierolbyś sie co dnia na niebo, żeby nos strachać po nocy. E, co mu tam, leży se na barłogu z chmur. Iżno to bdy? Kiej zawse mo pasekę tłustością oblaną — sierdził się Burek.

Jakby na uragliwą odpowiedź wiatr rozpędził chmury. W wyrwie przepaścistej stanął błyszczący krąg, niby pijanica, który wychylił głowę z za góry, zrazu zerknął blaskiem, potem oparł czoło o krawędź, rozdziawił paszczkę i chlusnął światłem wdół.

Burek spuścił łeb i strwożony odganiał na swój sposób czary tej przeklętej smory.

Zrobiło się jasno. Obloki rzadka mknęły po sklepieniu. Cienie zwiewne przelatowały po ziemi. Ścisła je paświata, dreptając srebrnymi stopami. Wśród chmur drgały gwiazdy, jakby stado wróbli grzebalo się w piachu; któryś z nich zaświergoce światłościę, strzepnie skrzydłem i ginie w pyłe mgielnym.

Mars zaś w milczeniu rozgarniał śmiećniki pa-mięci, po drogach swej bujnej przeszłości zbierał gnaty obrazów i obgryzał z nich resztki radości. Na obliczu znać było zadowolenie, jakby luba paraono-siła się z saganu serca, w którym gotują się tłuste wspomnienia. Długo dumal, długo smakował. Znalazł mądrą myśl, jakby wywłócił z komory kawal słoniny.

— Kumie, słuchajcie, co wam powiem. Już nie jeden dzień przeryłem, nie jeden, ani dwa kije rozumu mię wzięły, kładą rżec ze wszyckich stron

obserwując i nie dając sobie czasu być tam — nie-
kać — — ho — ho — ja mądry — — wszystko
widzę — ale nijak nie mogę się dopatrzeć, żeby
człowiek miał jakie ~~zainteresowanie~~.

— Co tego? — zaspianym głosem pytał Burek,
łękliwie spacerując wokół — ino żeby gospodarz
nie usłyszał waszej godki, bo prawdę rzec, to bicie
mi nie pochać.

— Nie bójcie się. Zreślą na swoją miskę nie
plują.

— Izo na ręce, co miskę podają.

— Na kij.

— Hi! hi! na kij — rychterną prowadźcie
ręki.

— Pockojcie, pockojcie, bo mi sie we łbie po-
myślenia skolturnią i nijak nie wydropię, co moim
rzec. Aha — już wiem. Kozdy powmien zryć z mi-
ski, omaszonej tłustością, żeby jaze z brody skapy-
walo. Żyć kuli radości.

— To sie wi — żywo przyświadczył Burek.

— A człowiek ściele se postanie z placów, sio-
ników, z turbacis. zagrzebuje się w tym barlogu po
usy i ręce łomie i wrzescy, ze niesczęśliwy mo los.
To jest tak: głupek pierze się kijem po plecach
i rozdziro sie, ze go boli.

— Jużcić, jużcić... człowiek nie widzi, ze na tej
ziemi koryto życia jest pełne śmiechu. Oho, jo ta
wiem, pojodom se godnie.

— Jest śmiech, ale jest i płac. Życie, to jak
ten osiet, mo kolce cierniste, ale kwiatunki piękne.
Ba, poco chytac za ciernie, kłej kolą, a człowiek całą
garścią łapie za kolce i łzami obliwo najpiękniejsze
kwiatki. Nie łap głupek za to, co nie potra, ale

zbieraj same dobroci, to sie bedzies cienił. Doś
ucfechy na świedze.

— Poco lecieć za zgniłą kapustą pod las, kiej
mom pod nosem michę borscu ze spyką. Jo wy-
bierom, co smacnieise.

— Jednoki oba mamy rozum. Mądrość sie
w nas topi, nikiej dżinim do zgnie i oblewa nasz
zycie.

— Hi! hi! — Burek i Mars zgodnie rozdzia-
wili pasteczki w uśmiechu zadowolenia.

Pogadywali se statecznie. Czasem któryś nagle
się zwinął i drapał kudły, kiedy demon w pachlej
skórze zatopił tądło, to znów ziewnął, machał ogo-
nem, rozwarł paszczę, jakby chciał roccoś watnego,
o czym pisałyby kroniki psie.

Czas leciał, jakby poganiany batem

Od strony karczemny rozległo się szczeknięcie,
jakby samica lubieżnie się przegięła. Chrapy psom
dignęły, w piersiach serce zadreptało szybkimi sto-
pami. Obaj udali obojętność, drapiąc się pokudlach.
Równocześnie zgodnie pomysłili:

— Bierze cię, dziadu

— Leciolbyś, podpalony łbie, ino siemie strachos
Jo tez potrafię wojować i nie dom ze z pyska
wyrwać.

Te zycdiwe i przyjazne uczucia ukryli w bar-
logu myśli, a pysk ustroili w wyraz serdeczności,
jak przystało na dobrze wychowanego psa, który
w rękach nie nosi duszy na pokaz. Jeden do dru-
giego głośno poszczekiwał.

-- Latawica.

— Ino zgorzenie z niej, Jaze wstyd sluchać.

— Zaśogę nimo pomarkowan'jo, nawet za okru-
synę chleba.

— Taki wyrodek psie!

W pierśiach ogień kłębami kipiał. Psy leżały na ziemi, ale w płomieniach pragnień i potądzań. Nie mogły dłużej utrzymać zmysłów na smyczy. Naraz obydwu porwały się, niby woly, pędzące do źródła w skwarnej dleń. Każdy z nich sprawiedliwie, po sąsiedku myślał.

— Musz ją mieć. Z przejedzenia nie zachoruję. Trzeba piersemu dopaść i chycić, co można, byle, imo nie dać sobie z zębów wydrzeć. A czego ja nie dojem, trzeba się racetelnie podzielić. Kiedy chciałby mieć tyle, co i ja. Ho, ho, musi być sprawiedliwość ludzko: ja z pełnej miski, a ty, co mi z brody skapie. Nie może inaczej być. Jesceby się kaj świat wyrócił, a tak se zówniutko na čtyrech kółeckach lecj w swoją stronę.

Psy pędziły z wywieszonemi ozorami. Ogony rozwiane, podobne były do proporców bojowych. Zaiązane, z piśkiem przypadły do upragnionej krynicy. Poczęły przytykać nosy do nosów, obwąchiwać, wzdychać, gdzie w ich miłośności najajakiejse spieszono. Samica grahna, gietka, powabna, miała wyraz tak obiecujący, tak słodki, jakby trzymała w zębach kawałek cukru, budząc nsiwnych, że zębami bronieć będzie skarbu. W jej mordce wyzywającej, potądliwej, tyle było wstydlivosti, ile krup rozsypie się z pełnej ćwierci. Jednak psy w różowych blaskach pragnień widziały samą niewinność. To Mars, uniesiony animuszem, co łorek pełen parobczanski-fastacji, w podrygach zalotnych podbiegał, padał na przednie łapy z uwielbieniem, jakby przed królową pokorny sługa, wypowiadający oczami słodkie, czule tajemnice.

— O, najmilso, pierwszy raz na cie spojrzałem i zarazcie pokochałem. Patrząc na ciebie, moja dusza zmieniła się w jedno sęknienie: kocham cie, o, wybrano.

Powaga i dostojność saki w lot zgorzała, niby garść suchego siana. I ją porwał wir zabawy. Po ugorach, po ścierniskach skoki, gonitwa, harce, swawole, w czasie których zapasnicy przechwalali się zaletami ciała. Pomiędzy Burkiem a Marssem panowała zgoda. Każdy wachał radość, każdy lizał na dzieję.

Nagle ni stąd ni zowąd skłębione ciała. Rozległ się przeraźliwy wrzask, blysnęły ślepie, ohnane zęby. Psy opasane charkotem nienawiści i skomleniem bólu jęły się wodzić po zagonach. Przy korycie odwiecznego prawa miłość toczyły bój, o którego kęsy smakowite walczy nienasycone wszelkie stworzenie, od czasu, kiedy na duszy i ciele wyra stają kły i pazury. Jeden drugiemu zagradzał drogę do upragnionego celu. Obydwaj chcieli zaporę usunąć, by dorwać się do rozkoszy. W splocie pokaleczonych ciał, zbolalych skowytów, gorzało nieśmiertelne ognisko. Przy niem głód z głodem walczył orężem zemsty i nienawiści.

Samica, zmęczona zabawą, legła w bródzie. Dysząc ciężko, śledziła przebieg wypadków, oceniając siłę muskulów, będących kluczem do zamkniętych skarbów. Coraz posądliwiej spozierała, mruczając pod nosem słowa spalone wstydem, a pełne litości, lekceważenia i pogardy.

— Biedoki wy... tak się prac. No i o co? Dyć to nie mójka z zarobem. Nic nie ubędzie. Smarcy lo wsyckich. Nachla sie jeden, az mu w grdyce stanie, bedzie miol dosyc i drugi. Pocobijatyka? Powolocku.

zgodnie i kordy sie naje. — Zniecierpliwiona długą walką, ze złością warknęła: — Zawdy ino my musiewa cierpieć... Czy taki głuptok mo wyrozumienie, mo jaki rozum i odcucie? Hale! hale! — pysk do sukana i do sarana, sie zastanawianie i gromności ani tyle, co pchła na grabiecie wyniesie.

Serce jej rozgorzałe pękalo na dwoje i ku obydwom wyciągalo stęsknione raniona.

-- Poco sie bić... na co... podzielta sie.

Zastępione samce z coraz większą zawziętością szarpały się. Nadnieja zwycięstwo, niby pułkarniejowy, przechodziła z kłów i pazurów wyczerpanego, w kły i pazury mocniejszego. Suka znudzona i zła laziła po ugorze, nie mogąc sobie miejsca znaleźć. Pogodziła się z losem.

— Pockom — ni mom cego sie tropić, choćby se który rozbił leb. Ich dwóch, a jo jedna. Przecie któryś przywlece gicoly, choćby poprzetrucane.

Rozstrzygnięto bój.

Burek po lachmanie pobitego poszedł do krynicy wiecznej rozkoszy. Mimo skałeczeń kroczyl dumny, jurny, zadzierzysty, jakby weń wstąpił rozczapierszony indor. U stóp wybranej złożył szcęknięcie głońe, wymanie gorące. Oblizal się poządliwie i dalej w koperczaki Suczka na to zrobila skromną minkę, spuścila zasromane ocięta i oblala się ramieniami, prowadzić dżwirzym...

— Bez kwiatał... Nie mogę ..

— E, co tam pannicy lotają po główce figle. Chłop wsiowski powinien lotać za wsiowską babą po wsiowsku... po chłopsku...

Mars pokonany chwilę leżał na pobojowisku. Z trudem największym pobierał kości. Uciekał z pola

bitwy z przekleństwem. Gdyby mógł, toby kijem okładał się za lekkomyślność.

— Mos — mos — trza ci było tego. Zachciało ci się, jak starej babie, terek na wiosnę. Mos, na zryj się.

Kulal... skomlać, zdawało mu się, że na każdym kroku znajduje ślady swej hańby i z jękiem na nich się potyka. Za każdym razem z boleścią i zazdrością warczał

— Azeby ci suka łapą trzasnęła w paszczkę, za moją krzywdę

Po chwili gorzko się uśmiechnął.

— On strasnie się boi mojego klęcio, kiej mo cubatą miskę pod brodą — zwiesił smutnie leb i dumał wielce strapiony — ino on wsendy. — Pcho w siebie wszystkie dobroci i zawsze jest nienazarty. Przecie i drugi chce się pozywić.

Na kpiny z jego nieszczęścia ścigali go okrzyki wesela. Gdyby miał siły, toby je poszarpał. A mógł je tylko własnem skomleniem zagłuszyć. Mimo, że każde echo kijem nań spadało, to jednak przystawał, nadsluchując.

— Ścigają się. Ona ucieko — myślołbyś, nogi polomie — a rada, kiej ją chyci. E... e... kocio pora... wsendy osukaństwo. — Pchlę w kudlach najgęściejszych zdybies — ale prowdy z kudłów dusy babskiej nie wydropies. Może?... e... nie! — nie do rady — nima na świecie takich pazurów, coby zdołity taką rzecz sprawić.

Z dołu obolałej pamięci byle głupstwo wywlekało wspomnienie klęski. Wszystkimi oczami duszy musiał patrzeć na swój srom, na nadzieję, zmarłą tak sromotną śmiercią.

— Wyścilo se legowisko mojem plakaniem, maci se mojami łzami... Poćom hań lozł jacy djasi mie powiedli. Lepiej, zebym nogi pierwszej polomol... zgrzytał, a tak, jakby zębami szarpał własną ranę...

Z za stodoly Grębowianki wybiegł Kruczek, ot taka lisiomordka, obłudna, ciekawska, a uprzykrzona, jak mucha. Zaczął się firtać, płatać między nogami, kręcić z głupia frant ogonem, obwąchiwać paszczkę, nasmarowaną smułłiem i zgnębieniem.

— Cegoście taki swarzony — coś macie na wąpięch, jakieś stropienie kolką wos źgo. Powiedzcie, ta si: wam lekarj awła.

— E... e... nic mi ta... ino... ino... widzisz... — Mars udawał obojętność, ale pod ciosem przypomniaenia zawrzał słością. — Cóż zasieros do budy dusy... moseś ciekawy moich zębów, to ci pokoszę. Ostawię ci coś na ozorze, cego nigdy nie wysokos. O mos... o mos... pokostuj... nie bedzies sie wymiewoł ze stropienie drugiego.

Kruczek podwijał ogon i umykał z piskiem, z krzykiem, jak ukarany srodze chłopak, który chwycił w garść rozstrzęsione porczęta i ucieka przed kłębem ojca, wrzeszcząc na całą wieś: tatulu, już nie bijcie — o rety — retecku... oj boli — oj boli — zebyście tam byli, tobyście poculi — o retecku święty — na cem będę sledził, kiejsście mi wszycko odbili.

Mars uciekającego wcale nie ścigał. Nie miał ochoty. Sam chciał uniknąć oczu ciekawych. Niezmarcnie wśliznął się pod szopę Wiktorczyków. Piekły go rany ciała, ale stołkroć więcej doskwierały rany dusy. Żadnej ulgi nie domał, choć se mądrze po-

wtarzał swoje przykazania, wytopione z doświadczeń,

— Kiej obocys babę, a przy niej Burka abo innego djabła, uciekaj, choćbyś miał nogi połomac. Miej zawsze w pamięci przestrozę: nie właż na wół przez koło, bo ci sprychy gnoty połomią. Nie nadstawij pasceki pud kopyta konia, kiej ci bole nie smakuje. Nie wtykaj nosa w miskę, kaj leżą silniejsze zęby. Wszystkie dobre te godki — ale szkoda scekasio — one nie wortają ani zgnętego ziemniaka... kiedy sie wmiesio baba... Co tam mówić?... Babsko, jakbyrzec... e... e... to, jak przynęta w paści... Kiej ci zapochnie, kiej obocys, wrzesc ze wszystkich sił: nie chodź hań! nie chodź hań! Ale cós ci mówić na rozum. Mo pies rozum, kiej o babę sprawa... Godką nawet najmądrzejszą zębów nie wyscербis, kija nie połomies. Psa uwiązes na łańcuchu, ale dusy zoden rozum nie utrzymo na postrońku, kiej baba wlezie w ślipia. Polecis za niom, choćby ku hycłowi... Tak, tak... zbieros mądrość do głowy ze wszystkich smietników, mos pełną komorę, ale przy babie tem sie nie porzywis. Ino machnie ogonem i wszystko sie rozleci, kieby wiater dmuchnął w kupę piochu. Ino na cie pośry, a wszystkie rozumy sie wypolą, ino trochę popiołu ostanie, zebyś biedoku miał w co byz loć. Przy babie wydycho najmądrzejsio mądrość. Uwaga! njej zastanowjenje, siedź w budzie spokojale, nie leć za sukami... e — e — e — machnął z goryczą ogonem — mów do kamienia, to cje tak samo uslucho. Co to jest? Jacy djasi wodzą? — i takie cu defka wydziwiają — nie moze mi sie pomieścić w głowie... Nje cje na uwiazanju nje utrzymo... po tardzes łańcuch i polecis do miski z dustością — choć wies, ze z ciebie skóre zedra... Kiedy się na

zryja, że ledwo nogi wleces, to się mówis na rozum! jo już teraz mądry, zarlem paździerze... oho... oho... już drugi raz nie dom się chyćić... Wtedyś mądry? Nie dos się chyćić?... — ale — ale — niech ino zaleci cie babski zapoch, toś już zgłupioł jesce głupiej — mrucał zgrzyśliwie. Długo jeszcze rozgrzebywał smiecznik zycia, zbierał skwarki myśli i mądremi słowami plakał nad ogłupiałą duszą, do której wciąż napływał piekący wstyd i piobun uczuć. Czasem z ulgą pomyślał, wspominając ostatnią walkę

— Nie będzie mu smakowało to jadło. Jo też, jak mogłem, to mu zębami pomaściłem. Dość na targotem kudków. Mom choć taką pociechę. Dobro i psu mucha — jak powiada nase przysłowie

Ale ta mucha była marną pociechą. Ilekroć porosie nadleciały odgłosy hałasliwej zabawy miłosnej, zmieniała się w rój os, gryzących biedaka jadem okrutnych wspomnień. Kręcił się, ciskał, zgrzytał, pomstował, ale to wcale ulgi mu nie przyniosło. Coraz bardziej się sierdał, coraz bardziej posępniał. Dusza, wciąż goębiona, leiała zagrzebana w smutnych myślach i wspomnieniach, pełnych klujących paździerzy. Co chwila się zrywał i spieczonym osami liść maogłonna rany.

— Choć se tak idziebelko ulżę — kiej inacej ni mogę... Z ciała wylizę bolenie — ale z serca zgodno siła tego nie zrobi... Wstydu nie wypłujes — ostatnie... Chciołem jeść z tłustością — oj chciołem — teraz pomaszę se plakaniem.

Ułożył się nieco wygodniej i mrucał wielce strapiiony.

— Jednemu lampa świeci a drugiego ogniem piece. Ło jednego ziemiak jedzeniem a ło drugiego kamieniem... E... e... Zysie to nie oszasta, wytopiono

z miłwanjo — oj, nie — oj, nie... Doplerutek^m mówił Burkowi: oset kolce pusco i kwiotuski, chytoj za kwiotuski — oj, chytołem, całą gorścią chytołem — kocio krew! — zaklął z wściekłością, jakby język i duszę pokłoty wszystkie najostrejsze ciernie ostów wszystkich.

Właśnie ~~stady~~ opłotkami wracał Burek po przygodzie nocnej. Wcale nie miał postawy rwycięzcy. Łasł rdechły, obmierzły, niewający. Ciagnąc po za gonach utrudzone nogi, mroczal z goryczą:

— I miłowanie zdoła bebechy wypatroszyć.
Wryćko mo na świecie swoje zęby — oj, mo! —

Burek dalej uczestniczył w burdach i bijatykach. Okoliczne pola były widowiską sztartych zapasów o pleć nadobną. Bezlitosnie walczone w myśl odwiecznego prawa, te ścietka krwawa prowadzi do rozkosznego celu. Z parurów wydrerane sobie kielich z nektarem opajającym. Pobity rżasznik nawet współczucia nie budził. W sromocie opuszczał niezaszczytne pobojowisko. Łapki uroczych suczek dostawały się w nagrodę współzawodnikom, zwycięskim silaczom.

Burek, mocny w pysku, rączy, zgrabny, wytrwały, niemal zawsze odnosił zwycięstwo. Rany zaś, zdobyte w bitwach, nosił jakby zaszczytne odznaczenia. One nie męczyły wesoła. Panował nad całą wsią, pędził życie w radości i ulesze, jakby miodem smarowane. Kiedy zaś wspominał o nadobnych ofiarach, zawsze ze smutkiem kiwał łbem.

— Ej, zębyś miał dziesięć mord, tobys zarł, a nigdy głodu nie nasycis... Bruch napchasz bele kapustą... ale dusy nie... Co to w tem jest?

Czasem spotykały go zawody miłosne, ale one nie czyniły na nim wrażenia. Ponosił je wiatr, niby zmurzałe ziarno. Umiał z życia wybierać najsmaczniejsze kęsy, objadał się całą paszczką. Niektóre

psy mu zazdrościły, ale nikt nie czuł do niego złości ani zemsty. Niejeden porządnie oberwał, to prawda, ale pobity, wylizując bóg, mruzczał z pewną dumą

— To jest prawdziwy pies — uzari, to prawda, ale się wie, kto uzari. Nie zol-

Burek latał po wsi, po polach, z taką miną, jakby nosił djabła rogatego. Kaldun przerastał słyszaniem, a dusza pęczniała od sławy i wesela. Ten zawadzaka wsiowy płał psy, niebacząc na nagany i bajdy sparszywiałych sak, które, w niemocy letąc pod przyciesią, pokrzywione, odrapane, kudłate, gorszyły się jego młodością, z zazdrością myśląc o tem, że im sił zabrakło. Wyprawiał warjactwa takie, że nawet pies, letący w dole, na ich widok pękałby ze śmiechu. Tymczasem nadbiegał chytymi krokami nieublagany koniec.

Zawisła nad nim zemsta, niby miecz Damoklesa albo pętla hycła. Pies był dobrych myśli. Nieraz napadał na Sruła, zdążającego z okolicznych wsi i napędzał strachu. Kowalik brał go w obronę. Burek rozłarty tracił pamięć, często zaów doskakiwał, chwycił róg chałatu, warczał, ale w oczach miał śmiech. Zabawiał się, udając złość „dla śpasu“.

Jednego dnia, w czasie takiej zabawy, wracał Kowalik. Chwycił psa na postronek.

Pachciarz, zbiegający, trzęsący się, zasłaniał się rękami, a usta wyrzucały porwane słowa próśb,

— Awa... awa... taki bik... zabieracie go... niech on z gembóm na mnie nie patrzy. On może przegryść nitkę.

— Jaktó nitkę? — dziwił się chłop.

— No, to, co trzymocje.

— Przecież to postronok do pętania koni.

— Jemu nic nie znaczy człowiek, a toby wortala

tako konopno nie. — Jadamie, Jadamie — weźcie go.. Co jemu tak pochtę moje miłko.

— Szuła, nie bój się — przynie wate miłko, to nie kapusta.

Zawzięty zdrowie. Zart i śmiech, to omalita na tydzień. Burak — Burak — co za się nie robi.. to grzesny pon — wyciągał rozstrzępioną rękę w odległości dziesięciu kroków nad owiązanym psem i wykonywał ruch głaskania.

— Nie bój się.. ja nicnie robię.. nie.. nie — ukruszył kawałek obwarzanka i rucił, uśmiechając się do Burka, jak się uśmiecha wisielec do sznura, z którego szczęśliwie się oberwał.

Z powodu ciągłych napadów zycie pachciarza było nad wyraz przykre. Patł do psa nieprzejednaną nienawiścią. Chciał się pozbyć swego najzaciętszego wroga. Myślał o piorunujących brodkach, sprowadzających nagłą śmierć, o truciznie zmieszanej z ośrodką chleba. Sam nie miał odwagi zdobyć się na ten szaleńczy czyn. Plan morderczy podsuwał chłopakom wiejakim. Mówiąc o tem, tak kołował, tak owijał w bawełnę, że ci się rozumeli. o to idzie i na umór zapijali sprawę. Szułowi w głowie maciło się z tych strapięć. Ledwo się położył do łóżka, ledwo w piernatach zasnął, a tu z pod poduszki wyskakiwał Burak, czatował przy poszarpanej pierśi, aby wydrzeć biedne, struchlałe serce. Z wrzaskiem się rzywał. W dzień przeladował go potwór żywy, w nocy jego mara, po stoćroć straszniejsza. Wkońcu, po długich naradach ze swoją najdroższą żoną, postanowił działać na własną rękę. Wpadł na kapitalną myśl, którą natychmiast w czyn wprowadził. Pojechał do miasta. Co tam robił, nikt nie wiedział, dość,

że wracał zadowolony, a nawet z wozu do Burka uśmiechał się, może zwycięsko a może lekceważąco.

Los Burka był rozstrzygnięty, choć ani przez myśl nikomu nie przeszło, aby mu groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Pies, w czasie ogólnej potrzeby, nie mógł pozostać obojętnym widzem „w narzuconej nam wojnie”. Nie miał wprawdzie walczyć o wolność pomniejszych narodów, aby sprowadzić „trwały, a honorowy pokój”, nie uznano go za zdolnego z bronią u łap odierać wroga, ale i on też musiał podjąć brzemień ciężarów w służbie obywatelskiej.

Jednej niedzieli Burek od samego rana laził osowiały. Żarta go niewytłumaczana zgrzyzota i wewnętrzny niepokój. Nie uganiał za wrogami, nie wiódł kłótni z szeregią wróbli, które w żywe oczy z niego kpły, wydziubując ziarno. Cały świat stracił urok, życie pociemniało. Wszystko mu obrzydło. Nie mógł sobie miejsca znaleźć. Wylatywał na ulicę i z trwogą nadśluchiwał. Biegł do kopców granicznych poza wsią i patrzył na pola. Przenosił wzrok z obrazów, długo się nimi lubował. W duszy rozświecała się słoneczność pól, obłana zapachem świątym. Nagle opadł. Chlusnął skowyt krótki, jakby ktoś serce bałem ciął. Pędem wracał do domu. Laził z kąta w kąt. Przyleciała suczka z przyjemnym przymilaniem języka, mordki i opona. Minął obok tych słodyczy zupełnie obojętnie. Poszedł do stajni, żalśnie uśmiechał się do krów, do konia. Śladł na ziemi, oparł głowę na ścianie i patrzył tak, jakby miał wybuchnąć płaczem. I tu nie został. Spotykał Maciusia, Kowalikową, laził im ręce, wlepił oczy w ich twarze, jakby chciał na zawsze zapamiętać, włóczył się u nóg, chcąc za wszystko przebłagać, o coś pro-

sil. Piersi się podnosiły do szaleństwa wysiłku. Dawali mu co najlepsze jedzenie, nie tknął nawet.

— Cóż się wyrobio z psem, cy go źle opętało, cy paralus go tknął? Lasi po izbie, lasi po oborze, ino sie patrzy zakōśnie, place oczami, jakby miał skonąć — dziwiła się Kowalikowa, patrząc na udręczonego ze współczuciem.

— Cy aby nie chory? — zatrwożył się Maciuś.

— E, jak ta pies — uspokajała kumoszka — casem telepie go coś... mo casem pies przecucie. Pamiętacie, rok temu takusiesko wyl. Mówiłam, ktoś umrze. I nie prawda? Cy nie umarł Gębalka kulawy? Pies mo cuj. Wszycko widzi i serdecnie place...

— Pasem go ucisę, to mu sie odechce i ana berji.

Burek nie uciekał. Uderzony popatrzał wiersością i skargą obłądnych oczu. Mały, skurczony, z obwisłym łbem, powoli powłókl się do budy. Jakby tywcem w grobie zakopany skomlał; to był głos we łzach wytarzany, w ranach moczony płacz psiej złości.

W czasie wojny europejskiej władze austriackie zabierały po wsiach psy i z powodu braku kosi używały ich jako zwierząt pociagowych.

Burek, pełen trwogi, wciąż nadśledziwał. Chciał uciekać, ale niewytłumaczona, przemożna siła, chwyciła go za kudły i do budy cisnęła. Stał przed krzewem brzo i podniósł oczy szobale.

— Co mom robic?

Krzew pochylał się nad nim. Naraz drgnął. Wszystkie liście ze złości zaszemrały:

— Tyś taki som, jak człowiek.

Zwinał się, połotył uszy po sobie.

Po pewnym czasie, cicho, nie budząc najłżejszego hałasu, przesunął się przez dziedzińiec, przepelzł przez dziurę i runął na ulicę.

Zdawało mu się, że obok rosnąca lipa zatrzęsała się ze zgrozy, zalamiała wszystkie gałęzie, wpadła do sieni i na cały dom, na całe podwórze, wrzasnęła

— Gospodorzu, Burek ucieko!

Kowalik wyleciał z pasem.

— Póđś haw, ty, kundlu zatracony.

Pies stanął, jak wryty. Wrócił, jakby obity kijami, potykał się, przetaczał, upadał. Trzęsła się w nim każda tyłka.

— A niech co chce będzie.

Przeszła Kowalikowa ze skopcem do krów. Polazł za nią. Połotył łeb na progu, wpatrując się w gła oczami zakawionem!

— Co mam zrobić.., gospodyni?

— Bestyjo krowa, nic nie chce przypuścić — ciąć i ciąć cycek — a tu jak z kamienia — stoi i zry trowę. Może ci dać spyrki? — ścierwo! — gospodyni krzyknęła na krasulę i huknęła ją w bok, nie zwracając uwagi na Burka..

Psa zaś ścisnął, jakby pętlą hycła.

Dzień dłużył się. Minuta za minutą przemijały, jakby okulały ua obie nogi.

Zmordowany pęś usnął po południu. Przez sen targał mocnym łańcuchem, szarpał, grył, skowyczał. Prześladowały go majaki okrutne, to znów przechodziły mile obrazy. Widział dobroć Macjusia, razem z nim uganiał po polach, obłany słońcem, razem na miedzy spał, przytuleni do siebie sercem do serca. Znow zobaczył gospodynię. Przypadł do niej

z radością, lizał ją po rękach. Dala mu skopiec mleka. Zaczął pic. Wtem jakiś przekłety czarny potwór porwał mu jedzenie. Chciał skoczyć, aby bronić. Na karku poczuł ręce Macieja. Chłopiec przytulał twarz do rozczochranego łba, coś mówił serdecznie, jak może mówić serce miłujące i chlapał do uszu zalesanym głosem. Łzy wielkie, łzy dziecięcego cierpienia, z krynicy czystych, spadały i ginęły w gęstych kudłach Burka.

— Oj, zabierą! Jezuściu! zabierą, nie dom, o lo Boga, nie dom! — płakał rzewnie, coraz kurczowiej obejmując psa ramionami.

Burek lizał zwilżone dłonie. lica chłopca, jakby chciał utulić zał, pocieszyć najserdeczniejszemi słowami. Nie znalazł przyczyny cierpienia, widział splananego i jak mógł wyrażał współczucie, patrzył w ukośniamego wzrokiem bezgranicznego przywiązania.

Wkrótce przed budą zjawili się jakiś mocni ludzie. Obejrżeli psa ze wszystkich stron i orzekli, że musi zostać pożytecznym synem kraju, mającym orzywać chwałę ziemi, z której prochów powstał. Mimo szamotań, targañ, wywlekli Burka z budy. Usiłowali nałożyć obrozę. Rzucił się na przybyszów, dygotając z wściekłości, warczał coraz zjadlej!

— Jo wam ta pokosa... mie rykać? z waszej miski jem? — Wy na mnie z kijem, jo na was z zębami... jo na swoim, tom mocny... nie dom sie wziąć.

Zmęczonego, zbitego, obozwładnili. Letal ziały, ze skręconym łbem.

— Cóż se one myślą... jakieś drapace przychodzą na wasze podwórko... a wy nic... cóż to znaczy, gospodyni? przecie tutaj wasze rządy... wyścigajcie ich, jak Szula... ratujcie mnie! — Pies patrzył na

Kowalikową dwoma wyrazami pękającego z rozpaczy serca. Wzrok padał w proch, skomlał, prosił, błagał, u nóg się włóczył wyjątkami spojrzeniami.

Kowalikowa stała na boku. Z kpinami patrzyła na przybyszów. Czasem sięnęła ich batem szyderswa, dogryzała im do tywego. Śpieszenie kończyli swoją robotę.

— Toona go nie bron! — zawył poraz ostatni. — Rety, to ona go wydaje w obce ręce, za tyle warowanie. Tako wywdzięka za wyćko. — Ludzko wywdzięka.

Jut się nie bronil. Szkielet w szmatach kudłów ruszył dobrowolnie z łbem obwisłym. Coś w pierśsiach się kłębiło, coś nim wstrząsało. Minał podwórze. Poczuł Maciusia. Spojrzał na niego. Jakby ktoś nadeptał ranę i trysnęła struga łez.

● — Bierań mie... Co ja zrobię bez ciebie... Kaj mie powiedą... Ratuń mie... Uciekniewa wroz... — Jeszcze targnął się, drapał pazurami ziemię. Nie mógł rozserwać mocnej pętli. W czasie daremnego szamotanía rzucił ostatnie spojrzenie, ostatni płacz, wygnanego z d^omostwa.

Maciś, rozżalony, pędził za oprawcami i błagał o zmiłowanie, o wypuszczenie Barka. Z rozdzierającym głosem zabiegał drogę.

— O lo Boga, nie bierzta, — o lo Boga, nie bierzta!

Wracał do matki, ciągnął ją za spodnicę.

— Mamo, nie dojcie Barka, oj, zabija—

— Nie bój się, nie zabija — jutro ci go odprawdzą.

— A poco biera?...

Nie wzruszył nikogo. Znów biegł za oddalającymi się. Czepiał się nóg obcych. Któryś brutalnie

go odepchnął. Chłopiec podniósł się z ziemi, oparł rozpalone czoło o słup bramy i szlochał i skartył się. Matka przycisnęła rozplakanego, głaszcząc go po głowie, pocieszała:

— E, nie buć za bele cem, no, cicho już. Weźnę inzego psa od stryka.

— Już... już... nie będzie taki... gdzie Burek... kaj go bierą — wybuchnął niewysłowioną złością przywiązania.

— Nie płac, no! nie płac! W poniedziałek kupię ci piscolkę na jarmaku albo organki.

Plakał nieutulenie.

— Dom ci cęta na cukierki. Cichosz, smar-kocz, mosz też o co beceć. — Otarła mu nos za paską. Chciała go do domu zaprowadzić.

Maciuś stał bez ruchu, ścigając oczami odchodzących. Kiedy pies zginął za węglem chałupy, wyrwał się z rąk matki, pobiegł na róg, aby jak najdłużej patrzeć za ukochanym.

Łzy go dławily. Czyste, wielkie paciorki ciekły po twarzy. Chłopiec cierpieniem bezgranicznem, dalecicem i szlochem najżałośniejszym, prawdziwym, te-gtal serdecznego towarzysza.

Burek, słysząc głos przyjaciela, jeszcze szamotał się, szarpał liem waeszał. Nie mógł się wyrwać z mocnych więzów. Kiedy targnął, postronek wrzywał się głębiej w ciało, dusił, ścisnął szyję. Oczy na wierzchołkach wylazily. Nie było mowy o oporze. Zbuntowanego podpedrano kijem.

Że czas był święteczny, to i wiewa ludu wyległo na podcienie. Pod ścianami, na przysobach, barwily się kwiaty spodnie, jaśniały rumianki lnianych koszul, zakwitwały pękowania chusiek, jakby ktoś bielony zrab najkrasniejszemi wycinankami wylepił. Jakiś chłopiec

na organkach wycinał. drugi targał go za rękaw, tądając, aby co tamtego zagrał. Opodał usiłował pa-
 serek uszczypnąć dawać. Fuzegitta leniwił przez
 plot, niby się brusiła, dąsała, a wpadała w objęcia
 i mdlącym ruchem wbernia gałązką popoliczkach,
 wabiąc go uśmiechem i spojrzeniem. Na progach,
 na ławkach, siedziały rozgwarzone niewiasty. Wy-
 wiekwały swe troski, szapienia. Co chwila innego
 obmawiały, zacierając do garnków duszy sąsiadek.
 Wywijaly otworami, niby kijankami, prały chusty spraw
 bliźnich, nie ostawiając suchej nitki. Jak zwyczajnie
 przy niedzieli, ręce godnie odpoczywały, ale język
 młócił, aby uradować i skrzepić serce na cały robo-
 czy tydzień. Wybuchal gwar, śmiech. Kiedy zoba
 czyły nieznanym, odrazu umilkły. Po chwili śmielsza
 pytała z ciekawością:

— A kas panowie wiedzą tego łajdusa?

— Do miasta

— A podóz?

— Zrobią z nimi, co należy.

— Cóż takiego?

— Oho, tam się nie będzie wylegiwał.

— Bierą, wszystko zabierą, ostatnią lyskę worzy
 i to nie twoja — zabiadały między sobą,

— Przyjdzie chyba nom wycnać.

— Haruj, uróć ręce, a tu obcy z pod gęby
 weźnie.

— Wola Boso.

— Tak! Tak! Wola Boso!

Pokiwaly głowami i zamilkły, aby wnet znów się
 rozgwarzyć o czem innym.

Burek włócił się obok chat, jak na ścięciu. Nic
 nie słyszał, choć wszędzie było pełno gwaru, ucie-
 chy, śpiewów. Najmniejszej uwagi nie zwracał na

ludzi, na rozbawione gromady dzieci. Nie zaszczeakał na prosięta, choć mu w pysk parskały szydliwem kwikiem: uri, uri... Mijał stado gęsi, które wyciągały szyję, syczały, szczypiąc go w pośladek. Na ostatek zagęwały wszystkie wraz:

— Widzisz!... i na ciebie koniec przyszedł!

Zaturkotał wóz, szarpnął się pies, nie wolno mu było jednak skoczyć ku koniom. W półkoszkaach rozwała się rodzina Zielińskich. Z kościoła wracali z nierwykłą ochotą, bo se kapinkę podchmielili. Bezrębny dziadus na tylnem siedzisku obłapiał przystarnią babę, belkotał, plótł jej douchaniestworszone sprężności, na oczach obmowy ludzkiej, spluwającej

W przechodzie Berek spotykał znajome, rozswawolone suczki. Te na widok oprawców brały ogon pod siebie i z przerażeniem uciekały w pole.

— Oho, coś niedobrego — skuczał żakodnie.

Spoglądał uważnie na domy, chcąc wszystkie szczegóły zapamiętać.

— Jur was nigda nie oboce — mruksnął, pełen posępnycch myśli i przeczuc.

Mijał chaty, zatopione w sadach. W ogródkach ciebily się jesienne kwiaty. Korony georgin wiedcami płomieni się otoczyły. Wyniosła malwa wystrzeliła ponad wszystkie, zaglądała do okna i jak oczarowana patrzała na odbicie jwycch krasaych barw i urodziwycch kartaltów. Z wału zieleni wychylały się szęby bielone, stare strzechy. Na drzewach, gdzięniegdzie rdzawily się liście zwiedle. Wstrząśnięte powoli, ciebo spadały złote plamy, na trawie leżały podobne do zabitego motyla. Na konarach krasniały piętel dojrzewajęcycch owoców.

— Jabłka sie cyrwienią — mówił do siebie Burek na widok znajomych sadów. — Urodzaj tego lata. Niechże tam będzie ludziom jak najlepiej. Wrotają. Widzi mi sie chałupa Joskowskiego. A juści, cyjazby była. Ale jabłka!.. z podziwem patrzył. — Żeby ino lajdoki dziecinie oberwały. Niściorze!.. nałomią gałęzi, natłuką kamieniami, choć nie z tego ni mają. Trzeba dobrze pilnować, bo obedną. Złodziejskie nosienie. A cy to upilnuje ten stary „Targaj“, ino sie wylegiwać na podbudziu, ino zryć, ale do roboty to go nima...

Na sąsiedniej gruszy zauważył stado rozbrykanych wróble. Obsadły kraj parkana i gałęzie. Cwierkając, łakomie zerkały na serek na podstrzeszu, w siatce nicianej. O mało nie pognał, aby przepłoszyć natrętną zgrają.

— Huncwoty! chcą se letko zryć, ino kraść, ale o robocie to nie pomyśli, jak nie przymierzając gospodorski pies. Doł jobem wam, żeby mie ino w gorści sie mieli. Żarłaki zaciekle — zry to i zry bez pomiarkowania, a nigda sie nachlać niemoze ludzką krzywdą. Takie to już nieodmienne.

Co krok spotykał nowe obrazy. Patrzył na zagrody, widział ludzi, chaty, pola, rozbawione dzieci, bez troski tyjące gęsi, kaczki, cielęta. Wszędzie radość, wesele, wszędzie szczęście. I on to ostawia, porzucą... Poczul do wsi miłość niewysłowioną.

— Ino tutaj zryć, ino tutaj umierać.

Podniósł łeb, obejmował chałupy spojrzeniem serdecznem. jakiś bezbrzesny żal w piersiach zaskakał, jakby sygnał te ukochane, drogie strony płaczem długich godzin, boleścią rozłąki. Na samą myśl, że może już ich nigdy nie zobaczy, posępniał, na wpół żywy wślkl się z rozpaczą, skowytem...

Przed karczmiskiem zatrzymano Burka. Powiodła go złemi spojrzzeniami czereda uwieczonych towarzyszy. Jedne były poprzywiązywane do płotu, inne do wasąga woru. Leżały smordowane, straszne w swej milczącej wściekłości.

W srybie, zawleczonęj zieloną ręką, ukazała się pigrowata twarz Sniła. Ogromnie ród, z podziałkami wybiegł w rozwianym chłacie.

— Widzia, mos — ty, biku... mos, nie bedzies biednych ludziów mordował — charkotał, wywijając pięściami nad nieszczęśliwym wrogiem. Trzymając się oburącz słupka, kopnął bezbronnego, obeszwanionego.

Pies raskomlał przeciągle, straszliwie, jęk przeorał go nawskróś. Nawet nie zapamiętał tego ze wszech miar najboleśniejszego ciosu... choć rana wspomnienia mogła duszę zakrwawić...

Srul z podkataną jupicą zabiegał drogę i słodkim głosem zapraszał najmłodszych gości.

— Panowie, prosę do środka, mom cymes — co, cy — mes mo... mo... — przykladał palce do warg, cmokając.

Opiekunowie weszli do karczmy. Zabawili dość długo. Po powrocie naładowali na wóz zwierzęta, poprzywiązywali do drabinek.

Naostatku za odjeżdżającymi posypały się grudki, raczone przez tydzia... Wrzask radosny wybuchnął.

Droga była piaszczysta. Wóz widać się w obłokach kurzawy. Koła grzęzły w miękkim posłaniu. Ziarenka przesypane cicho szmerwały. Czasem odezwał się woźnica, trząsnął bat, kantorki dźwiękły. Burak smordowany niebawem usnął i przespał półdrożę do miasta. Obudził go raptowny turkot po bruku.

Była późna noc. Jechali jakąś wąską gardzielą, oszczoną wysokimi ścianami, ginącemi w przepaściach ciemności. Z przełamywanych ścian wyskakiwały rozczochrane lby lamp, oslepiając rażącym blaskiem. Ulicą lasi spóźniey przechodzić, człapał ciężkimi krokami, za nim pełtała plama cienia, tak namacalna, jakby miała wszystkie wymiary. Loskot kół przerażliwie się rozlegał po pustych wnękach, załomach zaułków i ginał w mroku.

Po przebyciu znacznej przestrzeni wóz stanął przed ogromnym, czarnym gmachem. Zaskrzytały klucze. Z chrobotem otwarto bramę. Psy wpuśczone do środka ciemnej czeluści. Burek szedł po oślizłych, zimnych kamieniach. Nic nie widział. Na ślepo postępował za innymi. Zaskrzytały jeszcze jedne drzwi. Wpuszczono go do ciasnej izby, przywalonej niskim połapem. Na ścianie wisiała mała lampka. Światło z trudem przedzierało się przez zakopcone szkiełko, rozjaśniając zaledwie środek posadzki. Po kątach zaś panował mrok, jakby tam ktoś podmiótł śmiecie ciemności. Na podłodze, na amierzwiowej słomie, na ~~paluchach~~ spalo kilkanaście psów. Na ich widok przedziwna otucha w Burka wstąpiła. Przez próg rżnię przeskoczył, ze skuczeniem, wyrastającym zadowolone, obwąchiwał współbraci. Z każdym ~~chwiał~~ zawrzed znajomość. Kręcił ogonem, mrucał serdeczne wyrazy pozdrowień. Niektóre wcale nie zwracały uwagi na powitanie. u innych zadrgał tywszy błysk, jakim patrzy się na słoneczną zabawę dziecka, które jutro ma skonać. Jeden czarny, mrukliwy kundys, zupełnie wyraźnie okazał swoje niezadowolenie. Na szczerę, przyjazne słowa, mruknął zgrzyfliwie ni w pięć ni w dziewięć, wreszcie zniecierpliwiony

i rozdrony serdecznościami, odsyłał go do krośset djabłów.

— A wyszoł sie roz'edniennie, cytkoś mi i cyrkoce za usami, myśli, że mi smakuje tako godka, dźce se kajindziej.

Burka — znial szerskiego odzwania dalej lagodnie pytał:

— Cór u wos słychać?

— Pogodony kiedyindziej.

— No, to dobrze.

— Hi! hi!... no to dobrze... o rozbrajająco naiwności — zadrwil któryś i szeroko ziewnął.

— Jutro inacej będzie, mówił.

— Pockoj do rana, zdechnie ci godka w brzu-

chu...

— Myśli se, że idzie do omaszonego skwarkami zycio, to się wesoł.

— Zgnije ci ta radość.

Z rozmaitych kątów zrywały się dokuczliwe, krótkie pomruki i szersknięcia.

— Przywlece sie, bies wie skąd i budzi poma, ani nie można wytchnąć. Cór u wos słychać — zaczepiony kundel przedrzeźniał głos Burka — hi! hi!... piesek z morskiej pionki, pockoj ranka, to sie samo dowiz, jaz ci kością w gdyce stanie. Azeby cie djasi nadal z taką robotą, przylezie i spać nie daje — rozłoszczony stękał, kwękał, przewracał się z boku na bok, a nijak nie mógł znaleźć dawnego, wygodnego miejsca w legowisku i nie mógł zasnąć, wybity z pierwszego snu.

— Cór chceś brachu, chciał ci cuda wsiowskie opowiadać — z kup szmat zaszydeł głos chrupliwy.

— O jo znova strasnie na to chytry, jak na postna, a zgnila kapusta, kiej jestem najedzony.

— Ej, zjodlbys bracie i taka, zeby ci ino dali pelna michę. Zsom swoich.

— Nie wspominoj po próżnicy — westchnął rzewnie i z pewnym wyrzutem, jakby chciał powiedzieć, nie wymawiaj jej nazwy nadaremnie w tym lochu.

— A ty idź lepiej spać — kilku zwróciło się z goiewem do przybysza — nie lakome my twoich nowin, bajd. culości zostow lo siebie, jutro batem ze lba wywieją, jak plewy z młynka.

— Cegósta takie — z talem się zapyal.

— Idź spać.

— Nie budź nos.

— Godki na jutro zostow. — Słychać było złe warknięcia.

Burek strapiony i zgryziony tak niechętnem i wrogiem przyjęciem, powłókl się w najdalszy kąt. Po drodze zawadził o nieruchomą kupę kudłów. Na nagiej, twardej posadzce leżał szły pies. Nawet nie drgnęło potrącone ciało, schorzone czy zabite. Przednie łapy miał naprzód wysunięte, w nie leb wtułony; pozostał bez ruchu. Uszy opadały na nogi dwoma zwisającemi płatami. Brzuch, wklęsły, okrywała skórą sparszywiała. Burek zdziwiony stanął, potem jął go obwąchiwać, naokolo obchodzić, dotykać, lizać; przymilał się, niby przeproszał, o przebaczenie prosił. Tłumaczył swoją nieuwagę, a właściwie chciał z niego wydusić jakieś warknięcie przyjaźniej sze. Łaszył się przypochlebnie, jak przed gospodynią. Pomimo, że nie otrzymywał żadnej odpowiedzi, wciąż gorączkowo prawil i dziwował się.

— Cegół mi nic nie odpowiada? Wszystkie jesteście strasznie byrne, zadszłota nosa do góry, nikiej dalewucha paradno, co nie wie, jak urodę mo nosić. Ani ku wom przystąpić z dobrem, pałem słowem, bo kordy chciałby lno gryć, lno tormosić. Cegół wyśta takie harde? No, cegół?... Dyć myśwa wszystkie wros stworzenia szczekając. O, u nos, na wśł, to jest całkiem inacej. Chłopskie, cy drapsońskie, z chaluپی, cy ze dwora, wszystkie sie znowa, choć sie ta nieroz i nie dwa w tydnis bijewa. Jak cego cas, jak trza, to bika, jak trza, to zgoda. Jakze to zawsze jednako żyć, bez odmiany? Cegół nic do mnie nie mówia, cys ogluchł, cy co? Powiedz mi, na co wos taką chmarę tutaj zegaali, co ta porobiota w takiej okrutnej kupie? No, rzeknij mi, za co mię ten hańten tak bardzońko sponiewierol i zekłaj, przecie jo taki som pies, jako i on... cegół tak wydziwiol, no, dyć my przecie równe wobec kija ludzkiego. Cóż jo mu winien, rzeknij dobre słowo, rzeknij...

Stary pies z największym trudem podźwignął głowę. W lochach zapadłych ukazały się oczy przekrwione, straszne. One były jękem i przekleństwem. Nie wydal żadnego głosu — jeno patrzal się i patrzal. Przeboleśny wyrok oędziarza wypowiedal treść zycia w spojrzeniach, zboczonych posoką smutku, targal się skowyt rozpaczny, skowyt skrzywdzonego serca...

Nawet nie uniał się poskartzyć.

Burek pod niemiem spojrzeniem zwinął się i zaskomlał.

Ono go przeszło na wyłot. Sposepiały zwiesił łeb, tak mu nagle zaciężyl. Nie miał sil dźwignąć. Powłóki się i legł w najdalszym kącie, na zimnych

płytach posadki. Gdziekolwiek zwrócił wzrok, wszędzie widział utkwione oczy tebraka, bezdomnego nędzarza, który wśród nieszczęść żywota, zapomniał mowy, a lka nie słowem, ale straszliwym spojrzeniem, wytarganem z otchłani męczarni. Rozpalały się rany żreń. Przerazenie zatrzęsło Burkiem, bo ten okropny skowyt wzroku okazywał wyrok, przepowiadający nędzę najemnika...

Na drugi dzień wypuszczono psarnię na wybrukowany dziedziniec, obwarowany prostopadłymi ścianami. Na grymsach, niby na kressach, błękit wspinał atlasową osnowę nieba. Słońce, chyłkiem przekradające się, oświeciło rąbek muru. Jasno dątało w górę, w dół jednak panował wilgotny, posępny zmierzch. Burek po nocy kiepsko przespasanej, wstając, przypatrywał się towarzyszom niewoli. Była to zbieranina, regnana z różnych okolic, przedstawiciele najróżnorodniejszych maści, najsprzeczniejszych kierunków wychowania. Jednakże, mimo różnic urodzenia, panowała wśród nich niezwykła zgoda. Trafiły się osobniki rasowe, tresowane, przwałowały jednak proste, wsiowe „Kruczki“, „Targaje“, mrukliwe, a pracowite, gotowe podjąć najcięższy trud, bez jednego słowa sprzeciwu. Wyóżniała ich potulność, która z pokornym poddaniem przyjmuje wyrzyk, jako dopust, jako karę za winy popełnione. Bóg wie przez kogo. Świećota pogodnego ranka pokrzepiła skołataną siłę tak, że niektóre swawoliły, czochrwały się o naroznie, tylną łapą drapały prędko, prędko grube kudły. Inne zaczęły płatać psie figle, urządzały zabawy, harce, gonitwy, bardziej zaprzyjainione spełniały sąsiedzkie przysługi, to litąc jeden drugiego, to wybierając okruszynki z sierści. Ten chwilowy

wypoczynek został przerwany. Wyniesiono kilkanaście misek. Zgraja z wrzaskiem rzuciła się do zarcia. Co który skończył wcześniej pożywienie, obzierał się, gdzieby coś ukrąść. Podchodził do drugiego, ale ten nie dał się zwiędź pozorem przyjaźni. Nie przerywając sobie jedzenia, błyskał ślepiami, wyszczerzał zęby i warczał krótko. Bezczelniejszy gwałtem chciał porwać, rzucał się niespodziewanie, zdradziecko. Zaczęły się gryźć, wodzić po podwórzu, a trzeci wyteriał do ostatniej okruszyny. Zgodę zaprowadzał bat człowieka. Burek był setnie głodny, to też chlął chciwie. Podjadł se niezgorzej. Obtarł głowę przednią łapą, ziewnął raz, drugi i patrzył za barlogiem lub cieniem, gdzieby mógł w chłodku wypocząć do południa, jak to bywało na wsi od dawien dawna. Nie znalazł ani ździebelka słomy. Skrawek podmiecionego cienia do muru nie mógł mu dać ochrony. Poszukiwań zaniechał, gdyż uwagę pochłonął nierwykły ruch i krzątanie. Z pod drewnianych daszków wytaczano miniatury wózków, wasagi z deskami na płaskiłożonemi. Z haków zdejmowano uprząż, drobne lejce,

skłk

— Ho! ho! — jakie wszystko figliwe — myślał w cichości ducha, spozierając uważnie na te sprzęty, statki, osobliwości.

Burka dziwił każdy szczegół. Kręcił się po podwórzu w tę i ową stronę, mordał ogonem, rządził pysk. Ciekawość nie dawała mu spokoja. Chciał się czegoś dowiedzieć. Pierwszego z brzegu zapytał:

— Nacudować się nie mogę, co się tu wyprawia, powiedzcie mi, kogo to bedom zapręgać, dyć nima hań takiego małego żróbka, ino my.

Zagadnięty, czarny, jak kruk, kundys, zupełnie nie zwrócił uwagi na grzeczne pytanie. Żwawo się wywinął i stanął obok dyszla.

Ludzie przywiązywali psy postronkami do orczyków. Na kark nakładali naszelniki. Burka zastanawiało to, że tak ochotnie, bez pomstowań podchodziły. Aż kręcił z niezwykłego zdziwienia.

— Coś w tem jest, że tak smakuje, niktiej kłowski z mlekiem. Ino jo nie wiem, co. Hi! hi! Jak se śwarnie stoją, żeby „kary“, abo „lyso“ oboczyła takich zakutów, dopieroby sie usnięły. Hi! hi! Pękać se śmiechu. Ze też ludziom chce sie tak z nami zabować. Ale musi być dobre, kiedy tak wszyckie wroz przystępują.

Naostatek i jego sprzągnięto dospółki z wylezioną, zbiedzoną, niezmiernie smutną suką. Z początku zawadzały mu nakładane pasy, krępowały ruchy, przywykłe do swobody.

— To ino zrazu, potem bedzie inacy — wzwycając sie pomalućku — pocieszał sie nieco stropiony.

Na widok tych osdób, zawieszek, pętelek, duma w nim wyrastała, saby ciasto na drożdżach. Chępliwie podniósł łeb, wypiął piersi i czekał.

— Co to bedzie — miścięrcpliwiony i rozgorączkowany spodziewał się, kaduk wie, jak omastczonych wrzesał.

Na prozdie saturkotały kółka, podskoczyły na wystającym progu, już zakolatały w sieni.

Burek wciąż jeszcze stał w miejscu.

Wnet i na niego krzyknięto:

— Wio!

Nie ruszał się wcale, nie wiedząc, do kogo od-

nosi się to wołanie. Przecie koniem nigdy nie był! Jego towarzyszka twawo pociągnęła, lecz sama nie mogła dać rady.

— Wio, ty lajdaku... dość się naprędniaczyłeś... nie zawsze bedziesz wiatrem gnał — he — he — no, wio! —

Teraz dowiedział się, że i do niego się odnosi ten rozkaz, poparty silnem ćwieknięciem. Nijak mu nie smakowało takie obejście. Niezadowolony kręcił nosem.

— Cegór tak zaraz przeklinają i biją? Cóż se myślą, zem to bele co, zem pacholek na śmietniku urodzony, a nie w gospodarstwie? Jesce tego nie bywało.

Świsnął bat kilkakrotnie, tak samiutko, jak nad siwkim, kiedy gospodarz zwoził siano lub zboże w czasie żniw i na koniach złość wywierał. Uderzenia przeorały ciało. Burek zadreptał w miejscu, zaśkocztał przejmująco, jednak nie pociągnął. Żółty warknął:

— Ino se mną nie racynojszta — bo se popamiętota.

— Ehe... toś ty taki maselek — poczka, ja cię tu przyoczę słuchać ludzi.

Zaraz też zaczęła zbawcą naukę.

Chcąc przełamać opór kraprznego psa, zaczęto przemawiać do rozumu grubszym końcem biczyjska. Pies, okładany razami, wpadł w prawdziwy obłęd. Oszalały ujadął, wspinał się na tylnych łapach, rwał do ludzi. W swej bezsilnej wściekłości nie mógł nikogo dosięgnąć, więc oslepiły, bezprzytomny, szarpał, gtył towarzysza niedoli, wbijał zębce w nędzne ciało, mszcząc się na bezbronnyim i słabym za własne cier-

pienie. Rozstarty bolem targał lejące pyłkiem spienionym.

Poganiaese kleli, po jakiego djabła przyprowadzono takiego potwora. Nie chcieli jednak ustąpić Zacięci w uporze chamskim, mruzcili:

— Ty na nas rękami, my na ciebie kijem, a no, będziemy widzieli, kto kogo przemote... jeszcze nie było, teby człowiek ustąpił.

Zwierała walka nierówna między ludźmi a Barkiem, między grofmem szaczkaniem a kijem. Mocni napędzali rozum bezlistosnem biciem. Rozstarty, kundys dopiero teraz pokazywał, co umie. Jego wolna natura nie pozwalała się wziąć w mocne trybyprzymuszonego obowiązku. Zbuntowany szalał. Po długich szamotaniach galopem podskoczył kilka kroków, niespodzianie skręcił w bok i wózekiem, niby przyczepionym kadiubem, wyrzucił o słup. Powoli go usiepano. Bez sił padł na ziemię. Po wyczerpującej, a próżnej, nadaremnej walce zrozumiał, że jego nieoklehaną wolę ujęły kleszcze silne, nieprzelamane, od wieków niezmoenione i że nie zdoła ich rozlufnić ani rzucić z karku. Zgnębiony, pociągnął za innymi towarzyszami niewoli.

Od tego dnia rozpoczął nowy okres życia, zupełnie odmienny od dawnego. Odbierał niernane wrznięcia. W mieście nowy świat zobaczył. Wiele dziwów i niespodzianek przeżył, o jakich psia fantazja wyobrażenia nie miała na wsi. Wszystko było nowe. Zaciekawiał go każdy napotkany szczegół i wprawiał w zdumienie. Z zajęciem przypatrywał się cudom, dotychczas niespotykanym. Codziennie mijaly go tysiące ludzi; niy podobni do wsiowych, ale jakoś cudacznie wyglądający, mający na głowie przetałki, napełnione wiązankami kwiatów, doniczki ob-

wieszane wstążkami. I domy były inne, obryzanie, szlączone barami równo w rząd. Nigdzie nie widać szczytu dachowego, nigdzie kalenicy z kołkami, paźdzurami, nigdzie strzechy, strzyżonej w ładne karby. Ściany, niewiedzieć po jakiego licha, poobtrącane. Z wysoczyzny wytrzeszczały tysiące ślepi. Aż strach zbierał. Przechodnie ginęli w czeluściach szeregłębionych, jakby ktoś rzucał toboły w dół niezgruntowanej, a drugim bokiem wytłaczał, że chodnikami płynęły barwne strumienie. Niezliczone dymy przetęwały się w ciasnych groblach. Gdy ktoś na środek ulicy zboczył, to jakby jaskrawe wiadro, czy pstrą odczepkę wiatr wygarnął z cizby, miotał na bruk i z powrotem na chodnik rzucił. Przejścia omaczały mury zachłapanie, tak, jakby ktoś pędziem na śmiech zachlastał całe polecie. Nad drzewiami ciemniały niezrozumiałe napisy, na hakach wisiały kraśne stmaty. Burkowi wydawało się, że wnet będą święta, bo przecież dobrze wiedział, że na wsi tylko na Wielkanoc baby wietrzą przyodziewę, wystawiają na widok wszystkich, aby się chelpić bogactwem i kłuć w oczy zazdrośnych... Okna były pełne dziwotworów. Wszędzie oslepiała go wspaniałość i niezwykłość.

Gdyby mu porwolono, patrzyłby bez uprzykrzenia całemi godzinami. Najwięcej dziwiły go wozy — nie do wiary — bez koni. Skądś, z za żalomu, wyśkakiwały takie potwory, gnały na złamanie karku z piekielnem furczeniem, z tartasem. Ginęły na zakręcie, zostawiając wyszlizgane ślady swego biegu. Po nich pędziły wciąt inne, dzwoniły na gwałt, jakby się palił świat. Lecząc na złamanie karku, narobiły harmideru, wrzasku, drąc się nacale gardło: trzymaj, łapaj. Burek miał ochotę obszczekać te dziwolągi-obwachać, ścigać, jak dawniej chłopski zaprząg. Nie

miał odwagi skoczyć. Przejmował go podziw na widok cudów, równocześnie jednak powstrzymywał go rabobonny lęk.

Na postojach szeroko rozdziwiał pysk i gapił się, niby ciele na malowane wrota. Kiedy inni to zauważyli, nie omisskali kpić ze zdumionego.

— Cegół chape rozwołos, jeste ci ta wielgachno chalupa wleci i cóz z nią zrobis?

— I kaj bedzies pchol kapustę!

— Dajta mu pokój, cuduje sie, przecie nie zwycajny telo dziwów. Widzi piły roz

— Dyć miasto obocylem, to i w głowie mi sie ze wstykiem pomąciło — któryś ze sąsiadów objaśniał z najpoważniejszą miną, naśladowując głos Burka.

— No, to sie napatra.

— Ho! ho! niejedno jeszcze uwidzi, ze bedzie sie odwracół od dziwowiaka — zachichotało kilku

— Jageł był w mieście — bedzie we wsi dziociom opowiadał — to mościewy, widzioleł takuszką, jako i ta, chalupę, w samej rzeczy takusienką, ino na kółkach. Takie same mo ślipia, takie same dziwieta. Widzicie, nie do wiary. Postrzelone loce po ulicach, hań brzdęknie, hań gwiznie, ryknie i na sto tysięcy djablów goni, a to ani wół, bo rogów nimo, ani to wóz, bo zoden koń cudoka nie ciągnie. O rety! — krzyknie zadziwiona baba. — Ajno, pedom wom. com widziol, jako na wos teraz patrzę, samo leci, gwizdo i zostawio za sobą świecące zelozka. hań zawdy syny narywajom. Z prowdy syny, nie cyganie. — Dalsze dokuczania przerywał gwizd baba, Gromada kpienie sie tzywała, a psy dyrdając wzdychały:

— Skrzepiliśwa się ździebko.

Barka drażniły nierasłutone tarty. Jednak nie umiał się odgryźć. Zapominał języka w gębie. Często szyderstwa i docinki przyjmował z dobrą wiarą naiwnego chłopca, kiedy indziej znowu niechciał wszczynać niepotrzebnych kłótni, bójek. Te dokuczania były niczem wobec groźnego i niebezpiecznego ruchu ulic. W ten dzień też sposób nie mógł przywyknąć do ogłuszającego hałasu. Wśród wrzasku, ruchu, wśród wrzuszonych krzyków, wśród biegających ludzi, stał ostrożnie. Bał się kroku zrobić. Skłębione głosy przewalały się, niby rozszalała burza. Zdawało się, że go porwie, poniesie i rzuci w otchłań loskotów. Często nie zdawał sobie sprawy, czy chodzi po ziemi, pękającej pod nogami, czy zapada w bezdnie, pełną trzasku kopyt, huków, ryku przerażającego. Turkot kół przygniatał, ogłuszał. To nie tak, jak na wsi. Tam niezmqcona cizra. Wszystko slychać, każde wolanie. Jeszcze wozu nie widać, a po turkotcie można poznać, z czyjego obejścia wyjedzie i poco. Jak do lasu, to małe drabinki dygotają, jak we znowa, to trzaska długi pawęt, jak literki albo półkoszki, to z pewnością po ziemniaki albo po kapustę. Tam wszystko widać. Dobrze urządzenie. W mieście w niczem nie mógł się rozróżnić. W głowie ciągnęły łomot, akby trzeszczała czaszka, deptana twardej obcasami. Ciągła krętanina doprowadzała go do oblędu. Chce ustąpić na jedną stronę, a tu z drugiej raptem wydrze się potwór z piekła rodem i wali młotem z taką zapamiętałością, jakby był dobrze zapłacony.

Burek za każdym razem wzdrygał się przestraszony. Miał wrażenie, że go zmiadają, strącają. Gdzie postawił nogę, tam rozlegał się trzask, podłozę pękało słowroszbae, jakby miasto miało go gruzami przywalić.

Obok głucho dudniały wozy naładowane ciężarami. Konie wlokły się z trudem, stawiając kopyta zmordowane na wydługanym bruku. Trzymając się podkółków, szli woźnicy opasani fartuchami, wykrojonemi ze zgrzebných worów. Kiedy ich karawana psia mijala, zdumieni zwykle przerywali rozmowę, ocierali rękawem wąsy i tego spluwali na zwierzęta.

— A to śmieszne bestyje.

— Nie trą darmo boskiego chleba.

— Festny kawał uciagna

— Nie dziwota, wypoczęte i najedzone przy chłopskiej misce... niczego im nie zbrakło.

Patrzyli na zaprzężone istoty z lekceważącym zar' k

— A ruszte się! Olbrzymi dryblas świeknął batem po łapach małego, schorzałego psinę, cochwila upadającego. Uderzony zaskowyczał, pobiegł kilka kroków i grzmotnął głową o waszątek poprzedzającego.

Gruchnął śmiech gawiedzi.

— Jaki prędko, leci jak do miski.

Śpieszno mu, mało łbem dziury nie wybil

— Robotny — he — he —

Zbiedzone, wynędzniałe robotniki nigdy litości nie budziły. Owszem, obicie nieszczęśliwca uchodziło za miłą zabawkę. Ludzie szczodrzy byli w okrucieństwie. Burek aż narzyt prędko poznał człowieka, aż narzyt odczuł na swoim grzbiecie bezwzględność tycia miastowego najemnika. W ciągłej, nieprzerwanej hardwce zobojętniał na wszystko. Zapracowany musiał przebiegać miasto w najrozmalszych kierunkach. Rano do jatki po mięso, po chleb, po drzewo, potem po kosze z jarynami, po graty, toboły różnorakie. Zawsze w zaprzęgu, w goniwcu, w mordę-

dze. Dopiero około południa przypędzano go do domu. Ledwo go odprzęgnięto, już upadał bez tchu. Zasypiał kamiennym snem. Po południu gnano do nowej roboty. Po tysiącokroć musiał przebiegać rojne ulice. Najdokładniej znał spotykane kramy, skrzynie pod płachtami, podobnemi do dachów na krokwiach, te same twarze uliczników, włóczęgów, handelesów, przekupek. Wiedział, o której godzinie, gdzie go zatrzymają na spoczynek, więc śpiesznie podązał, aby jak najprędzej dotrzeć do celu i chwilę odetchnąć. Czasem przechodnie, wzruszeni ich obrazem, rucali kawałki chleba, ale nie wolno było podjąć, czasem litowali się nad nędzarami, ale nie wolno było słyszeć miłosiernych słów. W kieracie wytężającej pracy wysechł, sposepiał. Niktby nie poznał dawnego Burka, pełnego fantazji, zamasztyści. Dumnie noszony łeb zwisnął. Sierść włośniasta trzdziła, zwijała się w twarde koltuny, których zgrzeblem nie można było rozczesać. Kudły wisiały, jak przegniły lachman, narzucony na ostro sterczące kości. Na obłuskanej skórze od naszelników i postronków żywe mięso się krwawiło, gnoiłysię zastarzałestrupy. Leciałby stąd do wsi o głodzie i chłodzie, choćby tam mieli go żywić postnemi ziemniakami. Przysięgał, że jaby był z każdym psem, z każdym koniem w bezprzykładnej zgodzie. Nieraz z rozrzwieniem wspominał tłustą, a słośliwą Muchę, znaną bajczarkę, obwąchującą podwórza, aby jeno coś wygrzebać ze śmietnika psiej duszy i na dziesiątem podwórzu rozgłosić nowinę, uwłaczającą godności dobrego stróża. Z lubością myślał o „Magdzie”, wiecznie latającej pod przyciesią, mającej w pysku szczekanie zakisłe, niby kapusta stara, przyprawiona zgrzyliwością i kołcami szyderstw. Zaprzyjaźniłby się z „Targajem”, z „Par-

szwym^o, „Cawronem^o”, ginącym z głodu u najpo-
głodniejszego komornika.

— Kozdemubym przyswiodcoł, bakę skłil, a ba-
sowół, z drogibym ustępowoł, jurbym wiedziol, jak
żyć, do nikogo marnego słowabym nie rzekl, oj!
oj!... mozebym sie wrocił — przysięgał na swoje
świętości.

Mierzila go niewola. Rozmyślał nad ucieczką,
choć wiedział, że zatrzasła się nad nim brama sto-
kroć cięższa, niż ta, którą go w izbie zamykano.
Jeszcze się buntował, targal postronki, ale coraz rza-
dziej. Wszelkie powstańcze zapędy na poczekaniu
postramiano doraznie, ale gruntownie. Życie mor-
dęcane pogruchołalo siły, poobłukało wszelkie
bunty tak, że serce leżało w spowidiu ran. Pies
włoczo rozumiał, że dusi go mocnozaciskanapęta
ludzkiego wyzysku, że wšera się coraz głębiej. Nie
znano litości. Ptu w niezem nie przepuszczano. Od
kopnięć, chłosty ciało pokryło się palącemi siłcami,
jednak najboleśniejże ślady ludzkiej opieki zasłaniała
sierść. W pocie czoła zarabiał na postną miskę stra-
wy, na katdy policzony ziemniak. Nikt nie okrasil
skapo wydzielanego jedzenia, nikt nie podlał choćby
zbieranem mlekiem, choćby serwatką. Oj, nieraz za-
plakał na wspomnienie dawnych, wsiowskich czasów.
Nieraz do półna w noc nad samym sobą się roz-
talał.

— Pilnowołem, jak swego i za co mie oddali
w taką poniewierkę? za co? Cym to nie warował
kole domu? Teraz cierp, haruj, naciągaj syły i lo-
kogo? i za co? — no, powiedzcie! — Prowda, zjo-
dem se godnie, wyspołem se na podbudriu — co
prowda, to święcie powiem -- ale w nocy dobrze
natyrpołem Bartka z kreywą gembą, bo mu cudse

smakowało. Cy to jednego złodzieja odegnolem. Dyć mało jałówki z obory nie wywieźli. Pościli już za płotem. Popamiętał sobie moje zębce. Nie załowołem się. Zrobiłem im dobry poczęstunek. Nie wymowiom, ale dać złodziejskiego ciała natyrmosilem. I za to mnie tak okrutnie ukrzywdził. Rety! — i za tyle dobra, za tyle procy...

Narzekania i skargi przerywały troski gospodarskie i obawy, jakie mu przychodziły na myśl.

— O, rety! jakże hań teroz. Cy se choć bezę mnie dadzą radę? Zeby im ino nie wyniósł sadła ten kuternoga. Czemże daćciom będą maścić. Jadom już wypatrywol nie ros i nie dwa. Ostrzyłem zębce na ścierwę, ale mnie zabrali. Ej, wsendy ino złodziej pa nuje... wsendy ino trzeba pilnować.

Kiedy myślał o wsi, oczy świeciły jak dwa obłoki, które wypłynęły na niebo radości i nagle zwały się nad ziemią jego smutkiem...

Wspominając dawne czasy, błogo zasypiał Śniła mu się zagroda wśród zieleni. Zdała z pod osłon liści błyszczący biel ścian. Leży sobie wygodnie rozparty przy budzie. Muchy nad nim brzęczą, drzewa kołysane powiewem cicho szumią. Obok latają kury, kwiczą prosięta. Uśmiecha się do „Siwka“, do „Krasuli“. Wszystko widzi drogie, kochane. Pilnuje gospodarstwa, jak dawniej. Od domu idzie Kowalikowa, w obu rękach niesie ogromną miche, pełną smakołyków. Miłaska ozorem, śmieje się, bijąc z zadowolenia ogonem. Za chwilę z Maciusiem uganiają po polach, tarza się u jego stóp, a chłopiec go tuli, pieści, pieczczołiwie nazywa. Znow widzi gospodarza, sypiącego owies do słobu, a na pobliskim dachu czatują chytre wróble, czekając sposobności, aby zaraz wpaść i kraść ludzkie mienie. Wyskakuje na pierś

Kowalika, łasi się, łizę. Wtem, jak widno złowró-
bne zamajaczyła chuda postać. Burek porывco zry-
wał się, warczał i kąsał mrok i swe skomlenie. Do-
piero wtedy poznawał srogą rzeczywistość. Zbudzony
ze snu, z przerażeniem patrzył na współtowarzyszów
nieśmi, na czarne ściany więzienia. Teraz chłop
wspominał się aniołem ~~dobroci, potężna~~ wolność nigdy
nieśmi, wymarzonego miem, która, po swem
odejściu zostawiła w sercu, jako klątwę, bezgrani-
czną boleść i tęsknotę. Obrazy przyniesiane ze
wsi miały z początku barwy słoneczne, przepojone
jasnością. Ukazywały się w szatach odświętnych,
a tak wyrażicie, jakby na cudze obrazy patrzył ty-
wemi oczyma. Te wrażenia upajające powoli prze-
rął dym i wyiewy rynastoków. Zostały one omro-
czone, podobne do domów okopconych tumanami
sadzy lub do szat nędzarza, wypranych w kaluty
życia. Obraz wsi, pogoda, wesołość, bestroska, niby
łaka święta, wonna... długo ukrywana... zginęły pod
skorupą krywdy. Jakis czas jeszcze wspomnienie
leciało do wsi, jako echo łkań: jeszcze się stała
promienna nie, aż wkońcu i ona pękła. W piersiach
została cześć bezdena i płacz wytyskiwanego.
Karmiony białem, goryczą i bólem nie wspominał
minionego życia.

Już nigdy do nikogo z powitaniem nie podsko-
czył, nie łasił się, już nigdy nie zaszczerkał, bo zda-
wało mu się, że gdy wyda głos, to będzie kąsał,
szarpał, ćwiartował rękami przekleństwa. Wieczorem,
po pracy, wtulony w swój kąs, chciał zapłakać nad
swym okrutnym losem. Musiał jednak milknąć, obity
krzykami towarzyszy. Zewnątrz zrywały się szacie
knięcia, warkoty nędzarzy.

— Cicho leż!.. — mamy pełną michę swoich sropleń.

— Cda nam do twoich?

Zerzyjcie je som, żeby ci ino w gardle nie zostały, bo kości wykrztusis, ale one zostaną..

— Wiecznie skowycy na nase urropienie. — Małos sie narobił, ino przypomino, — a żeby cie hycel roz zabroł.

Burek z powodu swego odmiennego usposobienia pędził życie samotne. Nikt go nie rozumiał przed żadnym nie mógł się wyskartyć. Te głosy niewyplakane padały w pierś, wyły w więzieniubolu i patrzyły spojrzzeniami..

Praca wytarła siły, zgięła grzbiet, głowę obarczyła jarzmem przymusu. Nigdy jej nie podźwignął w górę, abyzobaczyć radość, słońce. Przez ulicę posuwał się jak zgłodniały nędzacz, upatrujący miejsca, gdzieby mógł skonać. Stawał się podobnym do do rotkarskiego konia z wytartemi przez mój ocrodolami, który z największym trudem na twardych głazach stawia czerepy spękanych kopyt, aby jeno do kresu dowiec ciężar strasliwego żywota. Każdy krok był przekleństwem.

Burek wracał zmordowany. Ledwo leżał wieczorem w swem legowisku, twardo zasypiał. Nie w łbie były mu tarty, karesy, zabawy. Tylko w nocy odpoczywały naciągnięte kości, ponadwerżane tyły, ścięgna. To też w ciemnej izbie przez kilka godzin panowała zmartwiała cisza. Błogi spokój psów przerywał skowyt nagły, krótki: to bardziej zmęczony po trudzie całodziennym zasypiał na sen wieczny..

Rano zabierano zdrętwiałe ciało.

Na opróżnione miejsce przybywały nowe najem-

niki. One wnosily do więzienia powiew wspomnień dawno przetywanych na wsi. Wszystkich spojrzenia biegly ku drzwiom, ku ofiarom prowadzonym w pęta wyrysku. Wszystkie na mgotnienie przycichly, moce sobie przypominaly dawne przetycia na wolności, wieś, gwar, pola, urok... Burek wital przybywających, jak ów stary kundys w nieszczęsny wiecador, który podniósł skrwawionedoły i patrzal dlugo skargą straszliwą.

Cissem wraz z innymi zgryzliwie szczełal a tak jakby kąsal swe najboleśniętze rany.

— Ckoj, wnet ci pysk zawrą, ze go nigda nie zdolis rozerwał. Pockoj ino do jutra.

W tym cmentarzu umarłych, w smroku nieszczęcia, radośniętze szczełnięcie bylo czemś okropnem. jakimś brutalnym wybrykiem, bezczeszczącym spokój na śmierć skaranych w krzywdzie.

Minęło lato. Nadchodzila zwarjowana jesień, goniąc przed sobą skowlenia, wyjące we wszystkich stronach pustkowia. Przeciagające wichry zawodzily po bezdrożach przestwoży, jakby tułacza tęsknota przelatowała z ziemi ku niebiosom, miósac jęk nieszczęśliwych, pomstę rozdzieranych piersi.

Psy dęwigaly się ze swego zgniętego barłogu, grobami oczu w ciemność patrzyly, skręcały głowy ku glucho zamkniętemu oknu i wyly — wyly coraz przeraźliwiej... zawieruchą płaczów... Zdawalo się, ze potęga skowlenia rozwalil ściany, aby duchy, wyzwolone z więzów, uciekly z pomstą w rozszalały wszechświat, w burze, w jęki.

Wciąż zawodzily przejmujące głosy, niesione w wichrach jesiennych (kaf, w bezdotkanej szarudze, błądzącej po rozszalochanej ziemi w niewysłowionym żalu i rozpacz.

Drzewa wędły. Z wierzchołków ciekły strumienie
słota i szkarlatu. Łagodne po^wiewy pogodnego
dnia unosiły zerwane liście, jakby płaty otrząśnię-
tych promieni, rzucały do domów rozwartych te
ostatnie pozdrowienia konającego lata. Silniejszy
podmuchał i zafieciał najstrojniejszym pokrow-
cem szary, brudny bruk, zabloconerynsztoki. Słońce
spływało po gałęziach szczelinami, wydartemi w gę-
stem listowiu, smugi wylewały różaną wodę światła,
upojoną najpyszniejszymi barwami.

Niedługo trwała pogoda. Wnet nastąpiła słota
jesienna. Rozchlapały się deszcze, rozwyły zawieru-
chy. Psy musiały od rana do nocy uganiać po mie-
ście. Wiatr szarpał zbiedzone ciała, szagarniał pęki
baców i sznurami podzierganemi w grudy, pętle, prał
bez miłosierdzia wprost, skłótnie, chyłkiem, nieupo-
dzianie, aby mocniej, aby wężej. Krok w krok pędził
i smagał po pyskach. Uczepiał się obu boków
i uwieszony wgrzyzał w wylezioną skórę zimno, szar-
piące zębce. Jeden świsł na bezdrożach przepadał,
a już drugi trop w trop leciał z poza narotnego
domu i chłostał po oczach ciernistemi prętami. Po-
dmuchy tarzwały się u stóp we wtórce piekielnej oz-
rzyki, jakby na rozstajach, gdzie wichura, spędzona

ze wszystkich stron, staleje pokąsana wściekłą. Psy musiały się przepychać przez burzę, przez kurzawę gwizdów, pętających zdrętwiałe nogi. Jeden do drugiego przywierał, aby się wzajemnie ogrzać, ale świsł ostry, siekący, przecinał zniebożone ciała i precz roztrącał.

Wiatr szalał, wyl w ciasnej roztoce ulicy. Niczego nie oszczędził. Wszystko bił, chłostał, szarpał. Jakiegoś bezdomnego psa spotkał, rzucił go w kąt i przyśkakiwał doń ze skowytem, szczyrzył kły i darł i miotał z zaułka w zaułek. Na zbiegu spotkał wynędzniałe drzewo, tańczył naokoło pnia, przypadał do konarów, rozdzierał krzewinę struchlałą i ze strachu cicho pojękującą. Nałamał kruchych gałęzi, napocił, nadał, aż wyczerpany u wylotu zatrząsnął za sobą wierzaje. Zaciął. Jeszcze dyszał na rozstaju dróg, rzucił się na chodnik, przywarł zacrajonny, wyjrzał z poza rogu kamienicy, pogroził i znów się schował, aby nagle zaskowyczeć i kąsać i wgrzyzać rozjadłe kły w wychudłe ciała najemników.

Poganiacze na psach wywierali swoją słość. Na bezdomnych mścili się za szarugę, za zimnicę. Ich bezlitosose, twarde garście zełtały dopiero wtedy, kiedy ustała wichura, a ciepłszy deszcz począł jednolitajnie szemrać, dźwięczeć, przemieszać zwiewne pluskanie. Szapawica kisała w powietrzu, przepielniając jego lochy zgnilizną wyziewów. Rysatokami waliła rzeka brudna, bełkotała na kratkach ścieków, nie mogąc przez wąskie rozpadliny przedrzeć mułskorupy błota. W takim dniu wszelki ruch nieomal zupełnie ustawał. Rzadki przechodzień wymykał się z sieni, w pędzie roztrzepywał parasol i gwał na leb, na szyję. Lony, owity tumanami mgły, przekreślał ulicę chytym znakiem i gwał w pobliskiej bra-

mie. Pod okapem stał włóczęga, do nitki przemo-
czoney, dygotał z zimna, trząsł się, a nie miał gdzie
wejść, głowy schronić.

Psy, mimo płuchy, nigdy nie zaznały spoczynku.
Ciężary, załotone na wózki, wlokły z największym
wysiłkiem, robojętnie na cierpienie, na udrękę, jak
bandos wyzyskiwany od świtu do nocy w kieracie
krzywdy.

Jednego popołudnia zupełnie się wypogodziło.

Psy zatrzymano przed olbrzymim budynkiem.
Odpoczywały, pozostawione bez dozoru. Jedne leżały
na zimnych glazach, drugie stały w bezmyślnem
odretwieniu inne, młodsze, z pewnem ożywieniem
zadierały lby, spoglądając po niebie, po-
stachach

Słońce oświeciło ulicę. Brak, wysypany słotym
piachem promieni, skrzył, migotał odlepiającym blaskiem.
Wzniesienia wysterczających kamieni owijały
rowki, napelnione wodą, jakby srebrnymi wianuszkami.
Na powierzchniach kałuż niecił się silny połysk świa-
tła, które pod tchnieniem ciepła oddychało zwiewnym
oparem. W pobliżu rósł kasztan. Oślisły pień był
okuty w pancerz. Po spękanej korze sączyły się
ostatki deszczu. Zawieruszone kropła kłębiła niby dia-
ment, a strącona gasła, jak złuda marzeń. Na gałę-
ziach tkwilo kilka napuśconych wróbli. Ani razu nie
chwierknęły. Siedziały osowiałe, podobne do skurczo-
nych liści, odrywających się od konarów. Opodal
błądził bezdomny wytel, razierał do ścieków, szukał
ochlapów. Kulawy, sparszywiały nędzarz...

Burek spojrział nań przyjaźnie, pozdrowił, jak
brata.

Powoli ulicę poczynał się ożywiać. Ludzie otwie-
rali okna. W jednym z nich bawił się mały chłop-

czyk. W łagodnym ciepłe blade lica zapłonęły mgłą przelotnych rumieńców. Rozweselony chwycił naręcza promieni i przytulał do piersi. Kiedy spojrzał w dół, klaskał w dłonie, szczebiocząc czule do „Kruczków”, „Targajów”, „Filusów”. Szczególniej upodobał sobie Burka. Pragnął zejść do niego. Nie pozwolono mu, więc kaprysił. Dostał klapsa, rozbezzanego porwano. Z trzaskiem zamknięto okno. Burek patrzył z miłością na małego, przypominając sobie Maciusia. Kiedy go zabrano, taki tal go ogarnął, jakby za rozwijanym, ostatnim snem.

~~Chodziłami płynął~~ motki nurt tłumów. Od brzegu do brzegu kołysał się niby staw z odbitą tęcią. Bez przerwy parły strojne gromady, rozkwitające przeróżnymi barwami. Ktoś zatrzymał się przed psami. Poglaskał biedaków, miłosierne słowo wyrzekł, pieczołowicie oglądał zapadłe boki, rany obitej skóry i jakieś przekleństwo pod nosem mrucał. Rzadko taki trafił się

Ludzie przechodzili śpiesznie, mijali obojętnie.

Słutąca prowadziła na łańcuszku pieska, sztyja drobna uginiała się od wspaniałej kokardy. Wyprzedził ją kędzierzawy pudelek. Saedł z pyszczkiem do góry podanym, przybierając minę śmiesznej powagi. Kiedy obaczył tłum zaprzężniętych, co tchu pognął. Odwrócił się dopiero na rogu. Zdumiony stanął i z nierwykłem przerażeniem patrzył na braci. Uczeń niósł na ręce tłustego szczeniaka. Głaskał go po lśniącem grzbiecie, a malec mrugał oczy i drżał z rozkoszy. Jakaś pani, udająca trapiotza, kroczyła z wdziękiem bezczepnej kokoty. Obwieszona była dyndającymi wiórami loków rudych. Głowa, rozepchana wiechciami, nie mogła pomieścić kapelusza. Ten przechylił się, jakby miał ochotę skoczyć w prze-

paść z rozpaczą. Widać zauważono jego zbawienne zamiary, bo go przygwożdżono szpilką. Już niemógł się wydrzeć z więzów i pozostał na bok przerecony. Usupiradło wiodło małego, wycackanego pieszczocha, okrytego czerwonym płaszczykiem, obrzeżonym błękitną krajką.

Robocze psy z widocznym skrzywieniem pyska, oznaczającym lekceważenie pogardliwe, spoglądały na te stworzenia drobne, zalewające za piecem ludzkiej opieki. Nikt jednak zrzędził, ~~nie~~ opryskliwie.

— Najlepiej takiemu, nic nie robi, a dmuchają, a chuchają, a podtykają zarcie... w puchy kładą.

— Jednego na rękach nosą, a drugiemu po ziemi nie pozwalają chodzić.

Ścierwy, nie ludzie, pracujesz, zdychasz, a głodnego nie porywią, zmordowanego nie widzą.

Głośniejsze warknęły, gdy miał pękaty mops, z obydnie przeciętą wargą. Przeląkł się przekleństwa, bo potulnie przepadł w tłumie.

Po chwilowym milczeniu, gdzieś na przodzie rozległo się krótkie, wzdłuż urwane szczeknięcie, jakby przesłano ostrzegawczy sygnał. Naraz wszystkie psy zerwały się, porwały w tamtą stronę spojrzeć, zadzierać łby, szczekać, choć może nie wiedziały, o co idzie. Wśród nich zawrzało, zakotłowało. Wciąż się rozlegały krzyki.

— Taki, a próżnuje!

— Nie tyle mógłby uciągnąć, co my. Byk, nie ~~psa~~

— Taki smok, a wolno chodzi.

— Upasiony, ledwo dźwigo pękaty brzuch.

— Żeby łapy połomot na gładkiej drodze.

Ta nierwykła wrzawa, wściekłość rozszalałych zwierząt zaciekały przechodniów. Przystawali, pytając

— Cóż im się takiego stało?

— Może głodne?

Ze współczuciem wskazywano na wychudłe ciała.

— O, jakie boki mają zapadłe.

— Chlają bestyje, co w nich wlezie, nienatarte pyski, lno ich czasem fras opęta i wrzeszczą — objaśniał poganiacz, okładając batem niesforną gromadę. Jednakże w żaden sposób nie mógł uciszyć.

Wtem ukarał się sprawca hałasu. Był to ol brzy mi bernard. Z daleka widniał biały grzbiet z czarnymi latami. Uszy kłapciaste opadały na oczy. Kroczył z łbem dumnie podniesionym, język wywieszony na bok przetrzcil, kłę ogona butnie nastroszył. Sła chętnie urodzony, nikogo nie spostrzegal, nie zwracał uwagi na obelgi, pomstowanie.

Powietrze aż drżało od szczekań. Na widok wypasionego olbrzyma psiarnia od zmysłów odchodziła. Wszystkie ku niemu zwracały pyski. Rozjuszone, ostalałe, złorzeczyły, że próżnuje, choć rozrosły, najedzony, a one schudzone, schorzone muszą harować w zaprzęgu. Niektóre milczały, patrzyły z taką nie nawiscią, że te mściwe spojrzenia mogły poprzehijać, postarpać ostremi kłami.

Najgrożej ujadal Burek. Doprowadzony był do ostatecznych granic wściekłości. Jego głos przemieniał się w chrapliwe przekleństwa, mające siłę zaciśniętych kulaków. Rozżarty zemstą chciał skoczyć do prótniaka. Nie pozwolono. Tylne łapy jakby były przykute, przygwożdżone do bruku, w miejscu dygotały, przednimi miotal istny szal. Zdawało się, że porwie postroiki i kłami poćwiartuje przechodzącego

dryblasza. Sierść, katda tyłka, każdy mięsień trzęsły się od wzburzenia. Nie można było poznać tego, tak potulnego psa. Obłąd, wściekłość, zadrność, nienawiść przemieniła go w potwora.

Bernard czuł słuszość wyrzutów. Stracił butę, śmiałość, spokorniały sunął przyparty do ściany, owijał się u nóg właścicielki, skuczał rozpacznie, prosząc o ratunek i schronienie. W skrasie i z podaniem przyjmował pomstę uciemnionych braci. Chciał jak najprędzej uciec z kręgu niewolników, śpiesznie podątał. Już był na końcu. Zrównawszy się z Burekiem, spojrział na niego z pokorą, jakby chciał się wytłumaczyć ze swojej winy, jakby chciał błagać o zrozumienie i litość. Burek nie zwalał na usprawiedliwienia. Oślepy zemstą, wyrwał się z szeregu całą siłą runął na olbrzyma i wbił kły w kudłate podgardle^{*)}. Pani, przerażona widokiem turbowanego ulubieńca, narobiła krzyku, jakby ją zabiłano. W obronie połamała parasolkę na twardych kościach prostego kundysa. Usiłowała odciągnąć napastnika. Jej praca była daremna. Wrzeszczała w niebogłosość o pomoc.

Burek charczał spienionym pyskiem, rozjuszony szarpał, targał coraz potężniej. W żaden sposób nie można go było oderwać. Z ratunkiem pośpieszyli poganiacze. Do przytomności doprowadzili psa batami, tnącemi skórę do kości.

Skomląc z bólu, zrozumiał, że nie wolno powstać przeciw darmozjadowi.

To był ostatni bunt, wczas pokroczony.

Czasem jeszcze w trzewiach legło się przekleństwo, rozdzierało bebechy pazurami bezsilnej wście-

^{*)} Edarzewa przewidziała, zawróciła za ul. Gólką w Krakowie.

kłości i buchalo skowytam żalonym, zakopanym
w czeluściach serca, zepchniętego w grób mroku.

Od tego dnia wiele spraw zrozumiał.

Z poddaniem, bez skargi, ciągnąłnajemnik prze-
kleństwo wyryskiwanego tycia. Nienawiść rosła
w piersiach, ale nigdy najaw nie wybuchnęła. —
Skrzywdzony zawierał szalejącą burzę w pysku na
mocny szmek zębów, zupełnie stępiałych...

Oczy jego patrzyły na ludzi krwawymi znamio-
nami. Były to spojrzenia niewolnika.

Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem.

Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem.

Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem.

Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem. Wszystko to, co jest w tym świecie, jest tylko cieniem i cień jest tylko cieniem.

CZEŚĆ DRUGA



Towarzysom mej włości,

psom i ludziom.

1870

1870

Burek dalej porostawał w znieuwidzonej służbie, w chaosie i krzywdzie, która co dnia kładła się w piersiach jękiem, przekleństwem, przez nikogo niesłyszaniem, przez nikogo nieodczutem. Zdawało się katowanemu wyrobnikowi, że nie będzie końca wyrzysku i niewoli. Zazdrościł swoim towarzyszom, którzy minionej nocy zasnęli na zawsze. Zimne ślala, wynoszone na okopowisko, odprowadzał warokiem tęsknoty. Oczy białe w ciemny otwór drzwi czekały na wybawienie z otuchą, ale padały w czeluść mroku i zwątpienia. Kiedy człowiek z martwym psem zniknął na korytarzu, wtedy w Burku głębokie westchnienie się obrywało. Każdego wieczoru usypiał z nadzieją, że jutro jut nie podźwignie ciężaru sobaczego tycia, nie usłyszy świstu batów. Ale los urągliwy srogo mścił się nad bezbronną istotą. Rano witał świate. nadziei. W sil

do wózka, wiedząc, że musi być wyrzyskany do ostatniego tchnienia. Postronki coraz głębiej orały boki, szły, zdzieraly skórę, wteraly się w krwawe, rozjątrzone rany i zrosły się z tyłami na wieczną pracę, z której może wyprząc — woźnica-smierć, jedyna wybawicielka i ukoicielka. Siły goopustawały. Słabl, nędzniał, stając się widmem, odzianem w zro-

działe kudy. Brzuch miał włósy, żebra, jak patyki, wysterczały z pod skóry. Po ulicach miasta włócił się ponury. — Wyczerpany, skatowany i głodny przebywał tę samą drogę, niby koń najemnik w kieracie, wydeptujący po tysiiącokrót twardą ścieżkę, by ślepiani, tartemi miazolom, patrzeć na te same ślady, które przed chwilą zlewał potem i posoką poobijanych stóp.

Omdlały często padał na bruk.

Starano się go podnieść. Bat chlaskał go naodlew przez pysk, ciął ciało rozpalonym drutem. Służący, bijąc bez litości, najohydniejszymi wyrazami go sobaczył. Po każdym uderzeniu powtarzał z dużą zawziętością:

— A, musisz wstać! — psia twoja mać! — będziemy widzieli, kto na swoim pokate.

Towarzysz, zaprzagnięty do tego samego wózka, rzucił się na latającego, gryzał, warczał, zębami zmuszał do powstania.

Burek kiedy niekiedy otwierał oczy i patrzył, jakby chciał rzec:

— Lachmaniacz! ty przedwójnie?...

Zwierzę, siepańce niemym ~~wyrzutem~~ odpadło ze skóki, zwinęło się na kamieniach i cicho zawył, jakby pobite rozpaczą spojrzał Burka.

Kopnięcia niewiele pomagały. Mięśnie, mimo wewnętrzznego wysiłku, nie mogły unieść ciężaru ciała. Burek po każdym uderzeniu kurczył się, dopiero pod najgwałtowniejszym ciosem porывал się z przeraźliwym piskiem, asiste rozdieranych wnętrzności.

Wodnice, patrząc na szamotaninę się, obojętnie stwardniały:

Psa na budę jego pomoc. Już długo nie po-
ciągnie.

Bicryskiem dotykali skałcezeń i wystających
kości.

— Patrzy ci się, bracieśku, do Abramka na
piwko, galanto se wypoczniesz i nachlasz się ziemi,
nikt ci nie poskapi. Już z niego nic nie będzie.

— Pies go dymał. Przyjdzie inny na jego miej-
sce. Dość tych parszywców.

Jeszcze go zaprzęgali. Wszelkie jednak próby
były daremne. Bicie niewiele pomagało. Wkońcu
doszli do zgodnego przekonania, że daremnie tre
boskie dary. Zapadł wyrok. Jednego dnia pozosta-
wiono Berka w komórcie. Kilka godzin odpoczywał
w barlogu. Po południu zjawił się woźnica ze sznurem.

— Kopytka se strój, pójdziesz brachu na lepszy
wikcik.

Wywiódł zwierzę poza miasto. Burek siedł naj-
zapelniej zobojętniały. Dopiero w szczerem polu po-
wietrze go otrzędziło. Powiew miły, pachnący, świąty
zgarzał posrokę z oczu. Pies wciągnął głęboko od-
dech i, jakby z długotwałego a przykrego snu obu-
dzony, rozszerzał się po wolnej przestrzeni. Długo—
długo pisał serce zgłodniałe, stęsknione, zmordowane,
widokiem niegdys widlanym. W pamięci zamaja-
czyło wspomnienie czegoś dawno przetytego, na
udeptanym ugorze piersi zakwitły jakieżś dźwięki do-
bre, zjawily się znajome, umiłowane twarze. A cóż to za
człowiek? — jakiś obcy, okrutny. Obraz jego zespolony
ze światem bata. Zdziwienie w lęk i przerażenie się
zmieniało. Zimny dreszcz przebiegł go po grzbiecie
i rozsypał się po pulsach grudkami lodu. Śmiertelny
cios go przetrząwał. Serce, zabijane złowrobnem

przeczcuciem czegoś strasliwego, padło w splót bolesnych ran.

— Koniec mój.

Zniecierpliwiony woźnica szarpnął psa i powlókł na okopowisko. Kiedy przywiązywał do słupka, Burek zwinął się, przysiadł na zadzie i zaskoczył krótko, z tak przeraźliwie, jakby w tym jednym, w półurwanym krzyku pękła oszpeć tyciodajna tętnica. Płakał dotami oczu, zmienionemi w błaganie, taraszące się u stóp o litość, o miłosierdzie.

Człowiek rozumiał żebraczą prośbę i unikał spojrzeć psa. Coraz śpieszniej się krzątał. Obrzydzenie go brało, że musi dokonać tak haniebnej roboty. Ze wstrętu słuwał i pomstował.

— Też djabli nadał. — Ni mogło na kogo innego paść. — Bracie, hyclem nie jestem i nie wesele mi paskudzić chrześcijańskie ręce twoją posoką. No, ale trudnorada. Ktoś musi to zrobić. Poco mos zawodzać. Za darmo nie będą ci dawali zryć. Jesce tego nie bywało. Mose na tyle mos zastanowienie, to se pomiarkuj twoim głupim rozumem. Cicho, nie sklamrzuj, bo ci święty Bóg nie pomozie. Nie twoja wola i nie twoje rozporządzenie, żeby to zmienić. Tak bywało od stworzenia świata i tak będzie zawsze. Słuszny i sprawiedliwy porządek rzeczy. Ale co ci o tem mówić? czy ty, głupkoku, rozumiesz? No, cicho, nie wydziwiał, nie zmieniaj tego, co będzie.

Mimo tych mądrych słów jakoś człowiek się ociągał. Wstręt go brał do rzemiosła hycłowskiego i ponieważ tal mu było psa. Spojrzał ukradkiem poza siebie, na boki. Coś postanawiał i w zaburzywaniu stał nieporadny. W końcu przemogło. Szarpnął cicho, w tajemnicy przed samym sobą:

— Nima nikogo... nima... niechaj to to kto inny paprze ręce... a odz to jo parobek hyclowski.. zredta, to i tak kajniebajt zdechnie.. Zabije Pon Jerus abo inno bieda zastuce. — Rozplatal senurek, puszczał wolno. Sumienie słutbowe w nim się odezwalo. Starpnął się nagle i począł na nowo wiązać, Żegnał się, mrużąc z gniewem. — W imię Ojca i Syna... zeby tako psjokrew kusila. O, lo Boga! — słysane to rzeczy — bestyjo jedna — jesceby tego brakowalo, zebym se sumienie paskudzil — korali, to mus — zeby ojca — zeby matkę. Rozkoz, to rozkoz, to po nasemu befel, święto rzec i amen w pacierzu. Widzieli go, co mi za mądrala — o rety! chyba djabel go nasłol na moje pokusenie.

Pies zastygłym wzrokiem śledził ruchy człowieka, Serce jeszcze raz rzuciło się, oczy i piersi zawyły głosem rozpaczny.

— Bedzies ściervo cicho! — bedzies! — jo cie w te migi przyucę rozumu i ucisę, ze se popamiętos ruski miesiąc. Oho, jesce zębki pokazuje. Ino ze mną nie zacynoj, mówię ci po dobroci — o, widzis — mówiąc z namysłem, powoli, kopnął psa w paszczkę.

Zły, głuchy pomruk wstrząsnął Burkiem, nieokielzany gniew nim rzucił i wzburzył ostatki sił. Pies w stałe wściekłości padł na pierś poganiacza i wprał kły w ciało. Gryzł, darł, skowyczał. Nic czuł uderzeń pięścią, nie słyszał jęku. Oczyami zerasty widział swego nieprzejednanego wroga, swe krzywdy, uosobienie bata i to chciał zamordować, w sztuki postarpać.

Wkońcu oderwał się od ofiary. Okryty pianą, pogaał w pole. Poganiacz strzelił za uciekającym.

Świsnęło kilka śrutów. Pies ucięty ich żądlami zapłazował, zatoczył się w rów. Wnet gwał dalej, warując głośno.

— Cóż se te ciaruchy myślą — wiecznie ino poniewierka, bicie i sobacenie, a ty zato lizoj łapy i skokoj na dwóch nóżkach, jak ci kijem kazuja. — Jesć to nie... ino bić. Ale ty nie woz sie ugryć, zaraz ci zęby poobitukaja. Waruj! głoduj! — dość mom tego — juz mi te ludzkie dobroci kością w gdyce stoja. Juz jo na ostatku pomiarkowolem, jakie to jest na świecie prawo największe i najświętsze: Kogo ty w leb, ten nizej leb przed tobom niesie... Takie to cłowiece prawo, mądre — hi, hi... teraz mom swój rozum — teraz jestem sobie pon, nikt mi do mojej miski nie bedzie szierol i kijem nie bedzie nade mną królowol.

Z dawną, wsiowską fantazją chciał rzucić głową, ale nie mógł dźwignąć, przygiętej jarzmem tycia. Usiłował skoczyć. Zabolaly go wszystkie kości. Przy każdym wysiłku wiesilo się skomlenie, jakby ciężar wózka, przyprzgnięty do ran aropialych. Powolnym krokiem szedł między samotny, opuszczony, nieszczęśliwy. Nie na długo starczyło mu sil. Wyczerpany osunął się w przykopę. ●ckał się półco wieczorem. Ciemność go otaczała. Nigdzie nie było obmierzłych ścian ciasnej izby. Z lękiem patrzył na wolną przestrzeń. Szukał towarzyszy niedoli. Nogi leżały spętane, jak dawniej na kamiennaj posadzce. Ze wstrętem pomyślał, że za chwilę świanie bicz i zaów musi pójść do harówki. Przypominał sobie wszystkie przejścia. Pojął całą przemianę. Potraul się wolnym, pierś podnosiła się lekkiem, swobodnem westchnieniem:

Juz nie będę miał bata nad sobą. Jo pon. Głód skręcający kiaski przyprowadził go do przytomności i połotył kres marzeniom.

— Cóż jo będę jodł. Teros trzeba samemu na miskę zarobić — mruknął posępnie.

Osłably, zgnębiony, powłókił się prosto bródą, potem polem naprzelaj. Szedł, nie wybierając drogi. Potykał się na gradach, przedzierał przez płoty chaszczyn. Pręty i ciernie darły skórę. Wiatr ćwieknął go rdzą zimnych gwizdów, sypnął twiem twardych kropli. — Gwałtowny podmuch cisnął bezbronnego w krzewy, zaplątał w kolce.

— Biednemu kozdy wiater wieje w ocy. Cóż jo ci winien, cegódz mie bijes? — Burek udręczony zalkał..

Stanął nad głębokim potokiem.

— Kąje jo teros pójde — kaj sie obróde? —

Wzdrygnął się, jakby w okaleczeniach drgęły ostatnie śruciny, które miał w sobie.

Wspomnienia wsi, pogrzebane w zabrukanej duszy życiem miastowem, na nowo otyły, wytrysły jasne, urocze, wiosenne, jak kwiat z błota. Z gęstej, zakopanej mgły pamięci wyszły znajome twarze, zabrzmiały słowa niegdys słyszane. Obrazy chwilę zagóściły i rozproszyły się bez śladu.

— Juz tam nie po mnie, chyba zawodzać na stare lata, juz jo nie do strósowania... Ino więcej jedna gamba do miski, a u nich nie przewolo sie... oj nie... bieda, jak ukorzedgo. Może i kijem wyciapali by za wrota... ktoś to wie... łatwo zapomnieć... — a u ludzi za dobre jest krótkopamięć... słusnie powiadają, co z ocy, to i z serca... Cóż jo teros ze sobą zrobię?

Poczuł tak straszliwy ból, jakby wszystkie bity życia, wszystkie wspomnienia krzywd, od szczenięcia zadane, ocknęły się w tej chwili i poczęły ociekać strugami krwi.

Nad miastem wisiała luna jasna. Wybłyskiwały latarnie, tworząc świetlany szlak. W oddali smutnie płonęły i jakimś żaloseym, konającym blaskiem uśmiechały się do psa. Zapatrzył się w nie. Długo stał niezdeterminowany.

— Gdzies ja pójdę... oś ja bez ludzi zrobić —
ino oni mi miskę podawali... zoów pod kije iść?..

Głowa bezwładnie zwisała. Powłókł się bez sił, bez czucia, w stronę miasta, w nieznaną przyszłość.

Nie pytał, dokąd, i poco idzie bezdomny włó-
częga...

Tego samego wieczora, po drodze, znalazł nie-
zgorszy ochlap. Podjadł sobie do syta, nie
napastowany przez nikogo. Przespał noc w zasłku
mało uczęszczanym, zakryty wysokim parkanem.
Obudził się rano rześki, wypoczęty. Słońce w ślepiu
mu świeciło.

— Cóż ty bań na górze? — dobrze nom? —
tyś gasda na swoim — jo na swoim. Całą pascekę
momy śmiechu... Już dzieć... Zaświeciłeś mi radość...
zadowolony ziewnął, podrapał się łapą i przewrócił
brzuch po ziemi.

— Trzeba myśleć o sobie.

Wprost wierzyć nie chciał, teoś już nie ciągnie
ciężarów, że postronki przestały gryźć ciało. Chciał
dać wyraz swej radości, ale zapomniał szczeleć po
wsiowsku. Wydał głos ochrypły, wdeptany w gar-
dziel. Znow posłyszał świst bata. Strwożony skulił
się, zwinął i patrzył w swe tycie oczami skrzywdzo-
nego najmity. Otrząsał się, chcąc z ciała otrząpać
siłce od szczeniactwa wzrosłe, a z duszy majaki
trwóg. Wnet jednak poweselał.

— E, to ino mie tak stracho. Tęso z trzeba sje
posywid, nojwyższy cas, samą radością i wolnością
brucha nie ku

Rozpoczął wędrówkę tulaczą. Zazierał do ścieżek, wpadał na podwórza, wtykał nos w uchylone drzwi sklepów. Prędko jednak cofał się wypchnięty przekleństwem albo czemś twardszem. Ludzie z obrzydzeniem cofali się od sparszywiałego psa. Niejeden z przechodniów kopnął go, ottak dla żartu. Pokilku godzinach daremnych poszukiwań Burek z goryczą pomyślał:

— Wszystko jednakie. Głodno ta wolność i daje tyz niezgorse kopnięcia.

Głód go popędzał. Przebiegał miasto bocznemi ulicami. Nic godniejszego nie znalazł. Dotarł do śródmieścia. Przewijał się z łękiem wśród mnogich twardych nóg, wśród wrzasku kupujących i sprzedających. Przystanął odurzony. W noszrza uderzył zapach otwartej wędzarni. W tę stronę skierował kroki. Pod daszkiem z kilku desek siedziała gramotbaba. Cęba czerwona, odęta, napasiona, świecąca, jak rondel, posmarowany roztopioną tłuszczą. Obok niej, na straganie, leżały sterty wędlin, stopy słoniny, sadła, na drątkach wisiały skręty kielbasy. Z kociołka biła para gotowanej wędzonki. Burek z zachwytem głodnego żołądka patrzył na nagromadzone skarby, jakich oko nie widziało, jakich węch od dawna dawno nie czuł i się kosztował. Wzruszeniem łakomym poterał, językiem zawijał silną woń, jakby wsiłował zmieść kawał mięsa.

— Tak se wpi na oczach, a nikt w komorzenie ranyko. Dławy się tutaj wyprowiają. Na wsi tóby zaros ukradli. Nie ostaloby się nic przed Wójtkiem kulawym albo przed Mackiem z krzywą gembą. Dobrze widać w mieście ludzie. Mose wesprzą. Poco im tyle, przecie nie zjedzą wszystkiego? Bierą i bierą, a wciąż mają pełną miche.

Śmielej podszedł, niepostrzeżony przystykał pa-
saczkę do stert, wietrzył i błogo wadychał nad temi
dobrociami. Zaskuczał, prosząc o jakiś kęsiek.

— A tuł, scierwo?! — smakuje ci?!

Baba teraz dopiero psa spostrzegła i laga go
grzmocnęła.

Burek odskoczył w bok, zwinął się i lizał basior
uderzenia.

— Ale mie zdzielila — nie pozalowała... przecie
nie kupuje... Ehe.. ehe.. wsendy kij pilnuje. To mie
to koczego te dobroci. Cegós na ocy wystawiają?...
na pokusenie glodnego wywodzą?... a potem biją!
Cós to za sprawiedliwość pełnego brzucha? Nie
z roskosy idę, ino głód mie ścigo. Cós moim robić?

Snął w odległości kilkunastu kroków. Śledził
ruch obok kramiku, patrzył każdemu na ręce, pro-
sząco zasierał do oczu. Im dłużej pozostawał, tem
bardziej zdumiewał się, nie mogąc zrozumieć urzą-
dzeń tego świata. Co chwila jakaś wyrobница wy-
mowała węzelek z za pazuchy, rozpościerała barwne
papierki. Rzeźniczka rtaęła kawał, sawiała w szarą
koszulę papieru.

— Co sie tu wydziwio, jut mi sie w głowic
wsyćkie pomyslonki ~~skleci~~ły. Keedemu po odro-
bince daje, jak Kowalikowa Maciusiowi, nikomu nie
poskompil, a mnie to kijem przez leb. Cós to wsyćko
znacy? Trzeba im na oczach stanąć, to moze i mnie
dadzą.

Nikt nie zwracał uwagi na psa kręcącego głową
ze zdumienia i daremnie lykającego śląg. Wciąż nowi
kupujący rblitali się i odchodzili. Jakaś dziewczyna
przyfrunęła do straganu i cała szczerwieniona trze-
pała.

— Dla mnie kielbasy, sałcesonku — o tego, ale czy dobry, bo inaczej nie wezmę.

— Towar, pierwszy sort, innego u mnie nie ma, ile paniusi dać?

— Po ćwierć fonta z katdego.

Rzeźniczka oderwała kawałek, rzuciła z góry. Kiedy waga gwałtownie się zakolysała, porwała wędliny i zaczęła śpiesznie zawijać.

— Co mi to pani daje? Nie wezmę tego, jak się to waty?

— O paniusiu! sprawiedliwie, nawet przewatyłam, mnie tam nie ubędzie, jak odrobinę dam ze swego, niech na zdrowie wyjdzie.

— To złodziejska waga.

— Co? złodziejska waga? ty, siodzrysko! — ona na moją wagę.

— Żeby ci nią w piekło smoly nawatyli!

— Cicho! ty, dziadulo, nie ma czem kości nakryć, ale pyskować to umie — zawrzęsotała na cały rynek, rozczapierzona, czerwona, jak indor — widzieliście moi ludzie, daję co mogę, przecie człowiek ma serce miętkie. Niechże ta ten kawałeczek pójdzie biedniejszemu na zdrowie. Bóg wszystko widzi i porachuje. A ta z pyskiem na mnie. Słyszane rzeczy. Takas ty? Ażeby ci osór potamało. Ona na mnie. Żadnego ustanowienia — złodziejsko waga — dam ja ci — ona na mnie, przecietem kobieta starsza, matka dzieciom, a nie taki — z przeproszeniem — smród, jak to dziwczysko. — ~~Jeszcze na bok~~ do sąsiednich straganów wyklinała, ale do kupujących zwracała się ze słodzikami pytaniami, jakby hótnie pacierze odmawiała.

— Co paniusi? sałcesonku? kielbaski? pokrzepczy? — wszystko świetotkie, czysto wieprzowe.

Pies patrzył na widowisko uliczne przyczernione jego smutkiem i posępными myślami. Wciąż śledził proces kupowania, biegł werokiem po ludziach, podpatrywał, a nie mógł zbadać tajemnicy. Nagle mało się nie stuknął w czoło, z uciechy uderzył ogonem w ziemię.

— Oho! — już wiem — już wiem — z ręki do ręki wtykają papierki, a ona za to daje kawaly sztuki — ej, żeby pozbiierać, a tyle tego poniewierają się po ulicach.

Jeszcze się obliżywał, skuczał prosząco. Wreszcie zrozumiał, że daremne czekanie i te prośbami brzucha nie nakarmi. Już miał odejść, ażeby poszukać potywienia w miłosierniejszych stronach. Wtem zobaczył w tłumie wynędzniałego chłopca. Okryty łachmanami, z pod których przedwiecało brudne ciało, stał opodal strwożony. O całym świecie zapomniał, patrząc na sterty wędlin z chętnością zgłodniałego zwierzęcia. Spojrzenia błagające leciały ku kobiecie, potem z żarliwością rzuciły się na kielbasy i, jak odpędzone od pełnej miski psy, zawyły. Z trudem polykał ślinę. Tak samo, jak Burek, ścigał każdy ruch, oczy podnosiły się i opadały w miarę kolysań wagi.

— Zwodzi nas głód — biedactwo takie samo, jak i ja — kijami napasione — stwierdzał Burek ze smutkiem, ilekroć spojrział na malego, na którego ustach lakała niema prośba.

Chłopiec powoli, czająco, między ciżbą, zbliżał się do straganu. Oparł się na stole i przykrył dłonią mały okrajek kielbasy. Nieznacznie usiłował go ściągnąć.

— Widzieliście! — kradnie! — wrzasnęła któraś z kupujących.

— Kto? — to ty, smrodzie? — dobro ludzkie ci smakuje? — na złodzieja się kierujesz?

Chłopak schwytyany zachłysnął się. Pociągnięty mocną garścią za ucho, uniósł się na palcach. Patrzył bez jednego słowa oczami psa, schwytanego przez hycia. Żrenice błękitne, niewinne, dziecięce, otoczyły łzy, wypchnięte gwałtownem uderzeniem przetrzonego serca, pociekły po wychudłych policzkach, zawisły na wargach — jedyne wyrazy skrzywdzonej duszy, krzyk bóleści, skargi czy przekleństwa — które słyszą anieli i płaczą w niebiosach...

— Teraz będziesz szanował cudze dobro? — złodziejstwo ci pachnie? — letki chleb... masę... psiakrewnie nasienie — nogi i ręce połamię, to ci się odechce...

„Złodziejski gad“ wyrwał się z mocnej garści. Uciekał osłabły, przetaszając się z boku na bok. Ścigaly go słowa złe, mściwe, twarde, sękaty.

— Złodziej, ładne rzemiosło se obrał. Jeszcze to od ziemi nie odrosło a pachnie mu letki chleb. Co się to wyrabia na bożym świecie? Sodoma i Gomora. Żebym miała takie dziecko, zdarłabym skórę, bilałbym do krwi. Że też policjanta niema!... jakby skul bransoletkami, toby wygnał ze smrodziarza złodziejstwo.

— Może był głodny — ktoś rzucił.

— Głodny? to niech pracuje, niech zarobi a ręką zbija. Zadarmo nikt nie da jeść.

W czasie zajścia Burek, korzystając z ogólnego zamieszania, porwał kość z mięsem. Przez nikogo nieścigany gnał, mrużąc z wściekłością.

— Jeden ma pełną misę a drugi niech się smakiem porzywi. Inaczejby wam smakowało pod

opieką kija. Ludzie strasznie z nim mądre. Ale mnie nikt nie wydrze.

W schronisku, jakie znalazł poprzedniej nocy, szarpał mięso. Podjadł sobie niezgorzej. Smutne myśli zginęły. Wesoło się uśmiechał.

Niezgorzej się udało. Jaki początek, takie życie. Z pierwszego było wesele, to i na końcu też będzie. Nie trudno ryć, trzeba ino umieć. Ale nie prośnieniem, oj, nie — che... che... — albo prośnieniem zębów. — —

Zadowolony wyciągnął się, ziewał. Był zupełnie zadowolony. Resztki zdobyczy miał zakopać na czarną godzinę.

Niespodzianie z pod pobliskiej sterty desek wyskoczył wielki, wychudzony pies, wpadł na Burka i wbił zębcz głęboko.

— Puść!

— Przecież to moje — zawył napadnięty.

— Może być twoje, może być moje.

Po krótkim szamotaniu włóczęga wyłaził Burkowi, odniósł niedaleko i łapczywie poterał.

— Nie rás, bo to moje... hi! hi! patrz! widzisz, że twoja pasoczek pusto. Moje zarcie — bo w moim brzuchu — moje prawo, moja prawda, bom silniejszy w zębach.

— Tyś skrzywdził — Burek bezbrinnie się poskartył.

— Nie cekom, kiej ty mi to zrobisz. Wolę ja pierwszej

Burek o mało nie zapłakał nad utraconą zdobyczą.

— To wszędzie jest jednako — jeden drugiemu z pasoczek wydziro — trzeba się nauczyć ryć, żeby się godnie ryć.

I rzeczywiście trzeba się było wiele nauczyć, aby nie zginąć z głodu. Burek został bez budy, bez barłogu, bez gotowanej strawy, więc ciężkie rozpoczął życie. W walce nieprzejednanej, z pazurów i klów musiał je wydzierać.

Pod osłoną nocy, z kryjówek z zaułków wylały psy bezdomne i chylkiem bez jednego szczełknięcia przebiegały miejscami najbardziej zacienionymi, niby duchy potępione za karę szukające teru. Zgłodniałe, wychudzone szkielety sunąły z opuszczeniem łbami, obwąchiwały napotkaną przedmioty, zaglądały do rynsztoków, ścieków, z rozpaczą rozgrzebywały sterty gazonów, pazurami orały zmarzłe grudy. Jeden na drugiego patrzył, jak człowiek na człowieka, wydzierającego kęs skąpego pożywienia. Witwały się spojrzeniem mściwym, zgrzytem zębów, błyskiem nieprzejednanej nienawiści, groźnej aż do skona. Kiedy gromada spotkała się przy zdobyczy, wtedy bruki broczyły posoką, mury, drzewa, głuche zaułki były świadkami walk na śmierć i życie. Wnędniałe psy skakały sobie do ślepiów, darły klami ciała, wyły z bólu, tarzając się w kałużach własnej krwi.

Ustawiała walka, kiedy władczy księżyc wyszedł na rozłogi nieba. Światło oświeciło zaułki. Widać było ciała pobitych, spojonych ze sobą zębami i strugami posoki, rzucone po bruku skorczami skomlen. Zdychające w piersiach życie cucilo się płomieniem nienawiści, który w ostatkiem tchnieniu, w ostatnim spojrzeniu w górę wystrzelał, jako przekleństwo tego życia. Inne psy, wyczerpane, pozostały bez ruchu, niby czarne widma, zamarte wśród jasności. Wniosły głowy ku księżycowi, który w czasie pełni jawi im się jako mocarz życia, sastygły w dalekich,

niedosiętych przepaściach niebios. Głośno, długo wyły, wyrzucając odwieczne, niezmiennie skargi.

Może przed srebrnym duchem korzą się, błagają o przebaczenie, może płaczem przeklinają...

Cisza im odpowiada i echo wolań, dukące się po pustych przestworzach.

Widmo zimne, odległe, idzie po sklepieniu, odziane w blask martwej poświaty i ścięte po ziemi spojrzeniem, nic nie wdrzące, nic nie czujące.

Duch nocy, duch światła.

W taką noc włóczęgi obaczyły Burka. Oczy te braków bezdomnych zaświeciły złowroźnie, ponuro, po wilczemu. Wypadł warkot wściekły.

— Już przyszedł nowy wróg, dybiący na skąpy ochlap. Odejdź stąd. Będziemy bronić śmietników, zdechniemy a nie damy.

Te pogródki w mgnieniu zmieniły się w kły i pazury. Gromada, gryząca się między sobą, walcząca o każdy ochlap, teraz na widok nieszytej, głodnej pasażerki zbratana, rzuciła się na Burka i w straszny sposób poszarpała słabszego. Dopiero na stukot kroków stróża rozbiegły się. Z oddali, z mroków, dolatywały pogródki mściwe, nieprzejednane.

— Bebechy ci wypuścimy, kiej cie kaj w ciasej ulicy dopadniemy. Uciekaj pókiś tywy. Nie pozwolimy sobie z pysków głodnych wydzierać. Same nie mamy co zryć.

— Przecież i ja, jako i wy, pies równy psom — coś mam zrobić... choć zryć... — skartyl się głuchym głosem Burek pobity.

Długo pamiętał powitanie braci. Odpędzany od zdobytcy, wynędzniały, chodził bokami, unikając szczególnie tych psów, które miały spojrzenia podobne do ludzkich. Odegnany od swoich, w piętewnych

dniach włóczęgi, z dawnego przyzwyczajenia szukał u człowieka pomocy i schronienia. Zwinęty w kłęb pod progiem zasypiał z myślą, że już dłużej nie będzie się terał, że tutaj zostanie, tutaj będzie pilnował dobra za miskę strawy. Czasem w nocy przepędził skradającego się złodzieja. Nieraz przytem oberwał dobry poczęstunek. Nie zwał na to. Obity, ale zadowolony kładł się na kamieniach.

— No, ale mie zdzielił, nie załował mi. Jo też mu dołem, co mogłem, ale reszty też nie zapomnę. Gospodrze chyba mie za to wezną, będę im chałupy pilnował. Za to bardzo ich nie objem — będę mi wystawia podsoptą — spokojnie se będę żył, i dokoląc tam jakiś — myślał o życiu spokojnem, pod opieką człowieka. Sny błogie dymily się nikiej kapusta, okraszona pachnącemi skwarkami. Z rozkosznych marzeń budziło go kupnięcie. Wyrazy powitań zdechły, a skowytem pozdrowił dobroć ludzką i ten przedśliczny poranek, o jakim śnił.

Nieświadom zwyczajów, zaraz w dzień wychodził na ter. Z tych wypraw wyniósł bolesne nauki. Później nabral doświadczenia. Wypędzony głodem, dopiero w nocy wylazil z kryjówki. I w czasie, kiedy spała złość ludzka, tłukł się po pustych ulicach. W miejscach, jaśniej oświetlonych, czuł się trwoniwie, czajęc. Łada simer go straszyl. Zawsze był gotowy do ucieczki. W obłądnym od przerażenia pędzie uciekał przed smyczą rakażca, przed sękatym kijem stróta. Ginał bez śladu, aby na drugą noc znów czatować, znów odbierać razy. Wszędzie spotykał zdradę i zło. To był zwykły porządek rzeczy. Jednakże najbardziej go bolało, gdy witał go mścivem uderzeniem stojący pod murem sądziarz bet-

domny, taki sam wyrzutek, losem prześladowany. Były go słowa okrutne :

— Co leziesz w ślepią z twoim pyskiem— patrzysz na mnie prosząco, boleśnie... psiakrew! — chcesz z twoją nędzą dostać się do mojej duszy... abym się litował nad tobą... chcesz pod serce złotyć swoje szniki... dość mam swego — idź! sobaczy drania! Nie podrażasz mi bebeczków sębcami żalości, nie wleczesz mi do oczu twoich łez. Co się patrzyasz? no, co?... Że wszędzie człowiek musi siebie widzieć, swój głos musi słyszeć... Hi!... hi!... kopnąłem cię, a wiesz, dlaczego? hi! hi! milej się robi, jak drugi płacze! hi! hi! — żebyś se to zapamiętał... Twoim skowytom chce zagłuszyć mój skowyt.

— Więc dlatego mnie krzywdziś? — w oczach Burka zaskomlało pytanie.

— A tak, brachu! dla nauki. Musisz poznać życie, aż ci się bebeszki wywróca.

Przez długie miesiące poznawał na własnej skórze srogie warunki życia psa bezdomnego, przekle- tego włóczęgi, ściganego, krutego na każdym kroku, dla którego ludzie, grudy ziemi, kamienie, niebo, wichry, mrozy są wrogiem nieprzejednanym, prześladowcą okrutnym. Przekonał się, że życie w mie- ście to krzywdą, zaciągosa w podstępnie, zdradzie, gwałcie, przybierająca tysiące rąk, tysiące batów, smagających po grzbiecie zemstą kata. Tutaj też po tysiącokroć przekonywał się, że człowiek w porywie miłości bliźniego, łatwiej i szczerzej kulakiem po- czętuje, niż skibką spleśniałego chleba. Dotkliwie odczuł głodną jego dobroć i uciekał od niej, jak od odpowiedzialnej.

— Słowo czy kij, to u człowieka zawsze jedna- kie, zawsze bat, uwity z twardych węzłów.

W ciężkich doświadczeniach uczył się rozumu. Powoli przywykał do srogich warunków. W tym czasie zmienił się nie do poznania. Nauczył się sprytu, wybiegów, bezczelności. Życie pędzone w najokropniejszych warunkach, w wiecznym lęku pomiędzy smyczą rakażca a kijem stróża kamienicznego, zabiło w nim psią duszę — ów najpiękniejszy skarb nad skarby. Przyjaść czuł tylko taką, która może się przemienić w kęs pożywienia. Wśród krzywd, obelg i cierpień zatracił dawną wierność, miłość, przywiązanie, szczerłość i włość. Z dna zgnitych zakamarków wywalilo się błoto i zatrulo go jadem ludzkich uczuć. W ciemnym lochu piersi rozjątrzyła się nienawiść i zemsta. Ponury, milczący, patrzył z podejrzliwością, jak szpieg, chytrze badał, aby coś porwać do zjedzenia. Nacretną zasadą było: napaść, ukraść, a tak sprytnie, aby uniknąć kary. Żaden podstęp nie mógł go oszukać. Podejrzliwy i nieufny w każdym cieniu witał wroga. Przestał wierzyć człowiekowi, który za słodkiem słowem krył kamień. Nienawidził go nienawiścią niewolnika-najmity. Nieraz we śnie jawiło się ludzkie oblicze, olbrzymie, jakby obraz wieczystej krzywdy. Wbijał sębec w złudny majak, chcąc wydrzeć znienawidzone oczy, pogryźć plugawe wargi, poszarpać mściwe ręce i warczał wściekły

— Za mnie — za moją duszę.

Sparszywiały nędzarz dźwigał przekleństwo swego żywota. W ciemne noce przemierzał miasto, rozgrzebywał śmietniki. Znajdował ~~sznury, drzewa, grzyby~~. Rozwścieczony głodem rzucał się na bruk, grył kamienie lub skomlał w zimne, twarde glary. Wtedy pragnął paść na środku ulicy, aby go ludzie lub wozy stratowały.

— Niech będzie róż koniec! Lepiej gnój, jak

ryć! Ścierwski los! — w duszy krwawiła się myśl rozpaczna.

W chwilach takiego zwątpienia przychodził mu na pamięć obraz niegdyś widziany. Tak samo zgłodały, tak samo wynędsniały jednego dnia znajomy włóczęga-pies runął na bruk w skurczach śmiertelnych. Najedźdzał wtedy ciężki wóz. Znać było, że letący słyszy turkot kół, wszystkimi zmysłami czuje trzask kopyt. W takt tego loskotu biło serce, wadrygało się ciało. Umierający chciał powstać, przebierał nogami, miotał się, aby uciec od nieuchronnego przeznaczenia. Koń rozbil głowę młotem kopyta.

Na zabłoconym broku została krwawa plama ostatniego spojrzenia i ostatniego skowytu...

Ten obraz zmienił tok myśli zrozpaczonego. Burek, pełen zgrozy i przerażenia, uciekał od przekleć tego miejsca, od wspomnień śmierci tamtego włóczęgi, które wyły w piersiach płaczem konającego na bruku... Gdy byle jaką kość zdobył, smutek i zgnębienie znikaly bez znaku. Najedzony gotów wyprawiać psikusy, harce. Nie myślał, co jutro włoży do paszczki, zapominał o wtórajszym głodzie, o kopnięciach.

Teraz na włóczęgostwie tył sobie bez troski, swobodnie, chociaż w burzach i śniegach szukał schronienia, chociaż głód znajdował, chociaż każdy kęs chleba zdobywał w walce, wydzierając z rąbów innym głodomorom i poserał zboczony własną i cudzą kwią. Z biegiem czasu zrósł się z ulicą, upodobnił do dumy, przywarł jak błoto do rynsztoka. Już nie zatęsknił do dawnego tyła. Pętle srogiej krzywdy najemnika zadusiły radość włówekich chwil, a zawsze stał mu przed oczami — jakby symbol — obraz wyrobnika dziennego, wlokącego ciężary po

ulicach. Ciągła włóczęga, pościgi, uteranie się z wrogami, wyczerpywały siły. Cierpiał głód, jednakże miał tę pewność, że nikt nie trzyma uczuć w wytysku, nikt nie rzuca jalmuzny wraz z kopniakiem, że nie skowyczy na łańcuchu pańskiej łaski, że nie żyje w najstraszniejszej pod słońcem niewoli i nie będzie czuł do nikogo psiej wdzięczności za ochłapy palcem wytykane. Na samą myśl o tem zrywał się z nad rynsztoków i gwał w pola.

— Hej, ligom niesyty, ale wstając niebity! — pragnął wolać.

W noc ponurą, oblepioną mrokami, w wichrach rozlegało się szaczkanie, jakby pies-parobek, pijany radością, szedł borem. lasem, ze śpiewką hulastczą, nie dbając o życie i jego dzieje.

Na rogach ulic stał jesienny wieczór w przemo-
kłych szmatach mgły, mroku i uskartał się ci-
chemi a przejmującymi powiewami. W spowiciu clem-
ności trzęsły się drzewa śmiertelnie zmęczone, scho-
rzale, nędzne. Korony schłostane, poobijane, coś
chciały wyłkać, ale sił nie miały; rozechwiane, om-
dlale, gałęzie, targane gwałtowniej, ku sobie się po-
chylaly, chłostając się wzajemnie zniechęceniemi palcami.
Kiedy podmuch odbiegł z ulgą westchnęły, zadygo-
tały i zastygły. W ciszy szemrały liście, padające
w kaluze i strugi deszczu, ciekące powoli po bró-
zdach steranego, zabrudzonego oblicza nocy.

Za chwilę wiatr szarpnął ciszę, porwał smyk
i dalej rznąć od ucha. Chwytał za łeb wierzchołki,
miotął, rzucał do góry gałęzie. Wtedy drzewa po-
dobne były do bab, idących w deszcz ze spodnicami
narzuconemi na głowę. Potem padał plackiem na
bruk, chłusnął strugami i targał się ze śmiechu, wre-
ście pognał w świat, walił pięścią w okna, budził,
zwolywał, wciął sobie bocznie przygrywając, jakby
całe wesole z karczmą porwał i muzyką siarczystą
niebiosa napędził.

Na ziemi drzewa ze zgrozy załamywały ręce skrzypiały załki, gdzieś wybuchnął płacz, coś chodziło pod murami i heznadziejnie się uskartalo.

To na rogu grajek ulicznygrał jesiennemelodje i milknął, kładąc głowę utrudzoną na kamieniach. To, wieczór ukrył oblicze w mokrych plachtach ciemności i płakał w szarugę gwizdań, wołań zgluchłych, utalań i szlochów.

W taki czas tylko rzadki przechodzień przecalał. Ulice były opustoszałe. Gdzie niegdzie bez ruchu tkwiły ziębnięte zmierzchnice. Stały pod latarniami, aby żebracze światło zareklamowało twarz, zapłacony uśmiezek, w tej chwili omdlewający na umęczonych, sponiewieranych wargach. Czasem zgrzytnęło chrapliwe słowo!

— Chołerny dzień.

— Ganiaj po ulicach, jak piesza ogonem i wiatr chytaj. — Sobacze życie — jakby echo pluła druga.

Czekały skurczone, głodne, szukając teru w błocie i zgniliznie nocy.

Mignął cień przyczajony. Rzeźmieszek chyłkiem pod murem się przemykał. Wtulił głowę w kolo

al okolo

utemi sty he

~~Zawse trzeba zdaleka od ludzkiej dobroci~~ ~~towarzysz pies-wiś~~ ~~częga.~~

Barek zdaleka obchodził. Ilekroć usłyszał zapófaione kroki, zwijał się i przywierał do bruku.

— Zawse trzeba zdaleka od ludzkiej dobroci. Juz jo znom te smaki — mrucał, kołując. Półzał, ukradkiem się przemykał. Zglodniały odbywał daremną wędrówkę od śmietnika do śmietnika. W poszukiwaniach zapędził się aż do śródmieścia. Kiedy wracał z tej niebezpiecznej wędrówki, zobaczył pod

parkanem cież osoby, ledwo mającej w smętnem świetle. Chcąc uniknąć spotkania, przebiegł na drugą stronę. Przekradal się przyplaszony, patrząc podejrzliwie na siedzącego.

W przechodzie powiała woń jedzenia.

Chcąc podciągnął nosem. Najsmakowitszy zapach wędzonki rozlał się po pierziach. Nie mógł krokiem ruszyć, urzeczony tym dźwięm.

Człowiek coś z papieru odwijał, lamał i kawałkami poterał.

Burek poznal tę chudą postać. Nieraz spotykał ją na progach knajp, nieraz z nią zdaleka się włókił na przedmieście, przyzywany słowem, zrodzonym z uśmiechu i ze spojrzenia niewysłowienie dobrego. Teraz jednakże bał się zbliżyć. Nie wierzył nikomu. Życie uliczne nauczyło go rozumu. Przysiadł na tylnych łapach. Ze znacznej odległości podejrzliwieglodnym wrokiem śledził ruchy ręki. Bał się, czy czasem nie wypadnie zdradziecki kłj lub kamień. Gotowy był każdej chwili uciekać.

— Mnie już nikt nie podejździe, bo ja na twarz nie patrzę, ino na gorsę. Już dobrze wiem, że człowiek oczami i gembą czara dobroci, ale ino w pieści zawsze nosi prawdę.

Bał się zasadki, rzucal nieufne spojrzenia a nie miał sily odejść. Smuga zapachu była coraz rozkoszniej i pętała wolę.

— Może co dę... może nie zbije., przeciez i u ludzi trafi się nieroz dobry człowiek.

Otrzym wprawdzie podawał obraz oszalamiający, nożdra pasł zapachem, ale łożędek pozostał niesyty. Z patrzenia nie spadł do pustej czełuski najmarniejszy kłpek.

Som se je — biednego to nie oboczy... gdzieby mu to do głowy przyszło... może do — myślał, polykając ślinę.

Zniecierpliwiony zadreptał w miejscu, raskuczał błagalnie.

Człowiek usłyszał go. Przelotnie spojrział. Nie odrywając się od jedzenia, ukroił kawałek chleba i cisnął go włóczędze.

Burek ośskoczył w bok w mniemaniu, że spadł kamień. Znow stał pod murem, spocierając bokiem nieutnie, ale żarłocznie. Widząc, że go człowiek nie odpędzi, nie przeklina, zbliżał się powoli. Wciągał dech. Poczł zapach chleba. Nagle przypadł, chwycił w paszczkę odnósł opodal i polknął odrazu w obawie, aby mu nie odebrano. W pewnej mierze jedzenie rozproszyło podejrzenia. Za chwilę podszedł z większą ufnością. Jednakże i teraz lękał się zdrady. Każdym ruchem, uczuciem, myślą się przerztał.

— Może uderzy... e, cheba nie... w oczach nimo kija... przecie to zaraz poznać... mnie nie osuko udaną ~~dobrością~~, ta jest gorsza niż żeby... przecieżom ludzi... mam swój rozum, nie z jednego śmietnika go wygrzebywałem.

Znow się zbliżył.

— E, cheba do... przecie nie uderzył, jakinny. Widać dobry... uderzy?... cy do?...

Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo.

Po chwili raskuczał, sercem zapłakał. Człowiek uniósł głowę, przeszły głosem prośby. Wgłąb zamrozonej ulicy pobiegły łrenice łagodne, przetarte cierpieniem. Znalazły psa błagalnie wpatrzonego.

Uśmiech powitania najszczerzy, prawdziwy wyśłannik serca spłynął mu na wargi i spłonął wyrazem

dobroci, jakby wyblysła gwiazda, zapalona iskrą naj-
cudowniejszego wzroku.

— Piesiu! cóż ty tutaj porabiasz... dlaczego tak
skomlisz — cóż ci jest?... Jaki ośdny, biedny, ino
ci się zęby świecą.. głodny?... chodź do mnie, nie
bój się! cóż tak stoisz? — czuły głos szedł w pu-
stej ulicy.

Całowiek i pies teraz dopiero popatrzyli na sie-
bie, przejrzeni swe dusze. Spojrzenia dwóch włóczę-
gów spotkały się w braterskim pocałunku jakby dwa
promienie, zagabione w mrokach jesiennej nocy i mrok
jesiennej nocy słodyczą rozświeciły.

Żył im Burek, uśmiechał, smachał, ubolał rajs-
niały od światłość ludzkiego powitania.

— Cóż, bezdomny włóczęgo? czego się lękasz?
no, chodź, nie bój się! widział dlonie? nie uderzę
cię, nie tknę palcem! Życie dość nas bije swoim
bijem — och, szkatym, bukowym. Ciebie i mnie, oby-
dwa jednak. Pod płotem w zgodzie z dechamiemy,
więc my bracia... może ty a może ja na twoich pier-
siach... sienia ukoł, społ i zbrata nasze zchoienia,
zabierze nasz dusze i skryje na zawsze przed slem-
ukim. Chodź, nie bój się, skrzywdzona istoto, tyś
mi najbliży... nasz wzajem miłości — więc nie nasz
duszy ludzkiej — pie bezdomny... no, chodź — ci-
chy szepł wysączal się, ale spojrzenia głódniej, ser-
deczniej przyzywały, niż dźwięki, niż słowa. Pies
i całowiek spojrzeniami łczyli rozmowę, którą rozo-
mieją dusze wydziedziczone, dusze tułaczę, opuszczone.

Burek podbiegł do samotnego i z bezgraniczną
ufnością złożył głowę na kolanach. Kiedy uczał na
sobie uścisk, podniósł wstok. Westchnął raz, jakby
zakopane w wieczystym smutku serce w tej chwili
otyło, rozkwitło, otwarło swe kielichy, aby zabrać

spojrzenia i słowa ludzkie. Budziła się psia wdzięczność, jakieś wyrazy, rozgorzałe przedziwem wzruszeniem, przeczyste uśmiechy, niewysłowionetadnym dziwiękiem, bo one rodzą się gina, jak zorza poranna. Tak mu było dobrze, bezpiecznie. Po długich nie sięgach włóczęgi, strachu, szczucia, po raz pierwszy usłyszał dobre słowo, poczuł przyjazny uścisk. Lzy niewyplakanego szczęścia, lzy, nigdy niewidziane przez oko ludzkie, spłynęły przez duszę. Jasne, błogie, zasłoniły dawne tycie, wspomnienia cierpień i krzywd i bólów.

Tę jedną chwilę, jej cud, zamknął jako skałb największy, aby czarny grób jego serca mógł o nim śnić w zaułkach miasta, w długie dni tulactwa.

Włóczęga wydziedziczony, ze zwieszoną głową, a tak radosny, szczęśliwypowłókl się w nocjesienną, w wichry i deszcze...

...coś się skartyło, coś wzdychało, coś płakało zalamując ręce.

Pod murami wałęsał się jęk w cierniowej koronie beznadziejnej skargi.

Pod murami wałęsał się spartrzywiałły nędzacz, włóczęga-pies i włóczęga-człowiek. — —

...na rogach ulic coś łka, szamoce się, targa, umala...

...to może płacz skrzypek wiejskich, pękających z żalu...

...coś się tula po bruku, ślania, idzie, przystaje, zalamuje ręce, patrzy, wzdycha, szepce i cicho, ci-chutko łka...

...może to płacz modlitwy, zagubionej pod krzyżami przydrożnymi...

...a może to płacz skopanego serca, rzuconego w kałużę nędzy ludzkiej...

Gdzieś na rozstajach ulic, w piekielnym tańcu zawierach złych podmuchów, w chłości zimnego deszczu niedola miasta drży, skartysię, boleje i z głodu skowyczy. W łachmanach mgieł się budzi i spojrzeniem mściwym w świat patrzy.

W ciemności zrywasię głos, zanosi się odskarg, wolań i na bruk padł przekleństwo, rozkrzytowane na kamieniach, krwawiące się w noc ciemną — w szarugę jesienną. Burek siedł samotny, ale radosny i szczęśliwy, pustą, mroczną ulicą. Na czarnem niebie błyszczła dla niego gwiazda wsmiechu samotnego człowieka.

W dzielnicy, do której losy zapędziły Burka, przewodził pies rosły, silny, istny mocarz gromady, ongiś między ludźmi nazywany Ralfem. Ten właśnie, który Burkowi pierwszego dnia kość wyrwał Butny, niezwykły, znany był z bezczelności i lakomstwa. Od zdobyczy odpędzał głodnych towarzyszków głuchym warkotem, sębcami uczył rozumu, to też wszystkie włóczęgi pokornie ustępowały, przerażone samym jego widokiem.

Znienawidził Burka od pierwszego spotkania. Może w nim przeczuwał przyszłego wroga i współzawodnika, dlatego rzucał się na niego i ciężko go nieraz potarł. Nigdy nie przeszedł, aby go nie powitać błyskiem ślepiów i krótkim, chrapliwym pomrukiem. Burek po przejściach życiowych aż nadto był osłabiony, aby móc myśleć o walce i odwecie. Przewornie unikał spotkania. Wychodził z kryjówek ostrożnie. Gdy coś podejrzanego zauważył, brał ogon pod siebie i uciekał, co sił w nogach. Mimo to kilkakrotnie nie uniknął zaczepki. Z tych spotkań wyniósł ślady dotkliwych pokaleczeń. Litąc rany, groźnie, po chamsku mruczał:

— Poćkoj... poćkoj... czarachu — pokoszę jo ci jesce... zrobię z tobom porządek, ino sie kapkę po-

krzepię. Nie będziesz ty mi przewodnik. Niedoczekanie twoje — w pasji zgrzytał zębami.

Burkowi niespodziewanie się szczęściło przez dłuższy czas. Przebywał w okolicy mało uczęszczanej. Zgrabnie wykradał jedzenie z kurnów, nawet droób z kurników. To też lepiej odżywiony nabierał sił, skrzepł. W tem wódzcowickim trybie każdego dnia zdobywał nową leon, poznawał zdradę, podstęp, wybiegł, to najskrytsze tajemnice życia i powodzenia. Świadom swej siły, mściwie się odgratał.

— Teraz ja ci pokazę, co ja znam..., nie daruję, coś ty mi daj, ja ci sprawiedliwie odrachuję, a może ci jeszcze coś dosypię, żebyś ni miał do mnie urazy. Nie ci się będę wniem.

Coraz bezczelniej się okazywał, wchodził Ralfowi w oczy, chcąc go wyzwać i stanąć do walki otwartej, kłem w kły, pazurem w pazury. Wiedział, że zwycięży wytrzymałością mięśni, siłą i zwinnością, a nie podstępem i okrucieństwem. Tem właśnie on, pies, różnił się od szowiewka, pana kija. Wpadał na podwórza pierwszy, porywał, co znalazł i uciekał, słysząc skowyty głodnych, trących się o resztki. Rozwścieczona zgraja palala nienawiścią do Burka. Ralfowi rzędła mina. Już się nie nosił tak butnie, jak przedtem. Niby w zamiarach przyjaznych zbliżał się z objawami serdeczności, z kręcaniem ogona, z przymilaniem. Równocześnie jednak oblatywał wroga oczami, badając krępą postać, krzepko zbudowanego parobasa. Znał było, że coś knuje, czeka na sposobność, aby rzucić się z gromadą i podrzeć go na sztuki. Bokiem podjadzał innych. To niewiele pomagało. Groźny widok dobrze odżywionego Burka przerażenie budził i trzymał w dostatecznej odległości. Z trwogą patrzano na odtarty pysk, na kły, na

te najświętsze przykazania wolności tyca i niezale-
tności. Z uszanowaniem unikano silacza, gotowego
 bebecchy wypuścić. A zaden nie miał ochoty zbierać
 rozwłóczonych po bruku. Milczkiem przechodziły.
 Zgodliwsi nawet myśleli o pojednaniu.

— I mnie i jemu starczy... poco się tryć przy
 misce... znajdę se gdzieindziej — całe miasto przecie
 rynsztok i śmietnik. Jest w czym grzebać. Ale też ma
 bestyjo zębce... jakby utarł... e, poco wspominać
 i wilka wywoływać z lasu. Strach jatebierze...

Ilekroć Ralf się zbliżył, Burek nigdy mu nie
 ufał i nie dał się zwieść pozorami. Zbyt chłopską
 miał naturę, by dowierzać. Wszędzie podejrzewał
 podstęp i zawsze stawał w obronnej postawie, z na-
 jetoną sierścią.

— Idź se swoją drogą, nie właz mi w oczy i po-
 rzury, bo cie żywego nie wypuszę. Po dobroci mó-
 wię, odyśd! Nie warc! Jak miszę kachom, nadreć
ścierwa, ze @ i lizanie nie porozee.

— O, widzieliście go, co mi za madryjolek. bę-
 dzie mi zęby pokazywał na naszych śmierciach. Z fla-
 kami ci wytrzęsę te pogrówki — i hycel cię nie po-
 zna — coś za pies. — Ralf wzgardliwie krzywił
 górną wargę i kręcił nosem na znak lekocważenia.

— Duro te ta z ciebie robię... nikiej z tego
 hycła, co ganie po polach za wiatrem.

— No, to bedzies se robił, nie takich pędziłem.

— Ale nie maie.

— To ciebie spróbuję

— Mówię ci ostatni raz, mnie nie tykuj, bom
 z tobą rondli równości nie wylizował... zasię od psa
 gazdowskiego. ty, miastowy drapocu, wbele rynsztoku
 uplegniony. Widzieliśta go, on do maie. A idźse ciaz-
 rachu, bo sie nie dowleciesz do dołu. Burek tylko błyskał

ślepiami, które worały się w napastnika niby ostre, szarpiące pazury.

— Myrdnął ogonem i rozleciał się, nikiej zgininy — rozjuszał przeciwnika Ralf, pewny zwycięstwa przy pomocy towarzyszków, którym przewodził.

— No, to chodź, spróbujewa się. Powiedom ci jesce raz z dobrego serca, po ulicach będziesz sukół kich, ale ty wsyćkie zdychies, to mnie nie pytoj.

Obaj stali w grośnej postawie, mierząc się słemi ślepiami. Wszystkie, długo rajona nienawiść, wszystkie zastarzałe obelgi, wszystkie krzywdy, zgnile w lochach pamięci, teraz ożyły i wybuchaly w bryzgach spojrzeń. Żaden z nich nie śmiał rozpocząć walki. Cielska dygotaly w miejscu. Czekały na zaczepkę. Naraz rozwścieczone pyski wygrzytały jakąś najstraszniejszą, nie do podarowania obelgę.

Roztarty Ralf uciał przeciwnika.

Burek zawył boleśnie. Żółta chłopska natura zakipiła w nim tak, jak w podpitym pambku, kiedy w szale ciśnie się z kłonią w kaczynie na całą wieś. Dysząc zemstą, dopadł swego wroga, obalił na ziemię, przytłoczył cielskiem i darł kudły. Szeroką saramą krew się puscila. Jej chudliwy zapach oba rozjuszył do ostatecznych granic. Osleple nienawiścią przypadały do siebie. Skłębione cielska tartały się wśród bryzgów piany, charkotały po bruku, w błocie posoki wybijczonej z ran. Raz wraz wszcsepiały się pazury w okaleczenia, jeszcze głębiej je rozdzierając. Raz wraz któryś się wyrwywał z drapieżnych więzów i nacierał z niepohamowaną zawziętością. Włóscu wycierpiane ostatkiem wściekłości wdrapały się w rany i zębami stopily się w jeden skowyzający kaldun, przwalając się z miejsca na miejsce. Czasem zgrzyt kłów

rozszarpywał ciszę, czasem głoche stęknienie, warkot mściwy, wpeł ugryziony i na dno gardzieli przeciwnika wtłoczony.

Burek górował nad Ralfem nie tyle siłą, ile zwinnością. W największem nawet niebezpieczeństwie, powodowany chłopskim sprytem, w mistrzowski sposób unikał groźniejszych ciosów, zgrabnie wymykał się z napaści zębów. Odskakiwał, aby nabrać tchu niespodzianie nacierał, dął skórę, niby z-tłaje szmaty. Pod czaszką płomieniami oczu widział i czuł krwawe ślamię pragnienia: zaduszyć to zżenowane spojrzenie, strącić, poszarpać ścierwą pychę miastowego ciaracha. Ta myśl obejmowała mózg, jak żar węgla, rozsypany w stogu suchego siana. Stawał się osobieniem zemsty, wulkanem szatana, ródz pniego.

Ralf, lejąc bez sił, ledwie dychał. Wydarł się w porywie szaleńczej rozpacz i pognał w saulki. Długo jeszcze było słyhać krótkie, jęklive — aj — aj — aj — jakby wielkie lzy wylewał w noc, w bruki.

Zaraz na początku walki rozpełzły się nocne psy i zginęły w mrokach.

Burek został na placu boju okryty ranami. Zmęczony, wyczerpany, dysząc ciężko, odgrażał się wrogowi:

— Żebyś cie nigdy nie widział. Dostoleś, co się sprawiedliwie należy, ale ci mogę cośnietos dokozyć. Teraz to mi do sio para spokój. — Beł komu gic dom se ogonem grać na nosie, niedoczekanie twoje. Nie dom se w miskę paskudzić. No co? smakuje ci?

Osłabiony, coraz ciszej mruczał. Wtedy to zbliżyła się kędzierzawa suczka. Obeszła dookoła, do-

tknęła nozdrzy. coś pomruczała nad nim może mi-
lajacymi wyrazami pocieszyła i słońcą roz-
rywką litając rany. Przejęta cierpieniem zwięzłszy,
talosnie skomlała. To znów odskakiwała, ze słońcą
leciała kilkanaście kroków, groziła, przeklinała Ralfę.
Znów przybiegala, kładła się obok Burka, mrużąc
mu do ucha pocieszenia siostrzane, kojące.

— Biedak... mój... biedak... żeby tak bez litości
pobić. Coś ty mu winien, żeby tak bić. Boli? cót
mizerota moja? boli?.. No, aleś go i ty usłacheł.
Popamięta se, co znaczą Burek — i dumą wyrzekła.

W sposób niezwykły, wprost rozczulający za-
opiekowała się Burkiem. Suka miała swoją kryjówkę
w starej, opuszczonej budzie. Nieraz stoczała walkę
o nią z wszelkiego rodzaju włóczęgami, nie dając
dostępu do garści barłogu. Teraz tam Burka zawio-
dła, biegła obok, aby upadającego podeprzeć. Sama
leżała na kamieniach tuż przy otworze, chcąc ciałem
ogrzzać schronisko. Cwalała bacznie, pielegnowała go,
liczyła rany, znosiła potywienie. Związał się między
nimi przyjazny stosunek. W czasie wędrówek tuła-
czych wzajemnie okazywali sobie szczerą Burek
podbil serce suczki swą siłą, krzepką, mocno zbud-
owaną postacią. Z podziwem nań patrzyła, oczami
chciała wykrzyknąć uczucia, przepelniające piersi.

— Tyś teraz król. — Chyba cię nikt nie
zmóże.

— Niegorszy ta ze mnie chłop — mówił z udaną
samczą, sarozumiałą skromnością.

— Ty nikogo się nie boisz?

— Ino ciebie — ze śmiechem mówił.

Suczka zawsze krążyła obok w dygach zakrotnych,
rachach lubieżnych, doprowadzających do szalu.
Z miłością i uwielbieniem patrzyła na symbole wład-

twoja. Stroiła miny, przypochlebiała się w sposób najbardziej czuły, pragnąc go oczarować, okarać urok swej płci i przywabić go na grzbiec, w barłóg wiecznie utęsknionej rozkoszy. Burek gwałcił ją po łańkach, szalał w noc ciemną. W obronie umiłowanej gotów był rzucić się na kły wilka. Z suką przeżywał na nowo okres wsiowskiej radości swawoli weselniakowskich igraszek. W jej towarzystwie wyruszał na najniebezpieczniejsze wyprawy, z nią dzielił wszystkie rozkosze i udręki życia włóczęgi.

Suczka — była to natura hulaszca, wesoła, odważna, bezczelna, kpiąca sobie nawet z pęty hycła. Głowa pełna pomysłów, mogąca z paści wywieść. Słowem — towarzyszka w tysiącu śmietników wyszukana. Czasem nie było co do paszeczki wrzucić, ona jednak była dobrej myśli i zachęcała do wyprawy.

— Pójdź, cót tu bedziesz głodem siepasi?

— Kaj mam lazić, kołci nie cuję, dość sie na-gonilem, dość nastymałem, juz odg nie cuję. I cót mom z tego?

— Pójdź, to zobaczysz — porozamiewawczo nań mrugnęła.

Żywiej się poruszył

— Mos co? Znowu mnie na kije wywiedzies.

— Juz się ta o to nie kłopotaj. Do prótnej miski ganiać mi sie nie chce, kij mi też nie smakuje. Pójdź ze mną.

— Ze też ty wszystko wyniuchos, a bele co nosa twojego nie osoko, postnej kapusty nie wefnies za słoninę.

— Hi! hi! A nie weznę.

— Co mos na oczach, to ci juz z pazurów nie uciaknie.

— Bom przy tobie mądra i wiem, czem płaciś — przymlajaco spojrzala — z prężną gębą nigdy nie wstaj, bo i milowanie sie bedzie smakowało... Znam życie, wiem, jak się dobierać do jego komory, żeby w ręby nie dostać. Nie dajwota, dość patrzalam na ludzkie ręce i na ich pomyslenie.

Wnet rozbrzmiewaly przekleństwa. Ktoś pieklował, że złodziej ukradł kawał słoniny, to znów, że porwał utuczoną kurę. Raz nawet wyrlekkły z komory zabite cielę. Część szjadły, a resztę zakopaly pod krzewem. Nikt nie znal sprawców kradzieży. Złodzieje cudów zręczności, pomyslowości dokazywali. Tajemnice znal tylko Burek ze swojā towarzyszkā i ich brzuch zawsze pełny. Wracajac z wyprawy mialy minę, jakby boki zrywaly ze śmiechu.

— Przed nami nikt nie upilnuje — z dumā soka się chwaliła.

— A bo nie, od tego głowa i pomyslenie.

— My wiemy, jak żyć na tym zapowietrzonym świecie, to nam dobrze.

Biegł im czas na swobodzie, wesoło, chociaż nieraz trzeba było nastawiać grzbietu i uciekać od kijów ludzkich. Po zdobyciu pożywienia, nad rzeką, wśród wiklin, kilka godzin się zabawialy. Co tam było igraszek, psot, harców, co zartobliwych bójek, tego nikt nie zdołałby zliczyć. Najczęściej rozbawiona suerka umykala całym pędem, on, niby grofny, zły, nasroszony sadził w ogromnych susach. Nagle przypadała do ziemi. Kiedy ją przeskokzył, unosiła głowę i patrzyła na Burka z zartobliwym uśmiechem. W paszczę miała kuszący wyraz, niby przynętę, za którym on poleciałby wszędzie. Spleceni łapami, tarzali się po trawie, w uciskach, gryzieniu piaseczolliwym, w uciesznych warkotach, jakby wśród miło-

snych zwierzeń, wśród miłosnych pocałunków. Po chwilach pełnych rozkoszy wesoło szczeekał.

— Piękne życie.

— Ino letko żyć i pełny brzuch miłością se maścić.

— Słuchajcie... słuchajcie... Na świecie inoprzy robocie klijem płacą. Już ja teraz wiem, jak żyć, jestem sobie pon i zję z miski pełnej samej omasty.

— Życie, wiadomo r...c, śmietnik, t...eba z p...myśleniem grzebać, a znajdziemy kość z mięsem, a nie beły ogryzki, które ci ktoś w zęby cisnie.

— Pójdź, poleciała do hańszego kurnika.

I pędzili razem, w podskokach, wesoło.

W Burku odczuwały się dawne popędy, upodobania, jakie żywił w swej bujnej, wsiołskiej młodości. obudziły się cnoty sameze, kiedy dla płci nadobnej uganiał po polach całą noc, chociaż wiedział, że rano przyplaci to skórą na grzbiecie. Rozkułał się w niej taniec miłości. Żał jej radość, aż się kądus trząsł. Wobec wybranej szezki gotów był narazić się na największe niebezpieczeństwo, za jedno spojrzenie podziwu, za jedno mruknięcie pochwały. Głośnie się stały szaleńcze walki na śmierć i życie, wyprawy, rakunki, pomysłowe kradzieże, nieuczki z lupem z pod kijów. One były na jęrykach wszystkich psów, w sercach wszystkich szezek, lasych na sławę, jakna kielbasę. Każda nadobna miała paszerkę nalożowaną wiadomościami, pochwałami jego siły, odwagi. — W oczach nosiły spojrzenia uwielbiające.

— Burek, to samiec... Z takim grzeszyć, to nie grzech... Iny... e, lepiej nje mówić.

Nic dziwnego. Żaden nie śmiałby stoczyć z nim boja o samiec, czy o strawę. Ulice nieraz w nocy były świadkami widowiska, godnego najgłośniejszego

szczeknięcia. Gromady patrzyły na bohaterskiego Burka z zawistną zazdrością, ale też i z dumą, jak na chlubę rodu.

— Ten się nam udał, wstydu nam nie przyniesie.

— Mojąciwy, smok, za drimendó starczy.

— Co tam — kurcie mówić — nie dawała — pies taki honoru psiego nie zbabrze — drapiąc się po wylenionej skórze, wygłaszał pochwały powoli, nieważnie, z dumojem naszaszczem, sędzy, spienierzay Kruczek. istay komornik, prany kijem tycia, wiecznie głodny.

Podziwiano nie tylko parobczańskie, zdobywcze awantury miłosne, ale i siłę, odwagę, lekceważenie tycia.

Sława Burka, coraz bardziej upasiona, gnała po podwórzach, po śmietnikach, głośno szczekając o jego chwalebnych, wielkich czynach.

W czasie włóczęgi obok Burka zbierały się wszelkiego rodzaju wyrzutki społeczeństwa psiego. Wielu z nich spadło z wytych dobrobytu w niziny nędzy i poniewierki. Niejeden wspaniale był na pokojach pańskich, niejeden w budzie przy misce, ale zbuntowany przegryzał łańcuch więzienia i uciekał precz od bata opieki ludzkiej. Wolał zdychać na wolności, niż wysypiać się w barlogu pod stratą kija, wiszącego nad najlaskawszą nawet miską. Na przedmieście przywlekaly się dziadygi zniedołężniałe, kaleki poranione Długie lata wiernie wysługiwały się człowiekowi, a kiedy osłabły, precz gnał od domostwa. Trafiły się osobniki szlachetnie urodzone, wyróżniające się od pospółstwa wspaniałą powierzchownością. W ciężkich przejściach w walce o byt traciły odrębności rodowe, wychowania, tresury i stawały się nędzą miastową, bezdomnym proletarjatem. Zabłąkał się przypadkowo wysiel czy bernard. Tak ma sycić na bruku zasmakowało, że został na zawsze. ~~W~~ Wśród zbieraniny ugrzął pies-filozof, nadskakiewicz, pochlebca, świecący w oczy baką, a noszący kły w sercu; wesolek, z bujną, parobczańską fantazją; trafiał się szczerzy hulaka, gośdowską swoją zastawieć, go znow jakis wyszczekany procesnik, o byle co wio-

dący spory, to znów inny mrukiwy, odęty, a sły, jak sto djabłów, gotujący zemstę. Obok mapsiaków, piesszochów, kręcących rozkapryszoną główką, przebywały sparazywiałe kundysy, chamskie, prostackie dusze, nieustępliwe zabójki, zawalidrogii wychowane w karczmach. Najgorsze były psy złe, mściwe, nieprzejednane, wiecznie błyskające klami, wiecznie warczące. Ich oczy zapadłe miały wyraz ponury, mówiły każdemu, że ducha wyzioną z najstraszliwszym przekleństwem i nienawiścią. Najsmutniejsze tyciewiodły osobniki sponiewjerane, wystraszzone, pełne żalności, jakby w swem biednem sercu nosiły wieczny żal, dzieje niedoli, o czem mówiły spojrzenia smutne aż do zgonu na śmietniku.

Włóczęga wszystkich przynęcała, miała swój odrębny czar, była bogata w przygody, była ciekawa i wciąż inna, jak ciekawe były osobniki, co dnia spotykane. O kolejach, o przejściach wiedział bruk, załki i dół hycłowski, który krył tajemnice na zawsze, wiedział brat włóczęgi — człowiek wykołejony, bezdomny, który walczył o byt, o kęs chleba sblóconego lub oblanego łzami.

Wśród najstraszniejszych warunków zwyciężał, szhartowany w nędzy, mocny, bezczelny. Słabszy w krótkim czasie ginął. Nikt go nie żałował, nikt nad nim nie płakał. Burek patrzył na śmierć wielu. On, mający mocne kły, długo był bez troski. Z dawnych towarzyszy i wrogów on jeden pozostał. Wybrana suczka już dawno zginęła.

Pamiętał długo jej koniec.

Zaraz po południu wyleciała z tajemniczą, a wiele mówiącą miną. Zapewne na wyprawę gdzieś poszła. Z upragnieniem na byle ochłap czekał Burek. Był głodny, całą noc lał po wszystkich kątach i się nie

znalazł. Minęło kilka godzin, a suka nie wracała. Zaniepokojony, rozpoczął poszukiwania, wbiegał na podwórta, przepelzał pod parkanami, mknął wiadomemi sobie przejściami, unikając ludnych miejsc. Często podnosił głowę, węszył na wszystkie strony i znów biegł z pyskiem przy ziemi.

— Kaj sie beskurcyjo podziwo? Nikany jej nie widać, chyba w mysią dziurę sie schowała. Ganiaj z wywiesonym ozorem, a ona se kaj z pełnym brzuchem w cieniu spoczywo. Djasi nadałi z takim babą.

Na rogach stawał, oczy zeszczerzypoleciały w jeden, w drugi wąwóz ulicy. Pustka. Skoczył i gnał przywarty do muru, obzierając się poza siebie.

— Hycłowsko buda mi nie pochnie. Niechże rakarz smakiem sie obejdzie nie dom mu swego ścierwa. — Poleciały oczy na wszystkie strony. — Ni-ma jej. W głowie mi sie nie chce zmieścić, to cego telo casu kajś sie podziwo. Hi! hi! moze wystroi jaką godną stukę, jase kaldun przy zarcie bedzie sie trzął. Ona wsyćko potrafi — mądro baba.

Znalazł ślad w natłoku rozlicznych powiewów i biegł za nim.

— Tędy leciała, ale juz sporo casu minęło. Pewnikiem do kurnika. — Zle przeczucie go tknęło. — Żeby im z tego interesu jakie stropiasie sie padło, jureśwa roz codem usli z zyciem. To jakieś

Troska chwilowa ściekla, jak roztopione masło, kiedy zaleciał zapach wspomnień, przygód, awantur, cudownych ocalań.

— Nic jej nie bedzie. Mo bestyjo rozum, psa nad psamiby osukala. Gdzies sie podziwo dlugo. Przy ciężkiej jest robocie. Bedzie godne zarcie.

Znajomy dom mijal z przekleństwem. Tu nie-
szczęście go spotkało. Głośno zagdakały kury. Mer-
dnał oczami, zgrzytnął zębami.

— Pockojta, dom jo woni jesse. Prześmiechy ze
mnie. Lisa wywiedę w pole, a nie głupie kury. Be-
dzie szymant.

Naraz stanął. W dziurze płosu zatrzaśnięte paści,
w ich pokrwawionej paszczęce odcięta noga. Obwą-
chał, zaskomlał i pobiegł rodygotany po czerwonej
strudze, rozlanej na ścieżce, na słońcach trawy. Pod
krzakiem, w kałuży krwi leżała suka, obok niej za-
duszona kura. Znać towarzyszka wyrwała się z że-
laznych więzów i ostatnim, przedśmiertnym wysiłkiem
niosła mu zdobycz.

Kiedy zjawił się Burek drgnęła, uniosła łapę,
chcąc wstać.

— Zaraz polecimy do chalupy. Wypadł mi z zę-
bówgodny kawaleczek zarcia, niosłam go tobie, patrz,
tam leży. Bedziesz miał uciechę. Wef, boś głodny...
Ja już najedzona. Bierz... Godnie tyliłmy... powiedz
Barko?...

Jeszcze raz popatrzyła, pragnąc się przytulić,
uniosła się i linęła go, jakby składała ostatni puc-
tunek podziękii i podęgnania...

Burek trzącał ją nosem. Łapą coś do ucha lkał.
Odbiegł w suzach, jakby pragnął zachęcić do skoku,
do nowych awantur i lecieć z nią na nowe przy-
gody. Po kilkunastu krokach odwrócił się. Leżała
bez ruchu. Położył się obok, przygarniał się mocno,
szpazmatycznie, jakby oddawał ostatni puls, aby nim
tycie zbudzić. Ścierał z ran krew, skuszał, nadślu-
chiwał, coś psim piskiem mówił, mową, miłością za-
kładał.

I może wtedy od siły bóleści drgnęło serce zabitej, ale najłżejszy oddech nie uniósł się z martwych piersi dla samotnego psa-widzcegi.

Burek zwietrzył trupa. Sierść zjętyła się na grzbiecie. W popłochu przerażenia uciekał od niej ssa zdrady i śmierci.

Suka leżała opuszczona na piachu z wykrry wioną paszczką, jakby się śmiała na wspomnienie najbajeczniejszej pod słońcem przygody...

Od tego czasu rozpoczął się najsmutniejszy dla Burka okres. Wszystkie niepowodzenia go spotkały, podupadł na siłach, zmaltretowany przejściami. Kilkakroć pokonany poznał, że bezpowrotnie minęła jego chwala. Schodził z drogi młodym, silnym, lepiej odżywionym. Witwały go spojrzenia i pomruki groźne. Niejeden szczeniak naszczekał mu, brał ogon pod siebie i uciekał nieścisany. Zgłodniała gromada wólczeńców pędziła Burka precz od śmietników. Wtedy w zaułku karmił się własnem skomleniem.

W okresie swego żebractwa zaprzyjaźnił się z bezdomną dziewczyną, Mańką, wystającą wieczorami na ulicy. Przytęgnął do niej szczerem uczuciem. Czasem go poglaskala, czasem skibkę chleba rzuciła, w chwilach niezwykłego wzruszenia objęła sparszywiąa szję uściskiem i mówiła opowieść beznadziejnie smutną o wyrysku, o hańbie przekłętego życia, od którego chciałaby uciec na koniec świata. Za te okrucy odwdzięczał się ogromem wierności. Po daremnej wędrowce za potywieciem krążył niedaleko Mańki, zwijał się u jej stóp, ogrzewał ją ciepłem swego ciała, mając utkwione oczy w bratniej, najbiedniejszej istocie.

Jakże mu żal było, kiedy patrzył na jej srom, na nędzę jej życia.

Mańka nieraz kilka godzin czekała na zimnie i deszczu. Spojrzenia daremnie leciały w mrok po pustych chodnikach. Przewijały się przez sercemysłi, jak sznur łez gorzkich, że w domu nie będą mieli co jeść, że na grosz, zwalany w kałużę sprzedanej miłości, czeka głodny brat, siostra. Gdy nikt się nie zjawiał, obydniymi wyrazami przeklinała ciszę, swój los i spódnionych przechodniów. Po zmiętej twarzy ściekały łzy, ryjąc brzozy w pokładach taniego różu. Skoro tylko rozległy się czyjeś kroki, odruchowo obtierała policzki, na wargi wywlekała udmieszek, zaiste obmyty łzami, co dopiero wypłakanemi. Za czepiała „gościa”, obrzucając go zalotnym spojrzaniem.

— Cóż kotku, idziemy?

— Niby gdzie?

— Na, do mnie.

— POCO?

— Ty niby nie wiesz — no! — mrugnęła na niego znacząco i wykonała bezwstydną ruch.

— Nie wiem.

— Co głupiego frajera udajesz.. Świętoszek, pewnie się może wlec się i cnotę udaje.

— Cicho, szmato!

— Sobaczy synu, poco się pchasz w głębia z parszwą facją.

— Cicho, bo bazię zamknę, zębki porachuję — dobiegaly ostatnie słowa.

Barek, chcąc ją pocieszyć, lasł się, patrzył w przyfasciolkę wiernemi oczyma.

Mańka zawiadziona, na psie wywierała złość. On jej pecha przyniósł, bo się potknęła na zatraco-nym kundlu. Kopnięciem zagnęła go. Była to zwykła kolej losu. Nie przeklinał jej, ale biednym, współera.

jącym wzrokiem na nią patrzył. Tę krzywdę zapomniał, kiedy na drugi dzień spotykał Mańkę na przedmieściu, opodal jej domu, niosącą matce pieniądze, wydobyte z kasy jej serca, z ran hańby. Łasił się, lizał ręce i wsłuchiwał się w tkliwe, dobre rozmowy. Ze wzruszeniem patrzył, jak ta dziewczyna uśmiecha się do osób bliskich. — W oczach i na wargach jej wschodziła wówczas jasność gwiazd zarannych, zapalonych skrami uczuć, świecących na zgniliznę tej szelmy sprzedającej.

I może wtedy w duszy Burka myśl zabłysła!

— Błoto tycia purpurowemi różami zakwita — widzi je Chrystus z Golgoty, tuli do piersi miłosiernej i przebacza za wyrysk, za krzywdę świata.

Burek co wieczora spotykał te same drzewa, źmietniki, te same postaci, te same symbole najpotworniejszego porządku ludzkiej sprawiedliwości. Przechował te myśli, uczucia, słowa i zamiary, poznawał które są pieśczętą, serdecznem przyzwaniem, a które uderzeniem kija. Wiedział, czem go kto powita, więc skuczał radośnie, lasił się lub okrętał zdaleka nieufnie. Jakte często ścigał go kamień, słowo mściwe lub spojrzenie, podobne do błysku noga.

Ilekrót Burek w dzień tulał się po ulicy, spotykał żebraka, siedzącego pod parkanem, zawsze w tem samym miejscu, jakby poprzetrącanemi nogami wrósł w bruk i już nie głos ludzki, ale bryły kamieni wołały o litość i zmilowanie. Jego oczy patrzące dwoma wyrazami boleści, rzuciły pod nogi przechodniów dzieje nędzy, rozwłózione po ciemnych drogach tycia. Dziad krwawemi słowami żebrał, krzykliwem cierpieniem spojrzeń i głosu litość budził.

Jednego dnia Burek, zapędzony w te strony, stanął opodal kupy łachmanów. Uśmiechnął się oczami

zapalonemi nadsieją, jak się uśmiechają tylko mierz-
skie kalute na mgnienie, oświetlone słońcem jesien-
nem. Zdawał się porozumiewawczo mówić

— Wy mi nic złego nie zrobicie, we wszystkim
sie oba rozumiewa. No, dyć nie dziwota. Wy, taki
som, jako i jo — parzywiec, nędzorz, wyścigany
przez hyla.

Burek przyjaźnie kręcił ogonem, a równocześnie
potądliwym wzrokiem obwąchiwał torbę pękatą od
skarbów, myśląc w cichości ducha:

— Mo fest wypchaną kichę. Wie, jak brać lu-
dzi pod dziesiąte ziobro... he... he... utony.

Dzied obejrzał się wokoło. Nie było nikogo.
Rozdziawił gębę i przyzywał psa. Na ostrapiale wargi
wywabiał ogryzek klamanego uśmiechu, przybił go
ćwiekiem samonie sterczącego zęba, aby się nie re-
sunął i nie zagubił w ciemnej otchłani gardzieli.

— No, brachu, choź do mnie — nie strachoj
sie, nic ci sie zrobię — cós tak litośnie, a bojąco
spozieros, no, pójdz — wolał, dzierząc w kostroba-
tych paluchach setny kawał razowca — hi... hi...
majdos jęrzykiem, leci cuch do nosa.

Wzrok psa zawadził o kij sękaty, leżący obok
dziadygi. Spojrzał nieufnie. Głodnego jednak uspo-
koił godwy potalowania widok nędzarza, a zwłaszcza
chleb mile pachnący.

— No, pójdzite — hi... hi... dom ci trochę z mo-
jej chabaniny, co mi te sobacze ścierwa dzisiaj ci-
sotły, za ogryski chęą, zebym im pacierzami wysłał
drogę do nieba... hi... hi... mądre. No, choź, pory-
wię cie... mnie dał, to i tobie dom. Rzetelnie sie
podzielę.

Burek uspokoił swoje podejrzenia. Przecież daw-
niej zwykł był darzyć ludzi ufnością. Zresztą teraz

za kawałkiem chleba poszedłby w ręce oprawcy. Zblił się, jak zwierzę do zwierzęcia, zapatrzony w pajdę. Ale stał się coś niespodziewanego. Zdradziec kim rockem zelazna garść chwyciła psa za kudły i całą siłą zdusiła. Poczul ciężkie uderzenia sękatym kijem.

Dziad z wysiłku charczał i sapał.

— Dostałem cie sakramencki draniu. Nie daruję, psiakrewskie nosienie. Mos, co ci sie nolezy, dość natyrpalista lachów. Dziadowskich portek nie usają, mięsa ludzkiego sie bestyi zachciewo. To nie śmiestnik, zeby koczy pysk w niego wrozoł, tarmosił i zarł.

Z corazwiększą złością okładał Burek i wyobrażał sobie, że bije cały ród psi, że mści się za pokasanie, za szczekanie, przesładowające go na katdej ulicy. Zmęczoney ustawał, za chwilę znów razy wymierzał.

— Zednego uszanowanio to dziadowskich portek, ino napastować i do ludzkiego lacha sie dobierać. Ze skórybem obdzierol, ostatniąbym tyłkę wypruwol. Prać to nieczyte lajdactwo, zeby wysła ostatnio para. Bledny cłowiek flaki se przez cały dzień rozdzjero, a to warcy, przyskakuje z rębami. Ino tym różańcem moze sie odganiać, ino tym pacierzem o zmiłowanie prosić. A zrozumie to głupie bydło. A mos zatracone plenię! Popamiętoj se i drugiemu powiedz. Mos, co się wom wytkim od dowien downa nolezy. Nie wrzesc, nie potrzebne mi twoje skłamanie. Skaję ci mordę, ze na amen jej nie rosewzres. Mówię ci po dobroci.

A Burek w twardych więzach rąk trwał bez ruchu, ogłuszony okropnem biciem. W piersiach miało się serce, jakby kij dziadowski przetrzął je na dwoje i każda część skatowana lkała w spojrzaniach

oczu. Nie miał sił wyrwać się. Jęcząc głucho, patrzył w steraną twarz nędzarsza, w śrenie wychłostane, z których może jutro, w chwili skonania, zostaniem przekleństwem tego świata wyciekną łzy, zrodzone we wgardzie.

Burek myślał z bezbrzezną psią litością:

— Tyś taki som, jako i ja — takosiedki — ni cem pies ześci gany, pod płotem zdychający. Za co mnie bijes, na, powiedz.. biedoku, nędzorsza, bracišku mój?

Obity, powłóki się do swojej kryjówki.

Dziad znów jęczał po całej ulicy. Gromadził grośtaki. Wciąż brzmiały donośne słowa paciery, wciąż leciały błagalne spojrzenia. A były one tak żalose, tak cierpiące, jakby odpadały od ran najboleśniejszych.

Jeden pies znalazł ich obłudę i fałsz. Nie dał się zwieść pozorom i wiedział, czuł, jak bardzo mściwy, jak bezlitosny jest głos. ręce, oczy. Zdała okrąpał sterc łachmanów.

Żebrak, skoro go spostrzegł, zrywał się, kłął i ciskał kosturzem. Burek, trafiony, uciekał z podniesioną łapą. Co chwila się obracał, czy nie ściga go kij długi, dziadowski, tak okrutną boleść niosący. Dopiero na rogu stawał i pytał sam siebie i tych drzew nędznych, od lat bicowanych wichrem, skopanych i opłiwanych przez przechodniów.

— Za co — za co bijes — w cem jestem tak winowaty — nie wygnołem zo na ulicę, nie spuściłem na niego krzywdy — nic złego nie zrobiłem —

ic

Nie mógł znaleźć odpowiedzi, ale kiedy zobaczył łachmany, nędrę zebraka, wtedy pomyślał ze śre-

— Tyś taki som, jako i jo — garda bez budy, garda na nędzy, głodzie i przekleństwie. Żoł mi ciebie. Mógłbym ci jeszcze pokazać zębce... Ech, poco? I bez tego życie dość cie pierze kljem po grzbiecie. Oj, dziadu — dziadu... gryzie cie, to chcesz mnie ugryźć, żeby ci ulżyło. Używoj se. Do znaku zabójcylem, cem jezdeś. Skokać z pyskiem do ciebie, pokazać, cō jo znacę? — Nie umię sie mścić, jeszcze sie od was nie naucylem i nie naucę — bo przecie nie jezdem człowiekiem.

Dziad nie rozumiał uczuć i myśli psa głupiego, zawsze go wital przekleństwem ciętkiem, jak kopnięcie stróża, pędzącego włóczęgę z dziedzińca. Może chciał wyrzucić zemstę za kopnięcie, za wzgardę, a może pragnął mieć owo najwyższe, najbardziej upragnione złudzenie, że jest panem, mogącym panować, poniewierać i znęcać się nad słabszym, nad bezbronnym...

CZEŚĆ TRZECIA

ON THE THEORY OF THE
GREEK THEBIA

Przy zdobywaniu ochlapu opadła Burka rozwścieczona zgraja psów. Zgłodniałe, rozżarte zwierzęta wybuchnęły złością i mściwością, długo tajoną i coraz okrutniej szarpały ciałem oberwładnione, przygniecione. Burek jeszcze warknął, ugryzł najbliższego, jeszcze miotnął spojrzeniem, zębami pogroził. Słabł. Ledwo dyszał. Wśród wrzasku charkotał czuł przeraźliwy ból w karku i poszarpanym brzuchu. Doznał wrażenia, że dziesiątki klów rozdierają skórę i wywlekają wnętrzności. Wstrząsnęło nim pragnienie ratunku. Nagle zerwał się i szaleńczym wysiłkiem strząsnął z siebie stertę ciała. Chwycił któregoś za gardziel, innego uciął w pośladek. Rozpadły się pokaleczone psy. W obłądnej wściekłości zaczęły skakać sobie do ślepiów, wzajemnie gryźć, szarpać, targać pobruku.

Burek nie czekał na wynik zapasów. Co tuha uciekał. Osłabły, skaniał się. Chwilę odpoczywał, robiąc ciętko bokami. Znow wstawał. Skomlać i potykając się co chwila, dowlókił się na przedmieście. Nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest. Ślepy instynkt go widł. U kresu tej morderczej wędrówki zachwiał się, runął na progu czyjś domostwa i wydał przeraźliwy skowyt, jakby wicher wyjęczał pogrzebowy psalm.

Po pewnym czasie Burek obudził się. Przez półmrok omdlenia obaczył nieznaną izbę, obce jego węchowi sprzęty. Owiąły gospokdój, ciepło, zacisze. Czy jeś ręce pieczolowicie opatrywały rany. Ilekroć go dotkliwiej zabolalo, wzdrygał się, kurczył i cicho skuczal. Wtedy uczował delikatne dotknięcia, słyszał wyrazy niezrozumiałej, obcej mu tliwości i niezziemskiej wprost dobroci.

— No, cicho, maleńki — cicho — widzisz, muszę opatryć — nic złego nie zrobię — boli? — boli — biedaku — zaraz przestanę.

Ból okropnie mu dokuczal. Ale pod pieczęcią zagasał ogień cierpienia. Po chwili otworzył oczy, czarne skrzepy. Tuż nad nim siedział człowiek. Głowiec go widzial — ale gdzie? nie może sobie przypomnieć.. Rozwidnia się mrok pamięci — w oddali majaczeje wieczerd jesienny — szaruga — głód — kawał chleba, szaszurą ręką rzucony — i słowo przedawne, spojrzenie anielskie. Światłość w piersiach wzeszła, słodyczą wspomnienia upoiła. Przed oczyma stanął wyraźnie ów błogosławiony wypadek. Ach, to ten chudy nieznamomy!... on go potywil... to jego twarz — jego głos — chleb serca. On, jedyny, nigdy kijem nie uraził, nigdy nie odpędził.

Burek jeszcze raz zawietrzył.

Ale, tak... zapach dobroci — to on — on..

Znow zaszemrał głos kojący :

— Leś psiao -- ktoś cię tak wrogo skrzywdził? Żli to ludzie zrobili! no, ktośby inny — włóczęgo bezdomny — tyle ran zadali...

Burek w porywie ogromnej wdzięczności dźwignął porozbijaną głowę, przytulił się do człowieka z bezgraniczną głonością i opadł omdlały.

Pies powoli przychodził do siebie. Skaleczenia były ciężkie i trudne do zagojenia. Co dnia człowiek przegarniał sierść, przemywał zastrupiałe rany i namaszczał oliwą. Otaczał chorego prawdziwie matczyńską opieką.

Burek, leżąc na swym barłogu, z miłością patrzył na człowieka. Poznawał jego dobroć. Nic nie uszło czujnej psiej uwagi. Nieraz chciał mu podziękować za wszystko. Ciało w ranach zwlekał z łęgowskiego, z trudem czuł się po podłodze i wlepił oczy w drogicę oblicze. Serce biło w burzy wzruszeń, a każde uderzenie zmieniało się w spojrzenie dziękczynień za doznane dobrodziejstwa.

Kiedy nieco nabral sił, laził po izbie. Wychodził przed dom i godzinami grzał schorzałągnaty w słońcu. Ciepło, opieka, wygody i gotowana strawa wnet go zupełnie wyleczyły. W nowych warunkach zmienił się nie do poznania. Nic dziwnego, zawsze był najedzony, nie troszczył się o jutro, nie słyszał świstu batów, przestał się lękać pętli hydy. Sierść wygładzona leżała na podpasionym, niby dostatnia katana, podbita gęstym kotuchem. Oczy niewolnika-włóczęgi straciły ponury wyraz. Sparszywiałe wspomnienia doznanych krzywd w dawnym życiu podpadały, niby tebracze łachmany, zgnile w znoju, we łzach i brudzie. Zrzucił brzemień nienawiści i zemsty do świata, do ludzi. W odrodzonych piersiach wystrzeliły nowe uczucia. Teraz miał to, o czym nie śnił nigdy młody ogrodnik, ginący na bruku. Przywiązał się pięć, największą na świecie wiernością. Nie było w nim niewolniczości, koczującej się przed kopniakiem, wdziczącej za ochłap. Ale była to miłość do człowieka, który umiał być przyjacielem. W serce swoje wlepił każde uctywek, każde słowo; one krążyły w tętni-

cach myśli, uczuć, one były przypomnieniem niezmiernie łaskawości.

W sytem ciele obudziła się dawnanatura, mniej ognista, jednak gorąca, szczera „do tańca, do bitki i wypitki”. Zatywał swobody w dzień i noc, chodził gdzie sam chciał, to też w krótkim czasie poznał wszystkie psy okolicznych ulic. Do każdego zbliżał się z oznakami przyjaźni, z kręceniem ogona, obwąchał, dotknął nosem, coś pomruczał zyczliwie, zachęcał do skoków, do zabawy. Pierwszy pędził w swawolnych susach, pierwszy rozpoczynał harce, wyścigi. Szczukom umiał się podobać, chociaż — prawdę mówiąc — nie wiele o to dbał. Lata brały górę, nakazując przynależną jego wiekowi powagę. Ale przecież i jego jakieś лихо opętało, namiętność bucznie rozgorzała w starym piecu. W takim czasie djasi go wodzili po całych nocach. Wieczorem cichaczem się wymykał i gdzieś przepadał. Wracał nad ranem. Nie śmiał bić do drzwi. Skruszony i zawstydzony leżał pod pręgim. Kiedy człowiek się ukazał, witał go z głośną czułością, jakby przeproszał i nierwykłą serdecznością chciał zabić nagromadzone nagany i wymówki. Zawsze tego dokazał. Człowiek z udaną srogością lajał go!

— To teraz wracasz? — gdzieś hultaju bywał przez całą noc? Cóż to znowu? Muszę cię nauczyć rozumu. Tak dalej być nie może. Gdzieś gonili?

Burek tarzał się u nóg, błyskał szelmowsko oczami i zdawał się pękać ze śmiechu na wspomnienie nocnych przygód miłosnych.

— Wom tam nie mówić, gdzie bywołem. No, dyc przecie wiecie, co sie zyjacemu nolezy i cego caa.

Dzisiaj ci podaruję, ale na drugi raz skroję kurno, że sobie rapaniętasz raz na zawsze.

Pies wiedział, że wybryki ujdą mu płazem, więc sztywno nie przejmował się i wcale nie myślał o poprawie. Na drugi dzień znów ginał. Co czynił, to mogłyby powiedzieć pobożowiska mojej lub więcej chlubne, to mogłyby wyszczerkać serca rozmiłowanych samiec, nie naprótto wdychających po okolicznych polach do jego samej sily i przeżytych rozkoszy. Radość kipiła, niby ukrop w garnku. Te okresy były coraz krótsze i rzadsze. Ciepły kąt wyżej zaczął cenić, niż nocne wyprawy. W dzień tylko uganiał po ulicy, swawoził z bawiącemi się dziećmi lub w chwilach nudy obszczerkiwał stada wron. To była jego uciecha. Wieczorem kijem nie wypędzo noby go z domu. Coraz częściej leżał rozparty i za wszystkie czasy odpoczywał i filozoficznie rozmyślał nad sprawami doczesnego świata.

— Życie, to nikiel słonina na ogniu, smaczy się, tłustość wytopiono ciece. Trzeba oblizować, póki czas. Jo ta dość miękem, więcej, jak mi było potrze. Umiolem otwierać komorę. A teraz żebyś stoł nad pełną miską, to nie rusys. Ocami tobym jodł. Zebyś ~~nie~~ stoł oca i wszyckim patrzol to i tak nie poradzis. Staremu chłopu podoba sie ~~nie~~ baba, peda, że lubi, kiej mu sie po łzbie przed oczami ruso. Mój ty święty patie nad psami, żeby mi sie najtwardziej ruszala przed oczami, to nie nie maie juz nie nie porusys... Hi!... hi... młyn bez wody. Tako to bieda przysła na mnie.

Z uśmiechem dobrodusznego poblatania patrzal na psi ród, na walki o pleć nadobną, na rozkosze pragnących lat.

— Niechże se ta użyją, tego cas. Przejedzą im sie ze wszykiem te smaki. Miałem ich pełną michę. Ochłolem sie ich godnie, jaze mie sparło. Niechże se inny pokostuje, będą mu sie odbekował te wspominki. nikięj zgnila kapusta.

Ścieliły się obrazę wypraw, harców, bójek i gonitw, niby barłóg, na którym serce podjedzone pogodą i weselem spoczywało. Oblizywał się, jakby chciał językiem zagarniać tłustość wspomnień. Nieraz smutnie się zadumał. Odwracał głowę, aby nie patrzeć w stronę młodych.

— Wszycko marności. Belo, przesło i nigdy nie wróci... Teraz pod dachem starości wspominki zryduzo ci z tego przyjdzie. Zol wszyckiego, ale zolunie wyplaces ani łzami popiołu nie zapolis...

Robił wesołą, zawadjacką minę, udawał zucha i mruzał cicho.

— Casem i w starym piecu djabeł polł, jescę jak zechcę, to pokozę, co umię. Choćbys nosił pod kudłami próchno, to leb zadzieroj, kły pokazaj, a kazy będzie myslol — pies wie co. Zęby ucą usanewanio. Ino lopata klów sie nie boi... — po chwili dodawał — no i cóz z tego będzie. Przetakiem wody nie nanosis, kulawy nie będzie sie wyścigował ze zdrowym.

Na widok młodych, ich uciech i harców, zazdrość, niby rozarty pies, wyskoczyła z za węgla zastanowienia i ułaziła go. Porwał się.

— Idzies stąd. Ino zgorzenie i pokusenie na oczach. A idzies kocia paro, bo cię wygonię z tej ulicy.

Zaraz wrócił. Połaził w ką, aby nie patrzeć. Ostatkiem sił się złościł.

— Bestyjo spać nie daje. Ze tej hycel tego ci- latajstwa nie wyścigo... Oblizuj sie, kiedy drugi zra- całą gembą... Na oczach pokusa... — Zamyslił się. — E, co tam pokusa... umarły nie rusy, choćbyś go w wędarni ostawił. — Machnął z determinacją ogo- nem. Przejął go wstyd.

— Cóż mi przyjdzie z tego, kiedy goodegnom. Przecie ma sil z zębów sie wydrę? Zaraz obsecejął- mie: pies na padzietru nie lezy i drugiemu nie do. Niech nie wygalują. Poco? Dość sie jeden z drugim- biedacyna naoblizuje, naskoko, dość klaków w bitce- natraci, zanim chyci jakiś kąsek marcowy. Nie letko- se go pozywo, oj nie... Bele saka wodzi za nos i pod- pazury prowadzi. Ja nazarłem sie tych słodkości, niech i drugi pokostuje.

Wtedy jak stary wyga, który już ze wszystkich- śmietników doświadczenie wygrzebywał, mamrotal- pod nosem chłopską przypowiestkę, jak to „były- cazy, były, ale sie minęły, po maluśki kwiki, minie- my sie i my“.

Przetywał okres spokoju, szczęścia. Często je- dnak w tych błogosławionych chwilach przesował się- majak ulicznej włóczęgi. W mózgu tkwił grot okru-- nej myśli, że człowiek jutro wyrzuci go na ulicę, z- bije, skopie. Znówu będzie się włóczył po bruku, zeszczuty, ścigany i prześladowany, będzie zdychał- z głodu. Oczy zmienione w bolesń tebraly o litość- i zmiłowanie spojrzeciami, które przeszły przez try, kzywdę, jak całego tyca.

— Nie wypędzaj — lepiej zabij..

Kiedy zobaczył twarz człowieka, usłyszał lagodny- głos, odrazu rozwiewaly się wszystkie złowróżbne- przecucia. Zostawała tylko wdzięczność niewypowie-
~~st... do... ma. To on uratował ma~~

tycie, to on go przyjął pod dach, to on opieką otoczył, to on uleczył ciało i duszę, wyrwał z piekła. Już nie szarga się po ulicach, już go złość ludzka nie tropi, nie ściga wichur bezdomnego. Sprawił to dobry człowiek. Kiedy sobie wszystko przypominał, przypadał z radosnem skuczeniem. Kładł głowę na kolanach przyjaciela. Piersi wznosiły westchnienia nieme a głębokie. Przecogromna czułość napelniała wszystkie ranki duszy, krążyła w żyłach, budząc nowe wybuchy. Drżąc ze wrazenia, wlepił wiernie oczy i spojrzeniami przysięgał dozgonną miłość i wierność. Nie wiedział, jak wyrazić ich ogrom. Pragnął serce wyrwać z piersi i złożyć u stóp. A wtedy każda kropla krwi mówiłaby o wielkości uczuć, jakie tywi dla najdroższego przyjaciela.

Mazurkiewicz, do którego losy Burka zagnały, był malarzem. Dziwny ten człowiek z nikim nie był, nikogo na próg swego samotnego domu nie wpuszczał. O tajemniczym mieszkańcu rozchodziły się najpotworniejsze wieści. Cała dzielnica znała wyniosłą, suchwą postać, twarz piękną, rasową i zadzierzystą, beret aksamitny, rzuconym pysznie zwierzchno włosy. Były od niego hardość i duma. To też lyczkowie z narbyt uniesioną pokorą ustępowali mu z drogi. Wyras styderstwa i pogardy miał wobec ludzi. W domu ta maska odpadała, twarz stawała się starą, stęraną i zgrzybiałą. Mazurkiewicz zmarnował nierwykle zdolności. Przepowiadano mu wielką przyszłość. Mógł być znanym i uznanym, lecz nie umiał dorabiać się sławy. Wstręt nieprzeparty czuł do walki, do zbirowiska ludzkiego, trącego się z nienawiścią o ochlap tycia, niby zgłodniałe psy o padlinę. Obrazy w młodości wystawione narobiły dużo wrzawy. Zapowiadano mu kierunek w sztuce, widziarno nieposkromiony, buntowniczy pęd, łamiący zapory i wyrwijający się na szerokie rozlegi twórczych porывów. W dziełach swych wyrwał ducha Setuki z pod dębów i paturów pospolitości. Były one szaleńcym wybuchem sił, czemś innym, niepospolitem i potęgą

światła razily ślepców. Oficjalni, uznani krytycy, grzebiący się w pyłe małości, rzucili się na nieznaną nazwisko, „schlastali” je i odsądźili od krzty talentu. Tylko nieliczne młode głosy stanęły w obronie, podnosiły doskonałość rysunku, moc, bijącą z obrazów, głęboką treść, która wiekuiatą światłością wzruszeń przemawiała do duszy widza.

Po pierwszym występie Mazurkiewicza przestał wystawiać. Ze wstrętem myślał o tem, że jego umiłowane twory, w talnikach duszy zrodzone, może być kto oplwać spojrzaniem. Miał uczucie, że każdy przechodził depce jego serce. Zresztą o rozgłos nie dbał. Zostawiał to innym, którzy umieją okrywać się sławą, niby peleryną, osłaniającą nieraz pustkę piersi, którzy umieją obnosić ją z godnością senatorką po targowiskach. Praca była dlań potrzebą ducha. Tworzył więc w chwilach natchnienia. Wtedy w wyżynach niedościgłych śpiewał sobie pieśń własną formą, własną harmonją barw, zaiste w trzasku błyskawic i łoskocie burz. Wszechświat duszy, pragnienie szaleństwa, tęsknoty wyszarpywał i na płótno rzucał wszystką ich mękę, wszystko cierpienie. Świata rzucał straszliwą skargę i przekleństwo sponiewieranego serca, które koil Chrystusa uśmiech, zesłany z wyżyn Golgoty dla duchów udręczonych, obolałych, wyplakujących łzy na boskich piersiach. Dożywał tragedję spojrzeń wydziedziczonych, idących z piekła zła, zbrodni i krzywdy. W linje i kształty zakawał marzenia oslepiłych wędrowców, błądzących po pustyni w blaskach błyskawic, potary ludzkich namiętności, roztrzaskane porywy piorunów, z niebios strącone loty, niosące na poranionych skrzydłach hymn człowieczego buntu. Obrazy Mazurkiewicza były podobne do pejzażu polskiego, miotanego szarugą,

z przydrożnym krzyżem, który rozwiera ramiona i przygarnia bezbrzeżny smutek pól, jęk wichrów i mękę ludzkich porywów.

A pod tym krzyżem samotnym, w więzach cierniowych krwawiło się wszechczujące serce twórcy.

Mazurkiewicz sprzedawał swe dzieła dopiero w ostatniej potrzebie. Rozstawał się z ciemną z prawdziwą rozpaczą. Bardziej unieważnane rzucał w ogień w obawie, aby kryjeś oko nie zobaczyło i nie zbyszczęściło świętości natchnień.

— One nie zdradzą — szeptał, patrząc na płomienie, jak uściskiem gorącym ogarniały płótna, całowały tarem i tajemnicę włostów ludzkich kryły w zaspach popiołu. Wiedział, że zgorzelię uniesień ogień powierzył przytułi do siebie, a żaden wiatr nie wygrzebie tajemnicy i nie wyda na łup człowieczego szyderstwa.

Z utworów i marzeń zostawało trochę perzyny. W miarę, jak gasł ogień, gasły też oczy i usta, niedawno rozgorzałe.

— Dym się rozwieje — podmuch roznieśnie popiół. — O! tyle z duszy mojej — z życia mego. — Strzelać płomieniem w niebo — ha! ha!

Pieniądzy za obrazy brzydził się, dlatego na chleb zarabiał, jako robotnik dzienny. W zimie rąbał drzewo w lesie i wiązanki saszczap sprzedawał na targu. Obywał się csem bądź. Nędza, ciągnąła harówka, niebraz od świtu do nocy, zdarty siły. W ciężkich warunkach zdziwaczał, stał się odludkiem, tyjącym bez jutra. Dom, na glucho zamknięty, był symbolem jego duszy, zamkniętej w pogardliwym milczeniu. Ciągła samotność nieraz ciążyła mu, czyniła go nieszczęśliwym. Pragnął móc kogoś obok

siebie, w chwilach zgaśnięcia pragnął do kogoś przemówić. To też Burka powitał, jak drogą istotę. Przywiązał się do niego szczerem, głębokim, gorącym uczuciem. Często z psem toczył rozmowy, ułalał się przednim, powlekł i buntował. Burek wyczuwał zapach myśli, rozumiał wyraz żrenic, skinięcie rąk i barwę głosu. Kiedy Mazurkiewicz mówił, pies wpatrywał się uważnie. Z oczu była niezwykła mądrość, powaga, zastanowienie, bo on musiał skupiać myśl, rozmawiać na swój tajemniczy sposób. Przed jego bystrym wzrokiem nic nie udało się ukryć. Kiedy widział radość, bił ogonem w ziemię, skakał po izbie, z głośnym szczełaniem opierał nogi na piersiach Mazurkiewicza i biał twarz. Wtedy wargi psie marszczyły się w przyjazne uśmiechy.

Nieraz młódz Mazurkiewicza chodził po pokoju milcząco i zatroskany. Pies osowiady, z opuszczonym ogonem, krok w krok wależał się za nim, niby ponury, wszechczujący cień. Potem ukladał się w najciemniejszym kącie, ale tak, że mógł śledzić oblicze człowieka. Z kryjówki wychodził dopiero wtedy, kiedy spostrzegł, że zmarszczki zginęły, opar trosk się rozwił. Przypadał do Mazurkiewicza z oznakami szczerego wesela, przymilał się, lasił, głowę wsuwał pod dłoń, prosząc o pieszczotę. Szalejąc ze szczęścia, biegał w podskokach, całował ręce.

Burek wszystko widział, wyczuwał i rozumiał wszystkie stany, usposobienia, razem z przyjacielem cierpiał, smucił się, bolał, razem weselił.

Motnaby sądzić, że on w spojrzeniach przykładaserca swe do serca człowieka, łowi każde uderzenie uczuć, a one zmieniają się w bolesną łzę lub w uśmiech radosny.

Cały dzień Mazurkiewicz walczył się po łzie. Nie był zdolny do żadnej pracy. Ręka odpadła od palety. Już mrok zapadł, a on wciąż siedział wpatrzony w bezdnie nocy, zaludnionej majakami jego myśli i wspomnień. Smuga księżycy zajrzała do pokoju i wewnątrz wysrebrzyła, jakby uchylily się podwoje niebieskie i anielskie spojrzenia nawiedziły pustkę i opuszczenie. Blask padł na twarz, oświetlił rysy, na wargach rozniecił uśmiech, podobny do jaśnienia podwiaty, utopionej we łnie. Mazurkiewicz uśmiech = wyżyna zesłany i słowo przyjazne wyszeptał do Burka, otoczył go ramieniem i zwierzał się, jak przed przyjacielem z całego życia. Otwierał książki zakrzepłe we łzach i gorzocy, szeptał cicho do psa:

— Tobie psie mówię, ty duszy ludzkiej nie masz, więc możesz być przyjacielem. Drahu wierny, słowem nie skrzywdzisz i nie zdradzisz. Oddajesz siebie całego, miłość duszy, a nie wzamian nie żądasz, choć nie wiesz, że za ogrom wstruć dostaniesz kopnięcie — jako zapłatę i wywdziękę. Przed to bie nie otwieram, ty mię nie zranisz, nie jestes człowie- kiem, więc wstruć moich nie wydrwisz... dobry przyjacielu.

I jakby zachęcony szczerością, wzrokiem, niesplamionego brudem myśli ludzkich, Mazurkiewicz opowiadał Burkowi o błądzeniu po manowcach, o niezmordowanym pościgu za nieczyszczalnym majakiem życia, o przeslicznych kwiatach snów młodzieńczych, które ludzka złość zdeptała i oplwała. W szarej godzinie wyszeptał opowieść, wypłakał smutne dzieje złamanych porывów, rozwianych tęsknot. Wypowiadał się z krzyku zemsty, z przekleństw, z grzechów daremnych pragnień. Mówił szczerze, otwarcie, wiedząc, że tajemniczy myśli ludzka nie sięgnie i świętokradzko nie dotknie. Burek słuchał z drżeniem wewnętrznym. Patrzył w człowieka z takim przejęciem, jakby serce w spojrzenie padało, chcąc wyłkać słowo nieznanne, odejmujące przekłętą brzemię z duszy przyjaciela. Unosił głowę, zlizywał słowa, które się we lty przemieniały i ściekały bródzami głębokich zmarszczek. Mazurkiewicz ogarniał psa spazmatycznym uściskiem i mówił głosem, który raz wraz łamał się:

— Szedłem w świat z fantazją, czapka na bakier, wichrami i piorunami w duszy. Gromami zapaliłem rozszalałem, gromami bawiłem, idąc — przyszość... Hi! hi! ślepkami młodzieniaszkowych rojeń wypatrywałem gwiazdy. Myśląc, że odkryję nowe światy, chwyciłem zorze i niemi zaszcierałem błoto. Długa bujała w niebiosach. Drisiał? — psiakrew — wywłóczona, szargana, chyba na to, aby spełniło się niecne przeznaczenie życia. Niejeden bowiem chce czystymi palcami zdobywać czarny, czerstwy chleb, ale los zadzwi sobie, przy pierwszym kroku obłuśnie podłością i do cna ochłapie rozgorzałe serce. Et, bracie, z początku pragnąłem błotko zmyć leżką lichutką, ale wpadła w bagno, nawet śladu po niej nie zostało. Szarpa-

żna, obrzydzenie, wyrzuty, rozpacz, łamanie rąk, wszystko niepotrzebne. Chcąc żyć, trzeba stracić wszelki szacunek do życia, jego przejawów i w każdym słowie mieć ślinę. Przejmował się? chcieć naprawiać? Śniłem o tem i sdychałem na ulicy. Wykolejeniec, włóczęga, bom nie chciał wprząc się do wózka, bom nie chciał znosić wszechwładnego prawa bicia, stworzonego dla grzbietów niewolnych.

Mazurkiewicz przestał mówić. Głowa opadła na piersi. Zniknęła z przedoczu izba. Widział przeszłość. Z najciemniejszych zaułków wychodziły wspomnienia, włóczęgi przemykały się ukradkiem, aby nagle stanąć w świetle latarni, okazać okrutne oblicze i zadać bolesny cios. Żuł słowa, zgryzał je z krwią, aby pluć w jawiące się obrazy.

— Chciałem żyć po swojemu... hi! hi! otakończony głupiec. Życie zbiło, skopało i dzisiaj serce w ranach. Na świat patrzę ranami krzywd. Na progu mego grobu wspomnienie zacięta przekleństwem, które rzucam na przeszłość... A tak gorąco pragnąłem, aby życie moje obarczył krzyk męczeński... Ot, drwiny losu. Dzisiaj wiedziałbym, jak żyć. Zapóźnie poznałem prawa, zdobyte w trudzie długich lat, wśród drwin przeznaczenia, wśród policzkowań. Chcąc w spokoju żyć, trzeba zepchnąć samieństwo w najciemniejsze lochy i zamurować zasadami ranich, ale błyskotliwych wydań. Od czasu do czasu zapalić ogarek ofiary — he! — he! — bo świecący ogarek każdy zobaczy i z cacią się pokłoni. Tak, psie, ohydę chowaj w kosciołku wielkich, próżnych słów i hasel, idee prawdziwe deptaj, jak padalce. Z nich gnojowisko czyść, jako nawóz dla duszy. Cootką poniewieraj, jak ładacznicą zapłaconym uśmiechem. Ołtarzyki marzycielskie zbura, zanim ci je brat, bliźni, przyjaciel —

człowiek splugawi. Palce w błocie umaczaj, jak w krolewnicy ze święconą wodą i wobec wszystkich zegnaj się z namaszczeniem. Będiesz wtedy kroczył próżnością nadęty w dosycie i po kwiatkach czci, dostojestw i holdu. Nie bierz pozorów za rzecz istotną, słów słudnych za prawdę. Widzisz, nieraz mi napuszenie mówiono: honor, uczciwość ponad wszystko, dodawano przytem: portki podarte, to nieomylny znak czystości duszy. Ot, fidrygaiki, ulepione dla naiwności ludzkiej. Dusza, wyszarganaw rynsztokach, ale spodniki efi-eł, do kancika wyprasowane, to pewny szylczyk człowieka. Nie wierzysz? Słów na wiatr nie rzucam. Tobie mówię, abys uniknął zawodów Gryf — szarp — kły pokazuj — wtedy nikt cię nie kopnie. Mocny — powiedzą — umie żyć. Słabość, rzewność, uczucie — eh, puste słowa, lupiny tęciowe, krople deszczu, padające na kamienie. Żebyś z głodu ginął pod progiem człowieczego miłosierdzia, to ci drzwi nie otworzą, ale zekną, skopią, ze schodów zepchną. Kiedy zdechniesz i na drugi dzień trupa zobaczą, to nad tobą zapłaczą najtańszą, najlichszą ludzką litością. Trzeba kopać, aby ciebie nie kopnięto, trzeba pięścią prać, aby z oszanowaniem ci się pokłoniono. Tlum korzy się tylko przed gwałtem, zbrodnią i nienawiścią. Rozumiesz? psie narwny, nieskatony zyciem człowieka. Cześć trzeba batem wsiekać. Pluć w twarz, a tłum dymy holdu ci zapali. Tłuszcza — psiakrew! — Dla tej holoty chciałem walczyć, z bólu swego błyskawice rozpalać i z pod stóp człowieka pył zmiatać, wiedząc w krainy cuda. Pragnąłem niebu walkę wydać, burzą miłości wstrząsać — he! — he! — górnio marzyłem — brałem szczytne loty... Nie liczyłem się z rzeczywistością, goniłem za kwiatem paproci moich rojen po

bajorach, to też dzisiaj wita mię żmija, wyhodowana
w tarze krwi mej, to też dzisiaj płaczę nad duszą
obtluczoną, jak kamień przydrożny

Głos chrapliwy zaszrytał, zachwiał się, padł na
dno piersi, niby łoskot grudy rzuconej na trumnę
serca.

Księżyc, błądzący po niwach nieba, wciąż prze-
chytał się przez krawędź okna, zabierał do izby sa-
motnej i do duszy smutnej. W tem mgnieniu zmienił
ciemne kąty w tajemniczą grozę, omśnioną pyłem
srebrnym. Zagubiony promień zakolysał się na pa-
jęczyźnie. W czarodziejskim blasku ta sieć otęła, za-
lśniła. Oczy spoczęły na jasnej plamie. Wtem wypelził
pająk, dygotał w śrenicach sieci, przącił nowe nici.
Mazurkiewicz doznał wrabienia, że pająk sunie ku
jego duszy, snuje więzy, aby opleść ją w złudy, aby
wpić macki i wysssać krew. Zerwał się, nie chcąc pa-
trzeć. Stanął przy oknie. Skrawek rażka, teraz,
w świetle, jakby się rozmarzył. Po wysokościach błę-
dziły obłoki, niby śmiertelnie pobladłe sny nocy.
Spojrzenie Mazurkiewicza uleciało ku samotnym, po-
stał im podrowienie swego serca. Niebo i serce
spłonęło światłością uśmiechu.

Z głębin mroku wypelzał czarny majak i zasłaniał
księżyc. Zginął srebrny świat. W duszy zagał chwi-
lowy, czarujący a złudny odbłask cisy.

— Ot, tak zawsze — za gardło ścisnąć — aż
w oczach pociemnieje. Sny piękne, naiwne, zrodzone
w podwiciu rojeń minęły. Została nicość, noc —
skurec gorzki wykrzywił wargi.

Mazurkiewicz z trudem dźwignął się, przemierzał
izbę zwolna z kąta w kąt. Siadł na stołku i oparł
głowę na splecionych dłoniach. Busek przywlokł się
do nóg i z niepokojem patrzył. Wstrząsany burzą

przeczuć i niepokoju skuczał żalostnie. Człowiek zbudzony z zadumy spotykał wierne oczy weń wlepione. Odruchowo poglądził psa.

— Cicho — cicho — ty czujesz tak, jak ja — cicho — widzisz, tak być musi — dzisiaj dzień porachunku, spowiedzi. Rozdrapuję strupy, aby patrzeć w oropiałe rany. Zdechło, co miało zdechnąć. POCO trupy wywlekać z grobu, wskrzeszać własnem tyciem i znów włożyć się przy kaplicach przetyć? POCO? Zmarnowałem dary boże... dusza stoczona robactwem. Dlaczego dzisiaj wszystko przedoczy leżę?... Dawne czasy... dawno przemienione — a one wciąż dolegają.. Wspomnienia, to zaiste sławowiem chusta św. Weroniki, rzuconą w rozdarte serce. Wrosną głęboko ~~w~~ w rany i raną się szają. Dzisiaj w nie patrzę i katde spojrzenie krwią ocieka... Sił niema by je zdusić... a trzeba zmiąć je w sobie, pogryźć, wycharkotać, aby nie gnily pod sercem i nie zaratały b'lem.

— Cicho — nie płacz psino... ty jeden odczuwasz — przyjaciela... tulaczu bezdomny. — Marurkiewicz coraz mocniejszym uściskiem garniał Barka. Miłknął, by za chwilę zakląć, parsknąć śmiechem lub szlochać nieutulenie, beznadziejnie. Nie wiedział, do kogo mówi, przed kim się utala, czy przed własnem sumieniem, przed własną duszą, czy przed psem. Czuł obok siebie tywą istotę. Nie mógł zrozumieć, czy to wspomnienia, czy płacz życia, czy serdeczny, oddany przyjaciel słucha, rozumie i lka.

Burek z miłością przytulał się do Marurkiewicza. W pierśiach zwierzęcia wili się płacz słyszanych słów, nabiegał do frenic łzami, bólem przyjaciela i wołał głosem uczuć szczerych, niesprzedających:

— Niestety... ponad wszystko...

W tej chwili spotykały się oczy dwóch włóczęgów. Przejrzeli swe dusze samotne. Coś łączyło serce calowicza z sercem psa.

Na wargi Mazurkiewicza wybiegał purpurowy wyraz przywiązania, rozlewał się w uśmiech-przysięge Przyjaciela dogłębnej.

— Tyś mój — jedyny — bracie... bracie...

W zimnym podwórku, obwieszonym murami, tkwiła nad kratą kanału kilka małych, zbie-
dzonych drzewek. Z rozpęknięć bruku, z jego ran
zabloconych, ognilych, wyrastały bez powietrza, bez
światła, zatrutowane wysiewami. Mazurkiewicz miał je
zawieszane przed oczyma. W zimie rozmiatane w kurza-
wie mającymi ich konary, niby ręce nieszczęśliwych,
chwiejące się we wszystkie strony, wśród wolań
i wdychań. W czasie odwilży, kiedyśiekl deszcz, stały
udręczone, trzęsące się, niby sędzia miejsca w prze-
mokłych, obdartych lachmanach. Kiedy wiatr niemi
targał, rzucały się do okna, wyciągały wyschłe, na-
głe ramiona i schorzałym chrzęstem gałęzi prosiły
o pomoc i zmiłowanie. Teraz kiedy śniegi topniały,
drzewka nastawiały palce pod promienie i w powie-
wach ciepła odżyły i łżej oddychały. Czasem spływał
obłok światła, zasiał kwiatami i na kropłach wilgoci
rozniecił tęczowe blaski. Wszystkie gałęzie wystrze-
liły, niby wołanie błagalne ku niebu. Śniegi już zgi-
nęły. Naskrawku zapomnianej zieleni rozkwitł samotny
kwiat, jakby uderzyło serce w głębiach zakopane-
a z osierdzia wybiegło westchnienie tęskne, puls
wzruszeń sponiewieranej gleby, podobny do uśmie-
chu, konającego wśród słońca i błota. Drzewek w rzad-

kich jeno chwilach pogody, nawiedzone jasnością, odmładzały się, zresztą prawie zawsze stały szerniałe i samarle. Ulicznicy obtłukali pnie kamieniami. Po korze, pełnej ran, miąga ściekająca zmieniała się we lzy i te nędzarze schnąc, umierając, płakały łami swego zycia w kałuty cuchnącego podwórza. Powoli z poleceń wysączała się zieleń zmięta, schorzała.

Mazurkiewicz patrzył nate drzewka, jak na symbol krzywdy zycia. Kiedy się szamotały z wichrem, były o mur gałęziami, wtedy odczuwał ból, jakby on rękami bił, kiedy boleśnie skrzypiały, wtedy zdawało mu się, że te konary na piersiach jego kają i wtedy wraz z niemi cierpiał.

— To moje zycie w was, wjeździe... towarzysze.

Nie mógł dłużej patrzeć, nie-mógł dłużej słuchać liści konających, zatrutych wyziewami. Musiał wyrwać się z tego ciasnego zaułka, zachłapanego błotem miasta i błotem uczuć ludzkich. Brał trochę sprzętu malarskiego w plecak, zaszywał rudere na klucz i ruszał z Burkiem w drogę. Przez kilka tygodni wędrował po okolicach niernanych. Czynił to z tęsknoty za przestrzenią, za niebem, za zielenią pól, za barwnością łąk, za porywem wichru, zagrozą gromów. Nęciło go koczownicze zycie, ptine wrzeń, wcięt światych, swoboda bez troski, co będzie jadł, gdzie będzie spał.

Burek szalał z radości. Uszczęśliwiony wolnością pędził miedzrami, targał się w piachu zieleni, scięgał wypłoszone rajęce, z furgotem rrywające się ptaki. Przepadał w gęstwinie łąk. Co pewien czas slychać było donośny głos, szeptał dając znak, że niedaleko przebywa. Towarzysz musiał odkrzyknąć, wtedy pies ziający, z wywieszonym ogonem wracał w podskokach i wspinał się na pierś Mazurkiewicza. W oczach

miał zapal i jasność widoków. Ich czarem patrzył, ich radością mówił: i ty przyjacielu wesel się, szalej, bo życie jest piękne.

Kiedy indziej szedł Burek noga przy nodze, onieśmielony, milczący, wzruszony, jakby wyczuwał cuda przyrody i nie chciał zmącić powagich wili. Często znów nastrój jego zmieniał się zupełnie. Chaty, schowane w sadach, przypominały mu życie dawne. Wróciłby do zagrody Kowalka, aby choć raz zobaczyć twarze drogie. W tajemnicy przed samym sobą pędził naprzód. Gdzieś na rozstajach stawał i zaplątały wzwątpieniach zawył.

Wrócał pokorny, cichy

Mazurkiewicz głaskał go czule.

— Goń, goń — psino — utywaj wolności. Tutaj nikt kamieniem cię nie urazi, nikt łądem złego spojrzenia nie ukąszi — goń — bierz wesele.

Mazurkiewicz zwiędzał rozmaite okolice. Siadał nad brzegiem rzek, brodził w wodzie, jak dzieciak rozbawiony, wydobywał słoty piach i budował mosty, twierdze, które lada fala zrywała. Wychodził na równie piaszczyste i biedne, jak dusza tego ludu, jedno-stajne, szare, jak dola wyrobnika. Słuchał szmeru sosen samotnych, wysmaganych wichrami. Kiedy indziej wychodził w dolinę bogatą, miodem i mlekkiem płynącą. Szedł sobie wesoło polem, lasem, a wiatr hasał obok, pogwizdywał ucieszenie, skocznie. Błądził wśród zbót, a żyta, pszenice i kwiaty, kłaniały mu się falami kłosów, szumów, barw, które wiosna wysypała z szapaski błękitów, strojąc zagony haftami kąkoli, bławatów i maków. Spał, gdzie go noc zastała, w brzośzlach, nad potokami, na kopcach siana.

W czasie tej wędrówki odradzał się, zrywały się w nim wszystkie moce i wzbijały na wytyny natchnień.

Czuł przeogromną żądzę czynu, żądzę pracy. Badał zmiany kolorów, wszystkie przeistoczenia, od przepychu potaranych lun po łagodne wizje wieczornych cieni. Z pół łąk, niebios zgarniał kolory, ich waruszenia, myślał, marzył ich przetyciem, ich nastrojem. Kiedy patrzył na wschód, uśmiechał się obłokami, kiedy patrzył na zachód, wszystko widział w szkarłatach. Malował orgje barw, pożary, wichry, burze własnych tęsknot, pragnień i szaleństw. Każda plama, rzucona na płótno, miała krew ludzkich uniesień.

Na swobodzie, zdala od ludzi, dusza rozwijała skrzydła do dalekich lotów. Odrodzoną pierśią wchłaniał wszystko widziane piękno. Z przed oczu zginęły wszystkie sprawy świata. Obraz drzewa ulicznego, wspomnienie życia miejskiego rozpyliło się w szmach, w woniach. Myśli cierniami spowite, skrważone, zhańbione ocierały chusty wiewdów, zdroje ros obmywały ich oblicza. Niebo, ziemia, przejawy przyrody koity, ciszyły. W piersiach zakolysały się dziwy, widziane jak w toni jeziora, odbijającego lazury i zory. Przepłynęły wszystkie zamery, wszystkie rozkwity, cały urok. Wzruszenia rozkwitały, jakonarcyzy i róże. Dusza jego stała się skarbnicą, owitą w wieńce uniesień i zachwyceń. A wszystkie wrażenia, upojenia, wszystkie westchnienia, uśmiechy, zapachy unosiły się nad najcudowniejszym, wyśnionym, najwonniejszym kwiatem — nad samotnem sercem. Patrzył w objawy przyrody, w błękity nieba, w cuda świtów, a wszędzie widział rojenia młodociane, loty podobłazne, sny miłosne, wspomnienia tęsknot pociałusków i wierszeń. Zbierał je, niby najszlachetniejsze klejnoty. Wśród oczarowań i zachwyceń sjeđnoczył się z mową lasów, pól i łąk, z ciszą poranków, z pieśnią wicherów, piorunów i burz. Dusza była jako łąk pszeniczny

o wschodzie rozszumiały, była jako łąka woniejąca, stała się cząstką wszechświata, grądą rodnej ziemi, obłokiem nieba, stała się jednym z akordów w boskim hymnie, stworzonym w chwili upojenia.

Obok Marurkiewicza szedł Burek, patrzył wesoło, jasno. Może człowiek i pies zamknęli w piersiach jednakić wrazenia. może jednakie myśli i marzenia były w sercu obu, spojonych ~~sercem~~ ~~wspólnych~~ ~~prze-~~żyć na tej wędrówce.

Czas było wracać. Po kilkotygodniowej tułaczce zdążyli kudomowi. Mazurkiewicz unikał ludnych gościńców. Chcąc jak najdłużej rozkoszować się ci-
szą i swobodą, zbierał na ścieżki polne, ginął w zbo-
żach i lasach. Słekoć Burek przybiegał, serdecznie
doń przemawiał:

— Zadowolony panicz z letniska? — co? — wy-
poczał do syta?... Teraz do chałupy, do barłoga
miejskiego. Żal będzie opuszczać... Nabierz radości
do serca — napelnij po brzegi, aby na długo star-
czyło.

Pies rozumiał, kręcił ogonem, przytulał się do
kolan, patrzył z wdzięcznością, pragnąc wyrzec sło-
wo podziękowania.

Brnęli w piachu sypkim. Droga biegła wśród
nikłych, przypalonych ziół, zagosów ubarwionych ką-
kolem, wyczką i bławatem. Kiedy fale zakolewały się,
w oddali widać było zarysy chat, pokrytych strzechą.

W pobliżu pierwszych domów pies okazał nie-
pokój. Noskiem muskał zapach znajomy, rozlewający
błogość po pierśiach, miał wrażenie, że buchnął po-
wiew z komory pełnej smakowitości i zaraz ginął za

zatraśniętymi drzewami. Przypadł, węszył, ale już śladu nie znalazł. Nie mógł sobie zdać sprawy, co to znaczy. Patrzył wokoło. Pola, sady, ogródki przed chatami, bielone ściany przemawiały przyjacielską mową.

— Tu tak, jak u Tocyka — chłopoki sie w piachu bawią, za pazuchą mają jabłka, pewnie u Pantery narwały. Cyjes to chłopoki?... No, cyjesby były, jak nie od Laskoskiego — huncwoty, nie chłopoki, loić skórę, toby moze co z tego wyrosło. O! lipa, jak u Marceli — takosienka łącka... płot, chalupka, ino sie kapkę zestarzała — wszystko do ziemi leci... Cy mi sie śni — o, ugór — tuśwa dość nagonili sie — hawok weselisko psie bywało, ino nom nie przygrywali na skrzypicach, ale pobity płacem se basowół, kiedy drugi sie radowół. O, i gruska za bramą. Pod nią ligol Krucek. Dość natarnosil portekłłodziejskich. Rzetelnie pilnowół.

Zobaczył gromadę wróbli, z kalenicy patrzących na serek zawieszony w siatce zapelnic tak samo, jak w ów czas nieszczęsny, kiedy swoja wieś na zawsze tegnal. Ze szaczkaniem porwał się.

— Huncwoty zberefne — pochnie wom gospodorskie? Na śmietniki, a nie tutaj kraść, bo wom ogony wytardzę.

Uciekające stado, sierzając się, ćwierkało ostro, metalicznie.

— A zebys zefwierkl, a zebys zefwierkl!

Burek wrócił do nóg, mrucząc:

— Letko se chcą żyć z cudzego — brzuchy nitęchlusa.

Siedział tu przy nodze Mazurkiewicza. Lata wsiowskie mu się przypomniały. W piersiach zakurzyły się

wspomnienia, nikiej klęby woni. Uśmiechał się do dalekich obrazów, niosących mu miskę pełną uciechy—

— Wsyćko, jak u nos bywało. Wsiowskaradość mi sie przypomina. Cóż sie tam dzieje, jakże sie wiedzie? Kogo mają w budzie? Cy aby choć rzetelnego pacholka, do pilnowania, a nie do samego zarcio? Dzisiajlatwiejsrokę za ogon chwycić, anizeli spotkać dobrego. Co mu gazdostwo? co mu dobro cłowiece? Za postny ziemniak mu nie stoł. Kijem trzeba naganiać do roboty. Ale do zarcio beskurcyje leci jaze nóg nie połomie. We łbie mu miska i soki. Nima tam rzetelności, statku i pomiarowania. Nie tak dawniej, za mojej pamięci bywało — oj, nie tak... E, lepiej nie wspominać i nie obrazać tego, co dusę psa stworzył na radość, pociechę i na podobieństwo swego najgłośniejszego czekania. Tar dze sie jego wola. Wsyćko sie w złem paprze, nikiej świnią w gnoju. Ze tez pies nad psami nie chwyci w pasocę i hunciotom sie nadrze kudłów i do dobrego nie nawróci. Żle sie dzieje. Ludzie słudnie powiadają: na świecie wsyćko idzie na psy. Jakae tam u Kowalików? Miolem swoje gazdostwo. Przesło, jak to czekanie. Juz nigda nie wrócę. Poblądziłem i nie wrócę do swoich. Zreślą, co po mnie, kijemby wygnali. Będę juz na wiecnosc dziod, miastowy drapoc... Iść do budy? E, łascuch mi juz nie smakuje...

Radość minęła, w piersiach została pustka, płaczem wspomnień napelniona. Na widok pół chat, śtał katdem spojrzeniem. Na bruku pierai letalo biedne serce, po którym łabe obrazy przechodziły i depły boleśnie. Skuczai cicho za tem, co już nigdy nie wróci.

— Minęło, po wszystkie czasy.

Naraz zgrzytnął ze słomości:

— Dżasi kocie zwodzą Rzucą pod nos kawolek skwarka, dusza leci, nikiej kot za spyrką... żeby ją okłepiec chył. Nie uciecha, ino zół. Wspominki, to pusto miska. to pokusenie, żeby dusza plakała. Żebyś plakoł, to i tak z tego nic.

Skulił uszy, spuścił ogon i osowiały włócił się. Nie chciał patrzeć na okolicę. Otrząsał się, aby wytrząpać z kuddów duszy turbacje. Niewiele pomagało, choć przemawiał do rozumu:

— Wsędzy na świecie jednako. Tam dobrze, kaj miska dobro — słufnie pado człowiek. I człowiek casami mądry. Niechże i pies chwyci kość z jego mądrością.

Odwracał się, zamykał oczy.

Zewsząd nadlatywał zapach miłych obrazów. Każdy mu opowiadał o czemś dawnem, zatraconem w śmietnikach życia.

Przez ciemne chmury zgnębienia przeloty smug jasnych, zamęt wzruszeń. Serce zaczęło bić naalarm, aż zerwało łańcuch zwątpień. Burek z krzykiem runął naprzód. Sadał ogromnemi skokami w obłokach pyłu, jakby radość w obłoki się znośniała i przy kryła go.

Mazurkiewicz zdziwiony biegł, wrzeszcząc z całych sił. Nic nie pomagało. Pies nie zwracał uwagi na wołanie.

— Zwarzował chyba! — co się z nim stało... Może kogoś pogryść i gotowe nieszczęście — z wdziękłością myślał Mazurkiewicz, spiesząc podążając aż uciekającym.

Droga się rozdawała, jedna szła ku wsi, druga zaś w pole. Właśnie z pastwiska wracało stado by-

dlą. Na końcu szli pastuchy, gwizdając, traskając z batów.

— Chłopcy, nie wiedzieliście psa, tędy pędzącego?

— Ba, jeno! — widzieliśwa — dopieruteniecko gnoł — o, do bańtej chałopy — o widziacie... co sie cyrni stodoła... — wskazywał biczykiem.

Mazurkiewicz tam skierował kroki, brnąc po kostki w żółtym piachu.

Wtedy pies rwał co sił w nogach, a taki był uradowany, jakby odnalazł zapach, wiodący do najsmaczniejszej zdobyczy. Przesadził plot, cisnął się przez rów, zginął w zbotu, znów chlusał na łąkę i wpadł w rozwarte wrota. Z nosem u ziemi przebiegł dalej dziniec Węszyl, skucząc cicho.

Właśnie Kowalikowa rozsiewają ziarno kurom.

Burek, niby oszalała radość, śmiech, skomlenie rzucił się na gospodynię. Przerazona i oszupiała, o mało nie upadła. W pierwszej chwili z forgetting spodnie frunęła. Wnet się opamiętała. Oczy jej zakawily się, zabrzniały słowa wzruszone.

— Burek — Jezusie Nazareński — Burek!

Pies z piskiem lizal ręce, skakał do ust, całował, padal u nóg, wył, płakał i śmiał się.

— Poznaliście... poznali... dobre ludzic... Jowas parobek.

Spłoszone kury rozleciały się na wszystkie strony, gdaćcąc przeraźliwe. Kogut wrzeszczał na kalendarcy, jakby z pierza obskubywany.

— Baby, nie bójta sie nic — nie bójta sie nic, bo i ja ledwie zipię ze strachu.

Na wszczęty balas wybiegli domownicy.

Burek oderwał się od gospodyni, wpadł na Kowalika, potem na Macjusia. Biegał od jednego do

drugiego, wieszal się na piersiach, wypowiadał szaleństwo tęsknoty, szczęście powitań, jakie może czuć tylko pies. Dławiła go radość. Bez tchu stawał i jeno patrzył w twarze drogich osób.

Wszyscy go obejmowali, ściskali, głaskali, obrzucali pytaniami

— Skądś się wziął biedoku? Gdzieżeś bywał? Wodali cie. Bóg wie, gdzie. Widać po tobie, że było ci dobrze po świecie, aleś wrócił do swoich. Cy to Burek, cy ino przywidzenie? Nie do wiary, żeby wrócił.

— Koszde stworzenie ciągnie na swoje śmiecie.

— Hale — hale — Bóg kieruje krokami.

— O, jak płacę z uciechy, o jak się raduje.

— Mo serce.

— No jużci — przecie pies.

— Matka! — dużo mu ta przydzie z twojego pytlowania. Doj mu jeść. Pies ledwo na nogach się trzyma — zakrzyknął Kowalik.

— Zapomniałam — takiemu nie dać? Z pod sercaby człowiek wyjął. Zaruteńko przyniesę.

W te mgi się zakrzytała. Nawaliła miebę, pełną kapusty, pod spód rypnęła skwarków, aby chłopskie ślepia nie zobaczyły. Maciuś wyniósł kawał chleba ze słoniną. Wszyscy podktykali pod paszerekę, każdy kęs smarowali omasą, serdeczności.

— Jedz siroto, podjedz se... boś może takiego jodla downo nie jod... Cudeńka się dzieją... Nie sa bocyl o swoich... ale wrócił, jedz — cujne psisko.

Pies ledwo lizał cośnięcość. Merdał jeno z ukontentowania ogonem. Zawijał zapach jedzenia i zapach radości.

— Dobrze ludziska... choćta jutro spierą kijem,

ale tak musi być. Wszyckiego po trochu, żeby się nie uprzykrzyło i nie przejadło.

Wnet odpadło mu jedzenie od brody, jakby było cierniami zaprawione. Wyrwał się z koliska powitań, okrzyków, pieszczot i buchnął w pole.

Zginął w kurzawie.

Spotkał Mazurkiewicza spoconego, gramolącego się przez przelaz. Sadrząc ogromnemi skokami Burek już zdaleka wołał:

— Pójdźcie hawok — pójdźcie hawok — obocycie moją utricę. — Setnie se moje serce podjadło. — Pójdźcie, uradować ocy mojem gasdostwem.

Zgniewany całowiek przyjął go łajaniem.

— Gdzietę był? Tym kijem spralbym cię, to by ci się odechciało brewerji. Warjactwa mu w głowie.

Pies nie zwalał na trzędzenie, Paszczką i oczami chciał wyszczekać wtucie, jakie przetywa. Śmiał się całą duszą. Chwytał Mazurkiewicza za poly surduta, za rękę, za nogawicę. Ciągnął w stronę domostwa, patrząc prosząco, skuczając, drepcząc ścierpliwie.

— Przed chwilą licho cię wodziło po djablich njechwiejach, a teraz zamjast załować, toj wesoly, jakbyś co najmniej dwie kiebasy ukradł — tartował udobrobruchany Mazurkiewicz. — Cót ty mnie tak ciągniesz? gdzie mię chcesz zaprowadzić?

Kiedy całowiek zrozumiał, o co idzie, Burek wybiegał naprzód i zaraz wracał uszczęśliwiony. Pragnął cały świat przyciskać do serca, całem sercem śmiejąc się do ścian chaty, wychylającej się z gęstwiny sadu, niby radość biała.

Ścieżką pomiędzy słożami sawiódl na dziedzi-
niec. Stanął mocno, zaważajtko i zadzierzysie przed
osulpią rodzią Kowalików, przenosil wzrok z ich
twary na Mazurkiewicza. Wskazywał dziedzinę, strze-
żoną z dziada pradziada i szcetekną krzepkim, dum-
nym, na całą wieś, głosem:

— Jo to gazda!

Mazurkiewicz po raz dziesiąty opowiadał, w jaki sposób znalazł Burka, jak go leczył, wychwalał jego czule serce i przywiązanie. Kobiety, stojące wokół, kiwaniem głowami, rozkładaniem rąk wyrażały podziw. Bardziej wzruszone ocierały łzy siąkały w zapaskę nos, jak wsioński zwyczaj popłakiwania kate Burek zadowolony do wszystkich szczęśliwy sęby. Wkońcu sprzykrzyły mu się babskie trajkotania. Wyleciał na wieś Zadzierał głowę. Czuł w sobie dumę, bo on nie bylejaki pies, ale jakby sołtys gromadski. Co taki Mruk macry albo Krucek albo Targaj Żaden z nich głowy nie wychylał poza budę, żaden z nich oczu nie podniósł ponad misę. Przy spotkaniu, po obwąchaniu, niejedni pytali:

— Jakże kumie? — gdzieście tego czasu porabiali?

— Bywało się w świecie — mrucał, niby od niechcenia.

Czasem warknął, kiedy zapach spotkanego nie poszedł w smak jego nosa. Nie miał jednak czasu na gniewy. Napelbiał wrzawą całą wieś. Broił co niemiara. Co chwila ktoś wpadał do Kowalików i pocieszne przygody z ludźmi i z psami opowiadał.

Wszyscy pękali ze śmiechu. Burek stroił nowe figle. Oczy mu się świeciły, jakby całą duszę miał wysmarowaną tłustością i, lejąc na barłogu radości, śmiał się do najbliższego na świecie — bo wsiowskiego — słońca. Ścigał wicher, szalał. Miał w sercu zamęt wiosny. Wspomnienie młodości krzepkiej, zdrowej, jasnej, wolnej — kipiało w nim, niby pijacka pleśń w ciasnej karczmie. Stare sukki, wylegujące się pod budą, z dumą nań spozierały.

— Ale się paradzi, ale się sadymo. Zaroz poznać, że to on z nasych. Niedorówno mu zodenpies terażniejszy. Drisiejse nosienie plone, miętkie, zgola do nicego.

Burek słyszał pochwały i paszczękę miał nasmarowaną zadowoleniem, niby chleb masłem. Wracał do Mazurkiewicza, ciągnął go w pole, chcąc mu warystkie drziwy pokazać. Patrzył rozumnie, jakby chciał wyszczerkać:

— Tutoj dopiero raj. — Nikaj nie chodźwa stąd. Poco do miasta? U Kowalika będzie nom wysękim dobrze. Choć nie roz i nie dwa słoja dudy, nie zol — od swojego Skóra boli, ale serce nót. Nie idcie do miasta — tam stropjenja w sercu sie wylegują — a serce to nie barłóg... Ostańcie...

Mazurkiewicz na odpowiedź głaskał psa.

— Już niedługo razem.

Wieczorem Burek skończył wszelkie zabawy.

Przypomniały mu się dawne lata, dawne obowiązki. Spełniał je z ochotą. Tak czuł się wrośnie tym w to podwórze, jakby nigdy wsi nie opuszczał. Zarierał w każdy kąt. Czujny łaził po gospodarstwie. Najlepszy srolest budził straż oczu, węchu i uszu. Skoro coś podejznanego zauważył, podnosił krzyk, a wszystkie psy z legowiska się zrywały, a pobu-

dzone gęsi, kaerki skrzydłami, gęganiem, kwakaniem mało kurników nie rozwalily. Kładł się przy budzie, nikię gospodarz na pościeli, wypoczęty, najedzony. Czuł się na równi z Kowalikiem. Jeden ma baczenie w dzień, drugi zaś w nocy. Duma go rozpierała na myśl, że na jego głowie ryle dobra.

— Będę wam pilnowol — mnie byle co w pole nie wywieźć — nie polecę za byle jakim sucem scekaniem, co się u ludzi nazywo: za byle jaką spodnicą. Bieda mnie rozumu nauczyła, bila mnie, jak w stary kozuch. Zębami i pazurami zagrodam drogę do komory przed słodziejem. Za darmo jednej lyzki nie zjem. Nikt mnie stąd nie wyścigo, Dość mom miasta, tam kozdy mo w oczach zęby. kozdemu rosą w oczach kamienie. Terror już się skończyła moja bieda... Dobrze ludziska sprawili, odpłacę się im rzetelnie. Bo u nos, niby u psów, tak powiadają: Cłowiek na psa kamieniem, a pies na niego sercem, a jak cłowiek sercem, to pies niemo-miary.

Wśród tych dumań we łbie wałila jedna myśl: Na ~~szkiele~~ jestem. Psie prawo tu mi warować.

Układał sobie, nikię snopki w zapolu, jak pilnować dobytku, jak dobierać się do portek słodziej-skich. Przepowiadał sobie przykazania, stworzone przez pra-psa dla strzegących dobra ludzkiego, na pociechę ich miski.

— Kiej na ciebie kij bierą, wyj głośno i umieroj, kiedys najedzony a obacys miskę, rozdieroj pysk, żeś do imentu głodny, a nikt o tobie nie zapomni. Ocami w nocy świeć. Kiedy śpis, usy cujnie nastawioj, a kły trzymoj na wierzchu, to cie bele co nie będzie budziło darmo, ale to do czego z rębami skocys. Patrz nosem, to cie nikt nie osuko. Pascekę

mos do targania i do zarcia. Kozdemu i sobie sękoj, se pies mo nojwięksy rozum i zastanowienie w nosie, a ceg^o nosem nie dowida, to dołaci grzbitem. — Mrucał se Burek, ~~domając~~ nad gospodarzkimi sprawami.

Utрудzony był silnie nadmiarem wratek, całodzienną bieganiem, to tet zmęczenie brało górę

Spokojna noc legła na posłaniu ziemi. Czasem wdmiechnął się kąszyć przez sen i zaraz naciągnął grubą pierzycę mroku na twarz.

Na obęgiciu Kowalika wszystko spoczywało, tylko Kowalikowa na strychu swoje sprawy załatwiała. Ukryła w saszku pod zbożem węzełek. Dla Kasi Czarnej ukroiła pajdę słoniny. Robiła to w tajemnicy przed mężem, bo poco on ma o tem wiedzieć. Chłopu kawał ciała urznąć, ale aby nie widział, to mu nie będzie tal. Długo gazdowała.

Było już późno.

Burek leżał zagrzebany w barłogu. Żadna siła nie wygnalaby go z budy. Sumienie uspił słowami, podsunietami przez ~~malce~~ wienie.

— Poco się włóczyć — juczci prawda, butikd w nie podrę, przyodziewy nie zmarnię — ale poco słuc się, jak Marek po piekle. Dość się przez dzień naciękałem, dość namelłem otorem, nilkiej baba. Trzeba se teraz spocąć. Zasłuzyłem. Zreftą, koby łasil te roz... Złodzieje wiedzą z kim mają rzeć — ze mnom, z Burkiem.

Niby czuwał, nadsluc łwał, oczy jednak kleiły się. Jak chłop, do barłogu przytulił głowę i usnął na dobre, coraz ciszej mamrocząc

— Nie bójta się nic — pilnuję jo — pies Kowalika. Kozdy popamięto moje zęby i drugiemu powie... Znom swoje przykozanie... chwytaj w pa

scekę złodziejskie mięso — to bedries miał radość w misce. To jest święto rzec, brzuchowi podana.

Po ocknieniu trwał w półśnie bardziej rozleniwiającym, niż popołudniowa drzemka. Nie chciało mu się podrapać, choć pchła wgrzyła się w ciało i całą paszczką pila krew. Zwinięty w kłębek mruczał przekleństwa, aby się jego krzywdą udławiała.

Nadstawił uszy. Podejrzany szelest. Coś lazi obok śpichlerza.

— To se tak wiatr chodzi i zasiero wsendy. Nie odpędzis go, portek mu nie nadzres. W zimie cie jeste spierze. Nie chce musie spać nigdy. Dzień i noc chodzi po świecie. Tłuce sie bestyjo — nimo co innego do roboty, ino budzić spracowanych — a zebys nogi polamol — sierdził się, ze wiatr śmie go niepokoić.

Kiedy mu pchła do tywego dogryśla, skoczył na równe nogi. Otrząsał się, drapał kudły, ziewał.

Nagle od śpichlerza skrzyp. Kroki ciężkie, mać ktoś obarczony ciężarem. Serce zatrzęsło się, niby dzwoła na złam. Krew do głowy uderzyła, jakby ktoś z garnka chlusnął wodę na mrdz.

— O rety, złodziej!

W oddali cichły kroki, jakby spadały liście.

Burek nosem poczuł znajomy zapach. Zobaczył zarysy człowieka. Poznał kulawego Wojtkę.

Z mojego gardostwa niesie wór zboża.

Wyrzuty obrzuciły sumienie kamieniami.

— Ładnyś gospodarz.

Zgrzytnął ze złości.

W pierniach całe piekło galewu się poruszyło. Warkot szkłębał się w gardzieli, zahurkotał słowrogo i chlusnął groźnemi błyskami oczu i kłów. Z pod body

runął pies zmieniony w furję zjezoną, oszalałą. Gdyby mu serce ze śpichlerza wynoszono, nie narobiłby takiego gwałtu. Dał w trąbę z całych sił. Jednym sussem przyspał do uciekającego, wbił haki kłów w ciało.

Wojtek walił Burka drągiem, wyrwanym do obrony. Za każdym uderzeniem mamrotał:

— Cy to djabeł z piekła — ściervo — jakby som Burek — e...e — tamtemu już śmierć powybiłała zombeki — pódzies — pódzies — oj... boli... boli!.. cheba mi ciało naruszył do kości... Może to duch Burka o północy przysedł na utropienie biednych... O, Boże, ratuj w strapieniu... Nie z twojego ci bierę... Ściervo porzywił się nie do.. o żeby cie bieda sarpala, jak ty moje portki sarpies... O, Panie Jezusie, wspomóż.. — prał drągiem i modlił się, mając duszę na ramieniu.

Pies silniej uderzony zatoczył się. — Wnet zerwał się z nową siłą wściekłości runął na złodzieja. Zapieniony uwiesił się u worka, obarczając ciężarem swego ciała.

Człowiek z błyskawiczną szybkością rzucił zdobycz. chwycił się oburącz płotu, jednym skokiem przesadził i zgiął w mrokach nocy.

Pies został z wbitemi zębami w worku. Po chwili skoczył, latał w zamkniętem ogrodzeniu. Czuł zapach kroków złodziejskich, warczał nad niemi, ujadł i kłął na czem świat stoi.

Na ten wrzask Kowalikowa zadygotała, niby chałupa, kiedy w nią wicher gzmotnie. Chciała krzyknąć, a tę przeratane szczęki rozwierzały się daremnie. Dopadła drabiny. Szerebel pęłł i gospodyni zważyła się do sieni, niby toboł samat, i krzyknęła. Wyleciał rozespany Kowalik, Maaurkiewicz, Macius

Poczęli zemdloną trzewić, oblewać wodą, brać pod pachę

— Matko, co ci... matko, słysysz... to ja jeźdem, wój chłop... Matka... o, lo Boga... nie widzis mnie... poczwryjże gembę... — Kowalik potrząsał silnie ciałem, to znów targał swoje włosy, bił głową o drzwi i błagał o ratunek Marurkiewicza.

Kowalikowa przecknęła się, spojrziała i pisknęła słabym głosem, jakby umarły dech otył pod cięższym ciężarowym przypominieniem

— Złodzieje... — Zaraz skrzepiona dodała — Burek na dworze wrzescy... ściogojta... chytojta... połom ręce, nogi a ściogoj... Psiekrwie, lećta...

Wszyscy wypadli na obejście. Nikogo nie było. Ale komora nasićci odwalona, jakby ktoś czwórka zboże wywoził. Po ziemi pszenica rozsypana.

— Z pół korca brakuje — zalamal ręce Kowalik — ażebyś ni miał skibki chleba przy skonaśtu. Tyle zmarnić dobra.

Burek wracał zziębany. Minę miał całkiem osowiałą. Gorzko rozmyślał

— Nie darują... spiera... E, coby było, żeby nie pchła... Casem tako bieda a pomoze... Przecucie miała. Nacze za to będzie pochwalony najgłośniejszym szczeknięciem pies nad psami. Wie, kiedy pchłę spuścić na grzysne ciało...

Usłyszał znajome kroki. Spuścił uszy, zadygotał pod nim nogi.

— Co ja narobilem — o, rety!... będzie to... Ojce najwyższy nad wszystkimi psami, poratuj mnie, połom kije po drodze — skryj kamienie... Cóż ja winien?... cóż? — począł jeździć bardziej kuleć — dość nadarłem mu mięsa... Kijem może spral... ale mu scyrze odplacibem.

Jeszcze raz skoczył, zawrzeszczał na całą wieś, jakby wyrwał koły z płotu i groził całemu światu złodziejskiemu.

— Dostaniesz się w moje pazury... Jo tu jestem, jo, Burek!...

Kowalik w pierwszym porywie gniewu kopnął Burka.

— Kąś bywał, czegoś złodzieja puścił. Do zarcio to mos pysk

— O, rety!... oj... oj... za co bijecie... ledwie wiekłe kości... — skomlał, podnosił łapę poprzetrącaną na świadectwo prawdy

Na widok worka rzuconego, gospodarz odrazu złagodniał.

— Dobry pies... gdzieby inny... będzie jesce z ciebie wyręka... oj, będzie... Aleś dostał... takim dragiem prać... psino... biedoka... obu nos skrzywdził... tyś mu też doł smaku, aż mu smaty z portek leciały

Zastali Kowalikową ułożoną w łóżku. Całą noc przestękała. Wszyscy się obok niej krzątali. Biegał Marurkiewicz, lamentował Maciuś, a Kowalik latał co tchu, znosił jakieś garnki, sprzęty, szukał czegoś, co obok niego leżało, biegał po izbie, po komorze. Wszelka robota z niezaradnych rąk mu wypadła. Pełno było klątw na diabłów i ancykrystów, pełno krętaniny i zamieszania.

A wszystkim niepowodzeniom towarzyszyło kwękanie, dobywające się z pod pierzyny

— Patrz, co znaczy gospodyni. Pyskiem umiesz mieć, ale pyskowanie się wrzisz do gornka, nie podjesse nim.

— Matka, mówię ci zgodnie, stal gembą, bo cę ją zamknę bez skubła.

— Już ci długo nie będę zawodziła — oj, nie —
— odjdę se spokojnie... O, lo Boga — o, Matko Bo-
ska — boli. Wszycko sie we mnie potargało — daj
leiką śmierć, niechże se dusycka leci do Ciebie...
A żebyś ręce polomol — rzuciła się boleśnie na po-
ścieli — szałkił gornek... Zebym miała drugi pod
ręką, tobyś pocol na swoim łbie... glioiok na jar-
maku kupiłam — letki, zgrabny, poręczny — a bie-
docek pod twoje łpy sie dostol i przysła na niego
godzina. Jo wsensie musę ślepią wrazić... Doj dzi-
niom, bo kwicą, jaze w bebechach boli, krowom ci-
śnił siana... tego piekniejszego... niech paniętają, jaką
miały gospodynię... Umrę... nie będzie miol nikt
o nie starania... bydłatka najdrożse... Wydój krowi-
ny... weź skopek... nie ten... ale haften... Skoć do
ciebie... to go obocys... Nie wylej mleka... E, co mu
mówić, wyleje pomana — gdzie mu do dojenia...
Zawołaj Solkę — huncfot wypije z pół udoju... Za
coś nie Panie Boże pokoroł... Na wszycko patrz —
wszycko w paszach trzymoj. Z kisek wytargaliby...
Smutno godzina na moje przysła... Nawet sie wychó-
rować ni mogę — choćbyś chciała, nie mozes —
rachlipała cicho i cały lament we łzach rozsypała.

— Marcinowo, dajcie pokój, nie przejmujcie się,
pówoli się zrobi — wnet wstaniecie — choroba mi-
nie — łagodnie przemawiał ~~Marcinkiewicz~~, nie świad-
dom wsiołych zaryczajów.

— Skoranie boskie z takim chłopem — tyle
marności przez niego... ~~Nim~~ roz usida, co znaczy
w chłapie bez baby — żebyś nie zarł bez dwa dni,
tobyś inacej śpiewol... Skrzep moie, Panie Boże —
postow na nogi — boli... oj!... oj!... Pódź tu, psie
mięso — skoć — trzasną w pysk — zrywała się.

Ledwo się dźwigała, znów opadała na poduszki, głośno stękając.

— Nie patrzcie na nic.. leżcie... a możeby doktora zawołać?

— Kiedy dochtór do swojej kieszeni. Już mnie nikt nie ratuje — już na śmierć patrzę.. Zemrę — zemrę.. Do komory po psenicę sed.. A żeby cie w piekle żywił moją krzywdą.. Jadom, pójdź no tu — ~~widals~~, umrę.. ~~zostaniesz~~ soml.. Już se ostrzyś zęby na nową.. Przyjdzie inno.. będzie sie rozpierała na mojej procy. A żeby ręce i nogi połamała, zanim przestąpi tę chałupę.. z grobu zacaruję.. wydrę ślipa.. Jadom, nie bierz drugiej baby.. Hale — hale — piez mo więcej litości, anizeli chłop.

Burek usadowiony przy łóżku prznosił wzrok z chorej na Marurkiewicza, patrzył błagalnie, prosił o ratunek dla gospodyni Marurkiewicz rozumiał spojrzenie psa, chciał spełnić jego pragnienie: radował, uspokajał Wkońcu rzucił, aby się dobrze odtywiać, posilny rosł pić.

— Cóż ci ugotować — w dyrdy pytał Kowalik.

— Tybyś mi i kamienia nie poskompil albo tego, co z pod świni.

— Z czego tu ugotować? Mięsa w całej wsi ni ma albo jakos chabarina — biadał gospodarz.

— Przecież kury są — niebacznie napomknął Marurkiewicz.

— No, juści.. dobrze pon mówią — uwarzy sie rosolu.. spaćne są — Kowalik już biegł do sieni.

Kowalikowa zrazu nic nie rzekła, jakby miała na uszach pierzynę. Doznała wratania, że ktoś do biera się do komory, a ona ani ręką ani nogą ruszyć nie może. W cichości se ino pomyślała nabożnie, konającym głosem:

— Zeby ci ten paskudny jezor pokręciło. Ma-dryjolek... kury mu smakują... Cóż mu tam! Cy to z jego!

Zakrzyczana dała się wkońcu namówić. Kowa-lik, Macius, Mazurkiewicz poczęli zaganiać kury wśród pomstowań, wśród poszczekiwań Burka. Jeden nawo-ływał, drugi radził, trzeci ziarno ciskał, a wszyscy zamieszanie sprawiali. Wśród rozgdakanego stada, rozmiatanych skrzydeł, w chmurach pierza wydartego, migały spocone twarze, rozmachane ręce.

Z izby dochodził słaby głos, jakby gospodyni z podolka serca rozsypywała garście pszenicznych słów:

— Kury — moje kurecki — złoto malowane. Już nie bede na was długo patrzała — przyjdziecie do mnie — ha! na gospodarstwo Pana Jezusa — bede na was czekała z ziarnem... Nie zapomnę o was biedoki... Lo mnie łapią — tyle skody... Cóż mi po jedzeniu — wnetki bede na lepszym jodle — rety, boli... okrutnie boli... wszycko połomane... Zabić kurę... jaśćć trzeba... cem sie pokrzepię... Nagoń do sieni... ziarno syp po ociupiacie... nie łap mi cornej z cub-kiem... Ino tę krasłatą... co to w jesieni mało nie zdechła — mniejsz zol... Mówię ci po dobroci, nie łap cornej, bo twój łeb w garnek wraz.

Spoceni, zziązani i uradowani niesli w triumfie kurę, ~~malując twarzami skrzydłami~~ — twarz Kowalika.

— A no, nie mówiłam — zerwała się gospo-dyń — corso!... nie mogłiście posłepnąć, zacem obo-cyliście ją... Nojpiekniejszo... o, będzie miała jutro jojko... taką na gotowanie marnować?... niesłychane rzeczy... ino i to z nikogo mi moim wyręcznie... o, z nikogo...

Ino wsedzie sama — koczy patrzy na moje rece,

Zwlekała się niemal na czworokolach z lótką...

— Już ja sama wybierzę... pockejta — rozdarła się na całą chałupę

Siadła na progu i słabym głosem zaczęła przywabiać:

— Ciu... cju... cju... cju...

Najbliższa kura rozwiodła skrzydła i potulnie okryła niemi ziemię

— O, jakie to łaskawe... sama siado... nie boi się gospodyni... wie, że nigdy nie ukrzywdzę. Takie to było małućkie... ulegołecki... dawałamjodka... jagły z ręki to jadło — rozczulala się, patrząc na wspomnienie kurcsąt. Nagle, jakby ją kto nożem zgnął pod tebra. — Kurę zabijać?... swojego chowa?... Nie przełknęłabym jodła — w gembieby rosło — przecie — przecie to, jak dziecko. Idź, chudzino — idź — nie ci nie zrobię...

Kura wypuszczona z radosnym krzykiem wyleciała. Na płocie zagadała z całych sił:

— Dobro gospodyni.

Burek rzucił się za nią ze szczekaniem.

Pocołwa się po prótnicy telnarobili — mojego pyska na loterji nie wygrałem...

Zaraz wrócił, położył łeb na kolanach Kowalkowej i uśmiechał się przyjaźnie:

— Serce wasze okrasone... skwarkami. Kozdy się porzywi z waszj miski dobroci — oj kozdy

Nacostatek uczył Burek krótki a mocny uścisk, zobaczył oczy wpatrzone, twarz steraną, biedną, wyluszał słowa potęgnania, zaiste z głębin serca wyszczono!

— Bądź zdrów — byłeś przyjacielem, a do tego tylko pies jest zdolny, zachowam wspomnienie na zawsze. Ty tutaj musisz zostać... dość się po świecie nawłóczyłeś, dość się naciępałeś, dość tego parzywego życia. Jamuszę iść do swojej budy na bruku. Zdechnę w niej z przekleństwem, ale nie mogę inaczej. Taki mój los.

Pies, uwiązany na łańcuchu, nic złego nie przeżywając, wspiął się, położył głowę na pierśiach uśnie, pokornie i patrzył na przyjaciela, jak małe, zblakane dziecko.

Mazurkiewicz jeszcze raz pogłodził, wziął w obie dłonie głowę zwierzęcia.

— Nie patrz z taką miłością na mnie, wierna psino.

Kiedy odchodził, pies nagle przysiadł na tylnych nogach.

— Jakto, on sam sobie idnie?

Zdumiony zastygł, nawet nie drgnął, przestał żyć. Śledził oddalającą się postać całym wysiłkiem

wzroku, myśli i duszy. Znać było oszolomienie, lęk, zdziwienie i niepokój.

Mazurkiewicz, idąc powoli, potykał się, chyba na tych spojrzeniach niemych, a tak wiele mówiących, rzuconych pod stopy.

Za wrotami odwrócił głowę.

Burek wciąż jednak patrzył, ale coraz bardziej przerażony, bardziej bezradny. Oczy, targane złowieszcym przecuciem, gasły, pogłębiały się, zapalały, aż stały się ciemną próżnią. Fiers gwałtownie rozszerzała się i skurczem nagłym zduszona drętwiała. Burza krzyku, skotłowana, skłębiona miała za chwilę wybuchnąć, ale w bezsilnych szamotaniach zmieniała się w pisk rozdzieranych trzewi. Coraz gwałtowniej robił bokami, coraz szaleńczy, głęboko zakopany skowyt wstrząsał całym ciałem. Pies wciąż siedział na tylnych łapach, niby nagrobek martwy bóleści i rozpaczy w obwisłych łachtmanach. W pewnej chwili głowa bezsilnie, powoli, nieznacznie osuwała się, postać machała, garbiła się i nagle wstrząśnięta opadała, niby chusta, zmoczona ciężkimi łzami, z omdlałych rąk.

Zaledwie Mazurkiewicz zniknął za węglem domu, wyrwało się skomlenie współurwane, jakby ktoś rzucił się na świeży grób i w piachu zadusił ostatnią skargę. Milczenie, jakie nastąpiło, było stokroć okropniejsze, bardziej wstrząsające, niż skowyt poręganania. Mazurkiewicz chciał wrócić, paść na barłogu, zadusić go albo razem wyć, aby nie mieć tego strasliwego krzyku milczenia w uszach, w całej duszy. Ostatnie spojrzenie i ból opuszczonego psa pętlą owinęły się naokoło serca i z powrotem go ciągnęły. Z największym trudem wyrwał się z więzów. Zatykając uszy, uciekał. Gluszył w sobie wyrzuty.

— Nie mam prawa brać go ze sobą — na nę-
dzę? — na poniewierkę? — niech ja zdycham, by-
lebym nie patrzał na głodnego. Nie chcę nawet na
smyczy przywiązania ciągnąć do budy mojej niedoli,
mojej samotności... Tu twoje miejsce, dobry psie-
tutaj tyć... A zresztą potęknisz, jak ja za tobą i za-
pomnisz przy pełnej misce. Rosłaka ze mną nikogo
nie zabija. Już taki mój los. Życie moje, to karcema
na rozstaju — kto *nie* chce, to *nie* wstąpi, aby za
kielichy prawdziwych łez zapłacić ~~grozami~~... Kiedy
tanio kupuje w moim kramie i idzie swoją drogą...
Tyś lany Burku... bo psa przywiązuje się do budy
łańcuchem, a człowiek miską... Nie powlokę cię za
sobą na śmietnik miejski — nawet na postronkumi-
łości. Czasem taki postronek jest strasliwszy, niż
pęta niewolnika... Zostań tutaj u dobrych ludzi —
tyj w spokoju. Może kiedy wspomnisz mnie, gdy cię
kto batem uderzy... Może pomyślisz o mnie, o wld-
czędze

W domu, w mieście nic się nie zmieniło. Ma-
~~zackiewicz~~ został te same puste, opajęcione ściany.
Teraz jednak odczuwał bardzo dotkliwie brak psa.
Wprost cierpiał, że nie zobaczy na progu oczekują-
cego Burka, że nie wybiegnie naprzeciw z radosnem
szczęśnaniem. Samotność była mu wstrętna ponad
miarę. Tak przywykł do towarzystwa psa, że często-
kroć stawał w oknie, sądrąc, że musi przybyć z da-
lekiej wycieczki, to znów w czasie pracy rozmawiał
z nim, gładził majak wspomnienia, który ścielił się
u nóg tywym obrazem.

— Nie mam nikogo — ty i ja... na jednakim bar-
logu... Ech!... i ty i ty zdradziłeś...

Kiedy sobie przypominał, że jest sam, uciekał
z domu. Długie godziny przesiadywał w knajpie.

Pijany wracał. Wtedy zbacał na przedmieścia, krążył po zaułkach. Szukał Burka. Wierny, że go spotka, że pies musi wrócić na bruk dawnego tycia. Opanowywało go przywidzenie, że głodny, pobity leży gdzieś w kącie podwórza. Nie ma sił wywlec się z ukrycia, nie śmie zawołać, aby nie zbudzić złości ludzkiej... jeno tebrze o pomoc i zmiłowanie pustkącocu... jaką widział przy potęganiu.

Z uporem maniackim przeszukiwał kryjówki, siadał na schodach knajp, na rogach ulic i najczulszym głosem przyzywał przyjaciela. Głos i oczybiegły w mrok, pustkę i gdzieś zawył, jak pies wścieczny, nie mający nigdzie schronienia...

O świcie Mazurkiewicz wracał do domu.

Na drugi dzień wprost z knajpy szedł na poszukiwania, opętany jedną myślą, jedną tęsknotą. Na swej wędrowce spotykał cienie, cicho przemykające. Każdy z nich był mu bliski, zbratany z Burkiem. Ale sparszywałe wyrzutki omijały go zdaleka, na przyjazne wołanie warczały, uciekając z kocią. Dla Burka nosił kawały chleba. Po daremnych poszukiwaniach rzucał je gdzie bądź.

Na intencję twoją Burku... Gdy stąd odejdę, może się ty potywisz... A jeżeli nie ty — to może głodny twój brat. A nakamiony wspomnij Burka... bo to od niego...

Jednego wieczora spotkał schorzałego psiaka, leżącego na śmiertelnem posłaniu śmietnika. Chciał go nakamieć. Nic nie miał. Wytrzepał z kieszeni czerstwe okrochy i na dloni podsunął. Głodny wściegła nie miał sił zgarnąć tego skapego potywienia. Mazurkiewicz czuł na palcach dotknięcie wyschłego języka. Litością zdjęty, podjął z ziemi osłabionego. Pies drgnął wszystkimi skaleczeniami. Chciał ucie-

kać, wyrwać się z rąk ludzkich. Nie mógł. Lęk go ogarniał, że nie skona spokojnie na bruku, ale spadną na niego ciosy... Miał jedno pragnienie: zdechnąć wpierv, nim go człowiek zbije... Czuł pieczołowite ruchy, słyszał dobrotliwe słowa. Ze zdziwieniem popatrzał na Mazurkiewicza... Skąd miłosierdzie?... Oczy nabrały blasku, uśmiechnęły się. Z ufnością przytulił się i tchnął radosnym piskiem wdzięczności.

— Nieszczęśliwe moje życie — ale błogosławię je za ostatnią chwilę...

Skurczył się i wykonał ruch, jakby chciał skoczyć za duszą uciekającą w wieczność i przypomnieć jej, aby u wrót bożego domostwa wykrzyczała nowinę błogosławioną.

Serce zwierzęcia przestało bić na piersiach ludzkich, niegłodzone i niekatowane.

Mazurkiewicz wyniósł zwłoki w pole, aby ich nie dotknęły ani pomyje ani błoto ani stopa ludzka. Zakopał pod drzewem. Sypiąc liście na pościel ostatnią, szeptał słowa radosne;

— Niech ci będzie lekka ziemia, która kamienie dla ciebie przez całe życie stwarzała... niech deszcze, spadłe z niebios, obmyją uszki i udrękę... boś wielce strudzony i biedny... niech na twej mogile kwiaty wyrosną i szkarłatnem uczuciem serca ~~wyświecą~~ witną... o psie bezdómy.

Wracając z tego pogrzebu, drwił z siebie, że jest grabarzem, pomocnikiem raka. I wtedy uśmiechał się uśmiechem z łez i promieni, jakim go też znał pies, konający na piersiach jego...

Zaprzestał poszukiwać. Miał tal do Burka, że go opuścił. Przypomnił sobie opowiadania o wierności psów, tysiączne historie o przygodach, niebezpieczeństwach, na jakie były narażone, kiedy wracały

do przyjaciela. Z gorzyszą myślał: I tyś mię zdradził i tyś został przy pełnej misce... Potęgnaleś mię jednym skowytym. I to dużo!... Przyjaźń?... ach, każdy wyluskuje ziarno z serca, a łupinę zostawia... często na potęganie pła... A tyś Burku tak nie postąpił... ty się podłością nie odpłacasz — bo nie jesteś nikczemnikiem. — — — Tak! tak! parszywe moje serce przywiąże się do czegoś i potem zrywasię, jak pies na łańcuchu. Nie usłyszysz wołania przyjaciela, bo bieda cię kijem nie przypędzi.

Mimo gorczy, mimo zawodów czekał na powrót Burka.

Późno w noc stał przy oknie, pogrążony w bezmyślnem śledzeniu światła, błakającego się po zaułku. Długo patrzył na obraz ten, nudny, zdeptyany jego oczami, jak bruk. Naprzeciw stała latarnia, podobna do przekupki, rozpościerającej brudne klecki... Ta samotna, obita i odrapana była symbolem czegoś najbardziej nędznego i ukrzywdzonego. Tkwiła od lat z wybitą srybą, przez którą uciekały czarne myśli dymu. Z roku na rok przygasła, zasklepiła się grubą warstwą kopci, nie chcąc patrzeć na hańbę życia tego miasta. Ona jedna w długie godziny nawiedzała Izbę Mazurkiewicza i niosła uśmiechy dla niego, ona jedna blaskiem swym obdarzała ten zaułek. Teraz przebiegł dreszcz jasności, latarnia rozbłysła, jakby splonęła dziewczęcym uczuciem.

W krąg światła, z poza rogu, wypełił pies. Posuwał się powoli, jakby nie mógł wyrwać ciężaru cienia ze splotów blasku i kamieni. Ten wynędzniały stwór nosił na sobie ślady długiej wędrówki, niepomiernych trudów, rozlicznych przygód, ciężkiej poniewierki. Zależniony stawał, prznosił wirók z okien Mazurkiewicza ku mrokom ulicy. Znać było, że męka,

rozpaczą przywłazania, a zarazem szaleństwem szczę-
ślika zastanawia się, czy zrobić ten ostatni krok, czy
 uciekać od domu drogiego i pędzić w noc głuchą —
 daleko — daleko — przez kije — przez kopnięcia.

W Mazurkiewiczu wszystko się poruszyło. Po-
 wstał zamęt w całej istocie. Całą siłą wzroku przy-
 lgnął do postaci, tak wyraźnie rysującej się na broku.
 Nie poznał przybysza.

— Jakiś włóczęga do mnie — biedactwo — jak
 musi być głodne — jakie ma boki zapadłe. Wiedzia-
 łem, do kogo przyjść — nie drtyj — nie lękaj się —
 nie odpędzaj cię.

Fles padł pod progiem. We drzwiach utkwili
 wzrok, przybijany ciosami serca. Patrzał z rozpa-
 cznym lękiem, że ktoś bliski wybiegnie i tutaj na
 zawsze go zatrzyma, a zarazem patrzał z obłądnym
 bólem, że pustka go powita i musi wracać, skąd
 przyszedł.

Trzask drzwi gwałtownie otwartych. Mazurkie-
 wicz skokiem przesadził próg, chwycił w ramiona
 zbiedzonego, utrudzonego Burka. W dom swój smu-
 tny w uścisku serdecznym niósł sen przyjaźni.

Z ust ludzkich wypadał bełkot niezrozumiałych
 słów, uśmiech i płacz radości.

— Jakże się umiesz wywdzięczyć za okrucie-
 stwa serca — psino — psino..

— Ojciec! — zawołał, wyciągając się, — ojcze! —
 — Co? — zawołał ojciec, — co ci jest? —
 — Ojciec! — zawołał, — ojcze! —
 — Co? — zawołał ojciec, — co ci jest? —
 — Ojciec! — zawołał, — ojcze! —
 — Co? — zawołał ojciec, — co ci jest? —

Mazurkiewicz osowiały chodził od ściany do ściany. Stawał przed startą obrazów. Drżącymi palcami wybierał, podnosił do światła, patrzył długo i na bok odkładał. Znow przemierniał izbę wielkimi krokami. Po długiej walce wziął pierwsze lepsze płótno, owinał szczelnie papierem i wychodząc, wołał na Barka:

— Chodź, bracie!... kramik ze starzyzną otwieramy. „Szczać Boże!“ na nowej drodze — krzyknę se z całej siły — — no psie, wołaj razem ze mną.

Burek znał te stany, nie zaszczał, nawet nie spojrzął na Mazurkiewicza. Sunął przy nodze smutny, ze spuszczoneym łbem.

Po sprzedaniu obrazu Mazurkiewicz siedł do knajpy i pół, zagłuszając głupie wyrewty, gasząc tar, przepalający duszę. Gnił cały dzień w zaduchu, zaszyty w najciemniejszym kącie. Pijany mamrotał, sobaczył tyście. Co chwila zrywał się z ławy, pięściami groził urojonym wrogom, kopał majaki i krzyczał do nich z wściekłą radością:

— Masz, ścierwo, za mnie, za moją dolę par-szywą. Zmora zębce wbiła, wiasta się i gryzie i roz-starpuje serce. Czy przed tobą, palakrew, nie ucieknę? — czy zawsze będziesz skowyczała? Masz! —

stratuję, zabiję — hi! — hi! — już nie wdrzisz ślepiani za mną, przestaniesz za mną się włóczyć!

Oczy niesamowite świeciły, kiedy z pijackim uporem wołał do psa, który leżał pod stołem zwinęty w kłębek.

— Co? przehandlowałem? — Może mi nie wolno? — jestem sobie pan... Tak mi się chciało i tak zrobiłem. A tobie nie do tego! Ślepiani swojemi rozgrzebujesz śmietnik mojej duszy — padlinę wyciągasz... Kopnę cię — nie boję się ciebie... Piję i będę pił na okopowisku mojego tycia. Krwi utoczyłem, więc zalewam wódką, żeby ubytku nie było. Rozumiesz? Serce sprzedam, serce zastawię, bom pachciarz sztuki — bom ostatnie bydlę. Nie wiedziałeś? he! he! — to teraz wiedz!

Późno w noc kelnerzy wywlekali z pod stołu Mazurkiewicza nieprzytomnego. Strącali go ze schodów, kopiąc na potęganie leżącego na bruku.

W czasie tego Burek zrazu z niepokojem patrzył na czynności ludzi. Potem przyskakiwał do nóg słujących z mściwym, strasznym warkotem. Bronił przyjaciele. Kiedy knajpę zamknięto, zjadleszczekał przed zatrzaśniętymi drzwiami. Zmęczony układał się obok Mazurkiewicza. Czuwał nad śpiącym, ogrzewając go swym ciepłem. Z niezmiernem współczuciem patrzył na twarz zranioną i zlizywał z warg obydeł wyrazu pijackiego. Czasem drgnęła ręka, pogłodziła go, czasem głos zaszelelał przez sen. Pies drżał i radośnie skoczał. Kiedy Mazurkiewicz się obudził, pierwsze spojrzenie padło na Burka.

— Dobry — nie opuścił — zostań przy mnie.

Wstał i ruszył w drogę. Przejęty wstydem unikał waroku zwierzęcia.

Pies włókł się osowiały, zgnębiony, podobny do rowallysza.

Wracali pustemi ulicami. W oddali zaturkotał wóz. Piłacka pieśń, rozebrana do naga, przeszczała się po bruku. w błocie wytarzana chlustała ohydą słów i melodji. Jakis przechodzień przemknął, obrzucał wzrokiem Mazurkiewicza i biegł dalej. Na rogu dygotała hetera. Usłyszawszy spóźnione kroki wywabiała uśmiech powabny, przyciągający. Ujrzałszy postać nędzarzy, z lekceważeniem wykrzywiła wargi. Pies włóczęga obwąchał Burka, polizał go i śpiesznie zniknął w mroku. Z zaulka wypełił przyuczajony ulicznik. Tropione spojrzenie rzucił nachodnik. Zabiegł drogę i o wsparcie prosił.

Mazurkiewicz tachał się.

— Co się płaczesz między nogami?

— Panie, od wczoraj nie w gembie nie miałem. Matka chora — bracia.

— Może mi jeszcze wżasniesz: „matki nie mam, ciotka z litości mię porodziła”.

— Panie! — spojrzenie i ruch ręki bratczy.

— Cóż się tak czepiasz ślepiami. Prośba, to kiepski wytrych, drzwi do tycia nie otworzysz. Zdobądź się na lepszy. — Wsunął mu garść papierków. — Będiesz chlał, co?

Chłopak gwiznął, skoczył. Nogi bosa, czapczyrna podrzucona i słowa urwiszowskie mignęły w powietrzu.

— Pa a-nie, będzie wsuwa i śnapa.

— O, widzisz, teraz mądrzejszą rzecz wygodo-
hleb. Znasz sens tycia. Śnapa bracie i wsuwa, dwie na tym świecie świętości.

Po powrocie do domu siadł na kraju łóżka. Odwracał oczy od Burka. Wszędzie jednak spotykał

jego wierne spojrzenia, jakby dwa obalane wyrzuty. Spatrzono w ciemność. Miał wrażenie, że te nie spojżenia go biją, ale kije wyrwane z serca, pełnego łez.

— Dlaczego się patrzysz — co? — żebyś w tej chwili był sobą — zwykłym człowiekiem — to bym cię kopnął. Pijany jestem, straciłem człowieczeństwo, więc noga odpada. — No, czego się tak patrzysz — co? — podlec jestem, lajdak, drań — no, dalej, pierz batem. — Tak — tak — jestem — wolno mi. Będę ci patrzył w ślepią — ani mrugnę. Głupcze — myślisz, że się wstydzę — he! — he! — błoto jestem i z błotem zgniję — powiedziane jest w przeznaczeniu mego życia.

Poczał chichotać. ~~Głęboko~~ ciężko. Zmordowany ledwo zapał. Pot wystąpił na czoło. Głowę biersilnie sparł na kraju stołu i szeptem mówił do psa:

— Musiałem sprzedać. Na taadotę wyniosłem — obrabcałek, starczyzna — handeles jestem. Śmietniczek z tycia zrobiłem. Życie uczy kijem, a ja pojętnym jestem takim w jego wszechstronnie karzącej szkole. To też do sekretu sparszywała moja dusza. Dalszaj rozgniko we mnie sumienie i trać smrodem wyrzutów. Trzeba to plugastwo oplókać — ale nie łzami — och, nie! — broń Boże! Wódka, bracie, wlezie wszędzie i jak ręką odjął. Podłe ścierwo, serce. W wódzi ratunek — ona wypali nastroje, gorzycze, wypierze, wymienie smuteczki, a ustroj nawet kał uszę serce, różę — serdeczność, bracie, patrzeć... Cud wódzia... Ty nie pijesz — co? — to strasznie biedny... Jakte ty djabelskie smutki wypłujesz? — jak? — Zaraza stoczy ci serce. Pij i plój, mówię ci, ja, zrubawiec tyciowy. Cót się tak wciąż patrzysz? No, wycharacz to słówko cacane. Żebyś miał choć trochę złajdaczono oczy, choć trochę ludzkie, żebyś

wiedział jakim jestem, tobys chlasnął mię bracie, słówkiem serdecznem, azby zębki wyleciały. Chcesz pluć w spodlony pysk? — no, masz — pluj. — Ech! — nie jestem godzien nawet twej sliny. Pjanica i lajdak ci mówi, co się ohydą schlał i teraz w błocie leży. — Wyc — wyc — bękartem jestem na barlogu ludzkim — kop! — pluj mi w pysk!

Burk, schłostany słowami, stał z obwisłym łbem, podobny do więźnia, oskartonego o zbrodnię niepełnioną. Pęta płaczu dławila go. Czuł strasliwą krzywdę, a nie mógł zaprzeczyć. Kamień przywalił czującą doszę. Raz uniósł głowę niezmiernie ciętką. Oszalałe z bólu oczy rzuciły się na pierś człowieka.

— Czy ci wyrzucam? czy przypominam? Tyś skrzywdzony — a cóż ja, nierozumnie zwierzę mom ~~o sobie powiedzieć?~~ Chyba ~~wydziedz mojej serce~~ skatowane i tobie pokazać — abys bił, chłostał? — — krzywdzisz strasznie — ty, jedyny — dobry — ty, najsprawiedliwszy z pośród wszystkich.

Mazurkiewicz długą chwilę patrzył w oczy Burka. W niewypowiedzianem rozczuleniu ogarnął go mocnym uściskiem, przytulił do umęczonej piersi i wybuchnął rzedzierającym, beznadziejnym płaczem.

— Nie jestem wart jednego drgnięcia, jednego twojego spojrzenia.

Pies trząśł się spazmatycznie, lizał ręce, twarz, jęczał coraz rozpaczniej, coraz boleśniej.

W samotnej izbie, na targowisku świata, jęk ludzki mieszał się z obłądnym skowytom psa w lkanie przetalosne dwu udręczonych, dwu tydzień bezlitośnie skopanych serc.

Przechodziły dni szare, przemokłe, rozwiłcone w chmurach ciężkich. Budziły się ranki napu-
chle od płaczu wichrów posepnych.

Dusza Mazurkiewicza była, jak te poranki je-
sienne. Przetrywał ciężkie chwile. Zarobku nie miał
żadnego. Kilkakrotnie zabierał obrazki do miasta, ale
wracał, nic nie sprzedawszy. Rzucił w ogień i grzał ręce
przy ich płomieniu. Stawał się coraz bardziej pogu-
rym i mruklwym. Rzadko opuszczał izbę. Pracował
wiele, śnił nowe pomysły. W czasie malowania roz-
mawiał sam z sobą lub postaciami, wylaniającymi się
na płótnie.

— POCO malujesz? — Umiłowania, tęsknoty, po-
rywy zniszczyć w sobie a w serduszkach kramik załót,
wywień wyznanie górne, puste i napuszone. Chcesz
być sławnym, to oblecz twory swe w majtki z koron-
kami, złóż pod ciemną niewianną rękę i zmień nazwie
nie frazesik a frazesik kupi każdy. Powiedzą z uwiel-
bieniem: ten szelma z rozmachem wali do sławy
i pełnej miski. Spuchną ci uszy od ~~wzrostu~~ ~~wielki~~,
nasz znany, uwielbiany, gwiazda etc. Psiakrew! Wie-
cznie powtarzam: trzeba umieć żyć, ale jak żyć,
w tem sęk. Paść w błoto i krzyżeć, że wysypiesz
się w dziewiczej pościeli, powiedz sobie rozsądnie,

na rozum; serduszek nie mydło, nie wymydlę się. Choć łajdactwo przywrze — no, to cóż? Błoto do ulicy też przysycha, wcięt nowe a przecieć kruszeje, ~~zapyła się~~ a rozwane w słońcu tęczowo migoce — hi! — hi! — z błota ulicznego dziwy tęczowe. Czyż to nie cud? Z ognia nie wyciągniesz pajdy chleba, natomiast z największej nawet kałuży dobiedziesz złoto. Choć zapaskudzisz palce, to nie wielkiego. Wymyjesz, wybielisz, świętą wodą pokropisz i śladu nie zostanie. Zresztą w duszy nikt błota nie dostrzeże, można rynsztokj nosić w sobie, tylkoustrojone w górnehasła. W łajdactwie prać tydzie, a w słońcu je okazywać, to ci prawda — to mądrość — przy słowach tych na twarzy Mazurkiewiczazastygał wyraz pogardy.

Dopiero mrok odrywał go od pracy. Wieczorem wymykał się w pola, kopał ziemniaki, rzepe, obrywał owoce w ogrodach podmiejskich, kradł węgiel z plantu kolejowego. Pod peleryną przynosił zdobycz. Sam gotował strawę. Kąbdym kęsem rzetelmedzielil się z Burkiem. Mimo najrozpaczliwszych wysiłków, obaj wprost z głodu przymierali. Częstość nie było co jeść, czem w piecu zapalić. W tym czasie Burek znikal kilkarazy, zawszejednak wracał po kilku dniach, ~~raz nawet po tygodniu~~. Mazurkiewicz ~~zresztą był o niego niepokojny~~. ~~Później zrozumiał, że piec~~ ucieka na daleką wieś z głodu i tęsknoty. Pierwsze zniknięcie odbyło się wśród dziwnych okoliczności, w czasie wyprawy po ziemniaki. Mazurkiewicz długo siedział na miedzy, zapatrzony w krajobraz, z którego wiał smutek, gaszący wszelką barwę, radość, życie i sprawiający, że serce i oczy ludzkie pod tchańaniem jego podobne były do jesieanych kwiatów, osypujących ostatnie płatki.

Mazurkiewicz półośno zabrał się do zwykłej pracy. Pod szeroko rozpartą peleryną wyhierał ziemiaki. Zupelnie nie zwracał uwagi na Burka. Ten stał na podwalu i paszczką wyciągniętą wachał wiew, lecący z zamglonej równiny. Nozdrza rozszerzone wychylały do dna wino rozkosznego zapachu. Na widok ścian bielejących wśród sadów, niby płótno rozwieszane na płotach, krów pasących się na ściernisku, na widok pastucha i psa przy ognisku, oczy nabrały blasku.

— Tak, jak i ja z Macusiem przy krowach.

Radość mieszała się z bólem wspomnień. Zrenisice, oszute dymem, pociemniały, padły pod progiem drogiego obrazu i zawyły u budy serca, niby dwa czarne psy, które się uclawiły jękiem wichru jesiennego.

Mazurkiewicz spojrział na zmiesionego Burka. Zrozumiał stan duszy. Bez słowa zawrócił do miasta. Nie obejrzał się, ale widział i czuł, że Burek idzie za nim krok w krok. Na zakręcie rzucił okiem, Pies ze spuszczoneym łbem się posuwał, jakby podątał ku dolowi, na okopowisko. W domu wsunął się pod łódko. Leżał z łbem rzuconym na przednich łapach. Nic nie jadł. Przez cały wieczór nie ruszył się z legowiska. Spoczywał, niby dziecko splakane i nie mogące się utulić. Czasem wydarł się żalony pisk, jakby żywemu Bogu się poskarżył. Mazurkiewicz widział w najciemniejszym kącie oczy psa, niby dwa żalobne kaganki — — to znów dwa uśmiechy, pękającego z żalu serca...

Przed spoczynkiem uchylił drzwi

— Droga do mnie i ode mnie otwarta... Nigdy kijem do serca nie napędzam, nigdy do serca nie przywiązuję.

Udawał, że śpi. Śledził każde poruszenie psa, każdy wyraz spojrzenia. Widział walkę dwu miłości, dwu przywiązań, które rozbiegaly się w dwie strony, aby płaczem wybuchnąć na piersiach Mazurkiewicza i na piersiach Kowalika. Wiedział, że pies musi go opuścić, wiedział też i to, że słowem go nie zatrzyma.

Burek wypełił na środek izby. Chciał uciekać. Sił nie miał. Jęk wspomnień zagradzał drogę. Smażony wyrzutem przykladał oczy swe do zamkniętych oczu człowieka, do ust, całował na pożegnanie i pocałunki łzami zraszał. Chciał wyskamlać u stóp jego przeproszenie, że opuszcza go i odwdzięcza się za ~~wszystko—dobro~~, jak człowiek przyjacielowi. Skurcz wstrząsał nim. Wkońcu przemógł siebie jakby cień skowytu wypadł.

Z brzaskiem dnia pierwsze spojrzenie Mazurkiewicza padło na posłanie.

Było puste.

Burek na czwarty dzień wrócił oniśmiałony, ale podpasiony i pogodny, rzekłbyś zdarł ze swej duszy zbłocone samoty miastowe a przewedział na się sukmanę wsiowską, krasną, wyszywaną kwiatami pól i wesela. Każde spojrzenie promieniami wystrzelało, bo serce jego było ~~skłonione—kierowane—nie~~ do miasta. Pies nie wiedział, jak zostanie przyjęty, nieznacznie się przesunął i buchnął pod łóżko. Mazurkiewicz wyciągnął go z kryjówki.

— Toś sobie o mnie przypomniał, hultaju? — Gdzieś bywał? Gęba zadowolona, jakby omasta ~~po—~~wana

Burek zerknął na twarz. Nie zobaczył srogości, ale serdeczność i przyjaźń. Merdnął ogonem, oczy

błysnęły, jakby samo serce parsknęło śmiechem jasnych spojrzeń.

— Na wsi bywałem — choć sprawiedliwie żyć. I hańbnych ucieszyć i was też — e... e... jak się to mówi po ludzku i o sobie też do lmentu się zapominać.. Pierseńso skóra ciała, niż kij..

— To ty na dwie strony — i tu trochę i tam trochę. Za długo między ludźmi przebywasz, nic dziwnego, że i ludzkich sposobów życia się uczysz — wesolo karcił go Mazurkiewicz.

— Słuchaj — słuchaj... A prowadzę rzece, to jest tak: o nich brocho uciecha napaść, u was serce. Wyście dobrzy — a oni też..

Śmiał się, przymilał, przeproszał, w rozbrajający sposób prawił czołości łapą, językiem, skuczeniem, że Mazurkiewicz go głaskał, ściszał.

Burek przynosił z każdej wycieczki świeżość pól, lasów, wspomnienie wsi, radości letniej. Przy ogniu skąd ich ogrzewał się Mazurkiewicz. Ale te krótkie chwile gasły prędko, zabite codzienną walką o chleb, pracę i upadkiem ducha.

W izbie na dobre zagaściła nędza z głodem.

Mazurkiewicz opadł z sił a do tego przyplątała się jakaś choroba. Na szerniałą twarz z zanadru serca wypęły smarszki zgrzyzot. Wychudł, zgarbił się. Jeszcze siadał do stółg, ale już nie miał sił pracować. W duszy miotaly się obrazy i w zadymce ginęły. Laził po izbie, chwytając się sprzętów. Najczęściej stawał przy oknie. Patrzał nadrzewa, raułki, na blekit niebios, na obłoki z takim wzruszeniem, jakby je na zawsze tęgnął.

Mazurkiewicz chciał przesłaniać chorobę. Walczył z nią uparcie.

— Djabli nie dadzą mi rady — mawiał do siebie — będziemy widzieli, kto silniejszy — pójdziemy na wdry z kostusią.

Nie dał jednak rady. Godzinami leżał osłabiony. Z łką się dźwigał, aby ugotować. Sam mało co jadł, niemal wszystko oddawał psu. Burek od dłuższego czasu śledził ruchy przyjaciela, z trwogą patrzył w twarz, lękiem go napełniały chwiejne kroki. Pełen niepokoju nasłuchiwał. Wymyślał, od czasu do czasu krótko zawył, jakby złowróżbne przeczucie kijem go chłostnęło. Wszystko widział, wszystko poznął i serce jego stało się płaczem nieutulonym. Uciekał w najciemniejszy kąt. W samotności lkał, cierpiał, skartyl się przed obliczem własnej męczarni. Mazurkiewicz słyszał te glosy, zgłębiał rozmiar cierpienia. Przyzywał psa i brał j go głowę w obie dłonie.

— Cicho, biedaku — nic nie poradzę, nie moja wola — wyrok przeznaczenia — cicho — cicho — śmierć, to ukojenie — wypocznę sobie.

Na wargach spękanych zastygł wyraz, jakby lza, wycieczona z rany — rosła się w pytanie nie wypowiedzianego bólu.

— Cót ty zrobisz beze mnie — wliczego — zostaniesz pod batem śwista — zedw na krzywdę..

Gorączka się wzmagała. Mazurkiewicz znosił mętnie dolegliwości. Wkońcu choroba go powaliła. Leżał smiertelnie wyczerpany, okryty peleryną. Burek obok układał się w barłogu. Chude dłonie spoczywały na głowie psa, palce powoli sunęły po sierści i ostatnim wysiłkiem gładziły. Pies drżał, oczy jego tchnęły radością, ilekroć postrzał dotknięcie i po słyszał słowo. Często Mazurkiewicz popadał w omdlenie. W takich chwilach Burek wypadł na ulicę w tłum i w gwar, chwytal przechodniów za poły

ubrać, łagodnie wargal, jakby chciał zaprowadzić do chorego. Patrzał w oczy błagalnie, wrywał o ratunek. Nikt nie rozumiał wołań rozpacznych. Niejeden przez odpędził natręta, niejeden na dobytek kijem uderzył. Pies nie bronił się, nawet nie zawarczał. Skopany i obity wracał do domu. Skruszony i zawstydzony liłał ręce, skartyl się, jakby przeproszał i o przebaczenie prosił. Za chwilę znów się zrywał, siadał na progu i wyl przeraźliwie, długo, a był to płacz nad płacze, ból nad bóle, nie znajdującymiary ni porównania we „wszechczującym” sercu człowieka.

Ludzie, śpieszący ~~chodzącymi~~ odwracali się od psa, zatykali uszy, nie mogąc znieść tego skowytu skargi i rozpaczny.

Nikt jednak do izby nie wszedł

Mięło kilka długich dni. Wiatr za oknami pojękiwał, rzucal w szyby metalowe dźwięki deszczu. Ranki i wieczory opierały czoła o ściany domu i płakały cicho, nientulenie. Czasem z wyżyn, niby radośna nowina na złotych skrzydłach, spadał strzęp światła na twarz chorego. Niebo błękitem i zorzą uśmiechało się do człowieka, który z łozą boleści, za błogą gościnę promieni stał uśmiech podziękki, zaiste niesiony z warg anielskich. Ale tobyły krótkie i przemijające chwile. Po nich następowała noc smutku i upadku. Do izby wchodziły szare, ponuro rozelkane dni i noce. Co chwila silny powiew wiatru przybiegał do okna, stukal, trząskal, wplątany w nagie drzewa, trząśl ich zmartwialemi koronami. Odarte z liści, pokręcone gałęzie, raz wraz uderzały w szyby, przechylały się ciżbą, jakby pragnęły zajrzeć do wnętrza. Ledwo popatrzyły do izby, zastygły na ognienie z przerażenia, raptownie się oderwały i prze-

mująco zajękły. Chłostane skrzypiały żalofśnie, chwiała się bezsilnie.

Wiatr i wycie psa tłukło się od ściany do ściany. Po każdym głośniejszym napadzie skowytu Mazurkiewicz budził się z odrętwienia. Po izbie szukał zagubionych wolań. Zawsze spotykał Burka i wtedy oczy dźwigały się z mroku, wypływał błękit spojrzenia i szept słów gasnących.

Tylko drżenie wynędzniałych warg, samotne słowa i spojrzenia zapalające się jaśnieniem uśmiechu, były jedyną oznaką, że Mazurkiewicz jeszcze żyje.

Teraz Burek prawie nie ruszał się z barłogu. Zmartwiał, upiorny, prawie bez tycia leżał, zaparty w drogie oblicze. Oczy śmiertelnie zmęczone, zbolale patrzyły zda się trenicami, zapadającemi się w otchłań serca, tak, by serce każdym pulsem patrzyło na mękę człowieka, aby trenice każdym spojrzeniem cierpiały. Pies zrywał się nieco, kiedy poczuł na sobie dłoń, kiedy uniosły się powieki, kiedy wyblęśta łza i spływała po brózdach steranej twarzy, a razem z nią padało ciężkie westchnienie.

— Tys jeden — tys jeden został — do ostatniej chwili — ty nie opuściłeś...

Te słowa ściekały w piersi Burka a serce jego dygotało, jakby nad dołem mogiłym zawisła samotna łza, nabrzmiała tętnami wszystkiego bólu.

W pewnej chwili Mazurkiewicz chciał psa przytulić. Nie mógł w żaden sposób palców dźwignąć, drżały daremnie, rozpacznie, na zsiniałych wargach tułał się szept cichy. Po długich wysiłkach zastęptaly słowa.

— Odchodzę — rzucam cię na zawsze — cóż ty bez mnie teraz zrobisz? — — idę sobie na wę-

drówkę spokojny — a ciebie wyganiam na ponie wierkę — między ludzi — dożgonny włóczęgo — idę sobie w ciszę — a ty? — — Jaka cię nagroda spotka za cierpienie? — Ty, psino wierna — duszo czysta — musimy się zobaczyć! — Jeżeli jest wie kwista chwala — to ty zostaniesz wśród najbilszych — bracie — druhu wierny...

Nagle uniósł się. Chwycił oburącz, całą siłą, głowę zwierzęcia i przycisnął do piersi kurczowo. Chciał coś najczulszego wyrzec, podziękować za miłość i przywiązanie. Nie mógł znaleźć tego jedyne, ostatego słowa. Zatapiał oczy w oczach Burka aż do głębi zbolalej duszy i szepnął, jakby dogasająca gromnica wionęła:

— Bracie — przyjacielu — do widzenia...

Zsunął się na barłóg z myślą, pozdrowieniem, pieściotką dla psa.

Burek nie drgnął nawet. Bał się zbudzić śpiącego. Ani na mgonnie nie spuszczał wzroku z ukochanego oblicza. Kiedy niekiedy nasłuchiwał, czy nie posłysz glosu, patrzył, czy nie podniosą się powieki i nie odsłonią niebios dobroci. Po tysiackroć wyczekiwał. Po długim czasie zaskoczał cicho, zablagał gorąco, wyciągał łapę, łagownie trącał, gladał po łoni liłał usta, twarz. Żebrał o jeden wyraz, o jedno poj

Wciąż czekał, wciąż wrywał w rozpaczne zdu mieniu, mlotany zawjerucha niepokoju i złowioszych przeczuc. Z głębokiem westchnieniem dsi gwał się. Stał na wychwałych nogach, podobny do widma, zastygłego nad własną śmiercią. Patrzył długo czeluściami zapadłemi.

A były to oczy psiej rozpaczty, od której serce pęka i krew w spojrześniach się leje.

...a były to oczy przyjaciela...

Burek runął na ośleo, jakby rażony piorunem i zaskomlał krótko, bezmierną męczarnią.

Z niebios spłynęła jasna plama, zadrgała w powietrzu, jak złamany kwiat padła na łode śmiertelne, na oblicze utrudzone i koroną złotą je okryła. Zdało się, że to nie szept, ale woł z onego słonecznego kwiatu wionęła na umierające wargi.

Zapóśno — zapóśno — uśmiechu mój ostatni..

Oczy samotnika, oczy biednego włóczęgi szukają oczu Burka w tej ostatniej chwili rozstania...

Po śmierci Mazurkiewicza Burek nie opuszczał izby. Nie nie jadł. Leżał zagrzebany w barłogu u stóp zwłok. Głowa spoczywała na przednich łapach, wpatrzona w oblicze zmarłego. Zupełnie nie zwracał uwagi na ludzi przewijających się. Od czasu do czasu wchodziły ciekawe kumoszki, rozkładały ręce, medytowały, sapaly wzruszone, ot, jak zwyczajnie, czyniąc sobie za danno miłosierne widowisko. Niejedną, przejęta obrazem nędzy i opuszczenia rzuciła:

— Widać, nie miał rozkoszy — oj nie! — Powiadają, że z głodu mu się zmarło.

— Tak takiemu na świecie.

— Jakie życie, taka śmierć.

— Bez Pana Boga odszedł, na zatracenie wieczne. Nie lepiej to, żeby pod płótnem zmarniał, ale z Panem Jezusem.

— Ej, moja paniusiu, nie my go będziemy sądzili. Już za życia kara go spotkała — kropli wody nie miał mu kto podać.

— Miłosierdzie bote jest wielkie — to może się zlituje nad grzesznikiem.

— Powiadają, że ino pies pilnował go do ostatniej chwili — o, widzicie, leży w barłogu. A, idźcie stąd — zakrzyknęła wzburzona i strąciła Burka.

z łódka. — Co po psie w kościele, jeszcze trupa sponiewiera. Jeszcze tego nie bywało, o, dla Boga — żeby nierozumne zwierzę kalalo prochy ludzkie. Jak był, to był — Pan Bóg go osądzi... ale to przecie całowiek baskie strasznie.

— Niech mu pierś zmówi wieczne odpoczywanie — i na tyle zasłutyl — westchnęła inna z mściwą pobudnością.

Burek, zepchnięty, uciekał w kąt pod łódko. Ledwo kroki odchodzących uciechły, wychylał głowę z pod krawędzi. Nieufnie, z trwogą badał, czy kogo mema w izbie. Kładł się na dawnym miejscu. Zda-wala się, że skamieniał w legowisku. Westchnieniami z pierś wrywaniem ~~mówił~~ ~~wieczne odpoczywanie~~, gromnice świecił światłością, oczu zbolalych. Każde spojrzenie było wyrazem strasliwej litanji, która we lzy się zmieniała, w grób serca padała, aby jeszcze rozpaczniej patrzeć, aby rozpaczniej cierpieć...

Burek zupełnie obojętny pozostał, kiedy jacyś obcy ludzie przynieśli długi skrzynię. Łazili po kątach, obmacywali każdy napotkany przedmiot, pod światło przepatrywali i kiwali głowami z politowaniem nad podartymi łachami.

— Ot biedak był i tyle.

— Mówię wam, kumie — nie miał zycia, jak się patrzy, przez to, że Boga w sercu nie miał. Po heretycku był. No, widywał go kto w kościele? Wyrzekł się Pana Boga — to tet Pan Bóg podniósł rękę sprawiedliwą.

— Prawda — prawda święta — Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Myślakowali po izbie. Nic nie usdo ich oczu. Badali zawartość stolika, szafy i kufereka. Z ciężkiem

westchnieniem odkładali na bok bezżyteczne ru-
piecie.

— Dzisiaj nas Pan Jerus niczem nie opatrzy.

— ~~Gdzieśby zwłok~~ u takiego ~~dziada~~ ~~Gubada~~ ino
mitręgi.

— Psiakrew — jakże wpakować gnaty w szmaty
takie, kiedy rozlatą się w palcach. Taki się nie za-
stanowi i nie przyrzuca odzienia na wędrownkę
wieczystą. Za młodości się ześwini, bieda go z ro-
zumu ostruga, to i starość ma w błocie.

W czasie ubierania zwłok bogobojnie pogady-
wali o marności świata, o tem, że nie trzeba się pu-
szyć a wynosić, że na świecie ino sprawiedliwość
grabarska istnieje, że grabarz łopata każdemu i bied-
nemu i bogatemu jednako, równo, po bożemu ją
wymierza. Co rzekli słowo, to niuchali tabakę, ki
chając rzetelnie. Robota sala im niesporo, bo oczy
co chwila leciały do obrazów, do szuffad Wkołcu
włożył ciało w trumnie. Śtulili palce na pierśiach
i wetknęli koronkę.

— Niechcie stanie przed Bogiem, jak chrześcijan
prawdziwy, może choć koronką od duszy złego
odgoni.

Teraz dopiero zaniepokojony i przetrącony Burek
począł siedzieć rachy ludzi. Strasznie oczami szedł
za nimi. Kiedy opadło wielko i skryło zwłoki, przy-
padł do nóg grabarzy i wdrząc się po podłodze
skomlał, o coś błagał.

Nic przerywając roboty, odganiał psa nogą.

— Odejdź, głuptasie — zebyś co nie oberwał,
po dobroci mówimy.

Burek stał przed ludźmi, jako jedno błaganie,
jeden oniemiały skowyt. Któryś z grabarzy kopnął

go. Pies runął, potem się serwał i z warkotem przyskoczył.

— Che! — che! ludzkiego mięsa ci się zachciewa. — Toś ty, brachszku, taki cukierek — poczekaj, nauczymy cię rozumu i schowasz se ząbki dobrze.

Obydwaj chwycili Burka w mocne garści, zbili, skopali bez litości i obozwałnionego zawlekli do komórki. Z wściekłością klnąc, zatrzęsęli drzwi.

Ledwo słyszał zmordowany pies. Po chwili przyszedł do siebie. W szaleństwie porwał się, chciał zdrzągnąć zapory, gryzł drzwi, orał podłogę. Kiedy usłyszał czyje kroki na chodniku, wyl zaledwie, przeciągle, szarpał się w więzieniu niby jęk, miotający się w pokaleczonych piersiach.

Po kilku godzinach wysiłków wydarł przekop pod przyciesią i wypadł na ulicę. Chwilę biegał w kółko z nosem przy ziemi. Poczuł znajomą woń i popędził z nią, jak strzala. Kiedy zgubił spotkany ślad, stawał bezradny, wytrzeszczał oczy na przechodniów, jak zbłąkane dziecko. Niecierpliwie, gwałtownie skurczami piersi wciągał oddechy, odbiegał kilka kroków i znów wracał i kamienie braku zlewał krwawymi łzami skowytu. W falach gwaru ulicznego, w chaosie sprzecznych powiewów, odnalał upragniony znak. Zawłócił go daleko poza miasto. Z krzykiem ogromnym rzucił się Burek na wielki domek, stojący tuż za murem cmentarza. Drzwi stały zamknięte. Bił w nie głową, chcąc przełamać zapory, zagrażające drogę do szczęścia. Obłąd podwajał, potrajał siły. W stałe rozpacz orzał klawi, znaczył plamy krwią wycieczoną z pokaleceń, jakby drzewo strugami czerwonych skomleń i błagań, broczyło. Wyl, skowyczał całą duszą, wazynkim bólem. Zmęczony padał pod progiem, ale ogromną mocą

uczucia wbijał oczy we drzwi kostnicy. W mózgu tkwił cierń myśli, że mogą go stąd odpędzić, a tam za ścianą przyjaciel przebywa, za chwilę go obaczy, usłyszy głos, poczuje dłoń...

Rano przysli grabarze. Znów go zbili, skopali i precz odtracili w krzewy cierniste. Pies, mimo boleści, przyczołgał się do nóg niełotostawych okrutnych. Oczy zapadłe rzuciły spojrzenie obłądne, jakby serce w pieniach zakopane po raz ostatni uderzyło, rozpękło się i ranami zaskowyczało. Błagał głosem, wrokiem, tak bezbrzeżnie zbolełym, tak pełnym żałości, że dusza z kamieni drgnęłaby i z ziarna piasku wytopiłaby lzę od wieków utajoną. Za to dostał obcasem w zęby. Bili go tem, co im pod rękę wlało. Ktoś wśród śmiechu gawiedzi przesuwał go przez płot. Burka ukrył się przed ludźmi w gęstwinie pobliskiej. Czekał cały dzień. Dopiero późno wieczorem wypełził ze swego przytulku. Czekał długą noc. W mrok patrzył i mrok w duszy miał. Rano znów przybyli grabarze i znów okazali się ludźmi. To samo powtórzyło się na drugi, trzeci i czwarty dzień. Pies zbity, sponiewierany, ogłuszony, bez pamięci powłókł się do miasta. Od tego dnia wszędzie szukał śladów przyjaciela. Przebiegał ulice ogarniony jedną myślą i tęsknotą, to też nie widział placht papieru z hymnami pochwalnemi na cześć Mazurkiewicza, „dziwnego człowieka, samotnika i twórcy poszukiwanych a rzadkich obrazów”. Nie czytał i nie rozumiał pustych słów. Dla Burka nie istniał świat. Nikogo nie znał. Błąkał się wśród tłumów. Nieraz spotykał kogoś, mającego woń Mazurkiewicza. Radość w nim się budziła. Przez duszę przewijał obraz, niby błąduśmiejch, w którego toni odbiło się przetyte szczęście. Złuda się rozwiewała, nadzieja blada, niby światło księżycyca

ginęła, otulona mgłą smutku. Spazm talu ścisnął duszę a łzy wspomnień jak krew z rany się lały. W czasie poszukiwań mdlał pod murem. W ramionach zimnych wichrów zasypiał nagle, na krótko. Przechodzień czy stróż spychał go z drogi. Pies uderzony wzdrygnął się i przez martwość sou zakwilił. Zbudzony porywał się, pędził w szarugi, w zaniecie. Po sto razy przebiegał te same miejsca, w których ongiś z człowiekiem przebywał. Wpadał do znajomych knajp i w kącie czekał długie godziny, umierając z niecierpliwości. Tęsknotą wypędzony wybiegał na ulice pod kije, podprzekleństwa. W sercu kwitło słodkie, ulne, pokorne pragnienie, aby obaczyć umiłowanego człowieka, aby usłyszeć miłosierne słowa. Często wyczuł zapach Mazurkiewicza, zdeptaną, startą pamiątkę jego kroków, dobytą z pod kopyt końskich, z pod stóp ludzkich. Wdychając ciężko, obwąchiwał ją, aż się zachłysnął jej radością. Przytulał ją, jako najwyższą pociechę. Nadzieja rozloneczniała ciemność duszy. Biegł za błogosławionym tropem. Ten wiódł go do nowej rozpacz. Przejęty ogromem nieszczęścia stawał bez ruchu. Znow zamajaczył zwiód postaci, znow usłyszał głos Mazurkiewicza i bez końca pędził po zaułkach. Ktoś narwał Burka psem-wiecznym tułaczem. Często wygląd nędzarta szczere współczucie budził. Kobiety z przedmieścia cuda o włernem zwierzęciu opowiadały:

— Słyszała pani, ten pies po śmierci tego dziwaka, malarza oglupiał i teraz go szuka wszędzie.

— Widzieliście, widzieliście!... — kiwała druga głową z ogromnego zadziwienia. — Mówią, że pies nierozumne stworzenie. Gdzie tam. Każde ma swój

rozum i swoje serce. Przecie we wszystkim boska ręka.

— Ani się człowiek nie trafi taki

— E, co tam mówić o człowieku. — Ugryźć, zabić, ukrzywdzić, to jego sprawa i uciecha. O, jak biedaczysko zmizerniał, wysechł. Naści kromkę chleba, potyw się. Na — podjedz se — nie bój się — z prawdziwym współczuciem gładziła Burka. — Dobrze psisko — dobre, o, patrz pani, jakie smutne, jakie zapadłe ma oczy... Litość bierze. — Sierota pies.

— Niech się pani nie zbliża.

— Dlaczego?

— Przecie z żalosci gotów się wścieknąć. Może ukąsić. Nie trudno o nieszczęście.

— Moja pani — moja pani — czasem człowiek gorszy od wściekłego psa, a nikt od niego nie ucieka... Co tam mówić — najgorsty pies, to lepszy od najlepszego człowieka...

Burek cichy, potulny, drzał z obawy, że go mogą zbić. Kiedy mu podawano pożywienie, łapczywie połykał i odchodził w milczeniu.

Jednego dnia przeżył straszną chwilę. Ktoś znajomy z knajpy zakrzyknął na całą ulicę:

— Patrzcie, toć to pies Maszkiwicz.

W przechodnicę przykleknął na chodniku i zdjęty litością serdecznie powitał biedne zwierzę:

— Piesiu, toś sam został?... nikogo nie masz?... gdzie twój dobry pan?

Burek stanął, jak skazaniec, dźwigający na rękach, nogach i na styki stufuntowe kajdany. Obejrzał się wokół, szukając przyjaciela. Piernią wstrząsała burza, która rozszarpuje trzewia, ale głosu nie wyda, umierając z niezamierzonej boleści serca. Boli

wznosiły się i opadały w okrutnem jęczeniu i pisku. Męczarnią oczu wykrzychał:

— Nie ma...

Zgnębiony powłókł się chodnikiem. Za chwilę otucha wch wstąpiła. Pognał do domu Mazurkiewicza. Drzwi stały otworem. Jak stalony wpadł do izby, obwąchał resztki nierozkradzionych gratów, rozgrzebał barłóg, skomlać radośnie, pijąc rozkosz woni dobrej. Siadł na tylnych łapach. Nie chcąc trać chwili, wzrok utkwil na drodze, którą przyjaciel wracał. Pragnął jak dawniej wypaść do niego z krzykiem, oprzeć głowę na jego pierśiach...

Oczy wybiegały daleko, ale wracały zawiedzione i płakały nad sercem, czekającym daremnie.

I tam pod drzwiami zatracił pamięć miejsca, czasu i na mgnienie zasypiał. Widział najpiękniejsze chwile. Przez sen przelewały się obrazy niezmiernie dobrej, jaśniały uśmiechy spojrzenia. Śnił, że za chwilę wejdzie Mazurkiewicz a on zapatrzy się w niego oczami młodości, dozgonnej wierności i jak dawniej pójdzie z nieodłącznym towarzyszem na wędrówkę tułaczą... Już idzie — idzie — przez sen słyszy kroki... Człowiek chce coś wyrzec do Burka a jeno lzy ciekną po wychudłej twarzy i rozlewają się na wargach w słowo przedziwne. Z krzykiem rzucił się na zjawę. Cień się rozwił i pies grzmotnął o ścianę i padł na podłogę oghuszony.

Wnet zerwał się, ścigał echo swego jęku, czując w pierśiach skrwawione opanicznie, rozjątrzone w ranę strasliwą.

I tak codzień — i tak codzień.

Włóczył się po ulicach miasta, wystawał na rogach, szukał po zaułkach. W snach tęsknoty widział drogą postać, w halasie tycia miejskiego słyszał

głos przyjaciela. Biegł za szwadami własnych umiłowań. Drogę zagradzały wozy i konie. Rzucał się w tłok, wir, pod nogi, pod koła, pod kopyta. Zawsze i wszędzie spotykał kamienie, kopnięcia, przekleństwa, wiecześniekrzywdę. Potysiąc razydziennie mógł być strasowany. Nie wiedział o tem i nie szuł uderzeń. Ciemność zastawała go na poszukiwaniach. Nie raz przez całą noc i dzień cały po zaułkach tulalo się jego samotne skomlenie, jako płacz mroków i wichrów zimowych. W tulaczce, bezkresnej wędrowce tysiące twarzy widział, ale nigdy nie obaczył drogiego oblicza; w pustkę ulic, w pustkę tycia patrzyły doły ociemniałe z zamartwieniem bólu i rozpaczny trenicami. Te oczy nie wołały o litość, nie cierpiały głosną a tanią boleścią, ale każdej chwili, każdym spojrzeniem wichrom i kamieniom opowiadały o męce godzin opuszczenia i o dziejach swego nieszczęścia. W miejscach znajomych hymn pogrzebowy lkał, ale nie mógł wyszlochać ogromu swego cierpienia. Wciąż dźwigał w piersiach brzemię męki, aby przy spotkaniu z Mazurkiewiczem wykrzyć pokutę wyczekiwać, szaleństwo tęsknoty, płacz długich godzin samotności, aby skatowane, obolałe serce, we łzę radości przemienione, słały u stóp i konać, wpatrując się przygasłym wzrokiem w przyjaciela.

W duszę poją, w duszę wieńcej, przywiązania i przyjaźni wiał snulowany obraz dobrego człowieka. Wspomnienie tycia razem spędzonego, zrodziłe z trenicami bólu, niósł po drogach zawodu w dół, naokopowisko. W dniach daremnej tulaczki, w dniach niewypowiedzianej tęsknoty za żywym człowiekiem ginął nędźnie, zdychał w najstraszliwszej rozpacz, a oczy żebraka bezdomnego, oczy schłostane, zbite, konające po bezdrożach męki szukały drogiego oblicza.

Dla psów bezdomnych nastał sądny dzień. Urządzano obławę. Gawieź miała widokisko niezwykłe. W oknach wychylone głowy, na chodnikach słończone gromadki ciekawych. Wszyscy z lubością patrzyli na szamotanie schwytych zwierząt, okrzykami przyjmując skomlenie wleczonych po sękatym bruku. Niektóre psy miały się w ciasnych zaułkach, nie mogąc uciec, inne ogarnięte szalem trwogi rzucały się w tłum. Jeden psiak mały, zbiedzony, ogłupiał ze strachu, plątał się między nogami. Nie chciał opuścić swej kryjówki mimo kopnięć. Wypędzono go jednak na środek ulicy właśnie wtedy, kiedy zbliżał się oprawca. Pies schwytyany skręcił się nokoło hyclowskiego kija, owinał go jękiem, ciałem i straszmem spojrzeń skargi czy przekleństwa.

Gwar potężniał. Ulicznicy wbiegali na dziedzińce, przeszukiwali wszystkie kąty i wypędzali gromady włóczęgów. Obława już była blisko legowiska Burka. Nie mógł teraz wybiec. Wtulony w załom pragnął się rozplaszczyc, zniknąć. Wyl w ziemię głucho. Nie uszedł swego losu. Wypędzony kamieniami rzucał się do ucieczki. Tuż za sobą czuł pościg, słyszał stukot kroków i groźny, okrutny krzyk:

— Wścickły pies!

Był pewny, że nie uniknie pościgu. Z pierścienia wrzasku i pomstowań wypadły kije, kamienie, smar-
de grudy i celnie weń trafiały. Czuł kilkakrotnie za-
rzucony sznur. Żwonię, cudem unikał niebezpieczeń-
stwa. Wyczerpany ~~ostawał~~ w biegu, zdając się na
laskę losu. Nagle posłyszał skomlenie. Spojrzył w bok.
Niedaleko stała hycłowska buda. To zamknięte psy
gryzły, szarpały żelazne kraty kaźni. Jacyś urwisze
drażnili zwierzęta pręcikami, bili po nozdrzach, szy-
dząc z bezsilnej złości nieszczęśliwych. W Burku za-
skuwczwały głosy uwięzionych. Wtem pętla, niezgra-
bnie rzucona, chwyciła Burka za tylną łapę. Czuł, że
oprawca wleczę go po bruku, że za chwilę zaciągnie
do klatki. Zamarł z przerażenia. Z budy wytrysnęły
skargi uwięzionych. Ich żalością wstrząśnięta, wyrwa-
na z odrętwienia dusza, zaczęła się miotać dziko,
jak ptak postrzelony. Uharczał, szarpał się, darł zie-
mię pazurami, ale niewiele pomagało. Szaleńcza
myśl opanowała go, aby wyrwać się z więzów. Za-
bolewały go wspomnienia wyrobniaka, chłostnęły serce
baty poganiacza. Teraz zginie lub pójdzie w służbę
wardą. Zerwał powróż. Raczej pędzić tydzień włóczęgi,
byle żyć. Bunt przeciw niewoli i śmierci. Rozpacz
dodała mocy. Zwarł wszystką wściekłość sił. Roz-
tarty, dygotający na całym ciele skoczył do gardła
hycia.

Zatrzępotaly ręce Zelialy więzy,

Celowiek padł na bruk.

Pierścień złości ludzkiej rozpękl się przed klami
zwicj ęć

~~Burka~~ sunął naprzód. Już rzadka poleciał za
nim kamień. Czasem z bólu zaskomlał, zachwiał się
i gwał. Wrzawa z tyłu zostawała, cichła. Odległość
odgradzała psa od ciosów. Pędził, włókl się, pelzał

do swojej kryjówki, schowanej za parkanem ogrodu opustoszałego. U kresu swej morderczej wędrówki Burek osłabł, zatoczył się i upadł bez czucia w barłóg śniegu. Przyszedł twardy sen. W czasie tego odrętwienia doznał wrażenia, że zgraja ludzka zabiegamu drogę. Wrzawę tysiąca ust, stukot tysiąca obcasów ma w każdym loskocie krwi. Uciec — uciec, nie słyszeć, nie widzieć, nie czuć. Niech ziemia się rozpęknie i ukryje go przed kamieniami spojrzeń i słów ludzkich. Przez sen przeabiał pokaleczonemi nogami rozpacznie, daremnie. Po obudzeniu ule miał się dźwignąć się z miejsca. Dusił w sobie skomlenie z obawy, aby człowiek nie wytropił go i nie przyszedł z kijem. Pazurami darł zmarzły śnieg, twarde, sękatę grudy, chcąc wgryźć się w ziemię, zapaść przed pościgiem przesladujących go manjusków.

Przyszedł mroźny wieczór i zaświecił księżyc. Po aklepieniu przechodziły upojone światłem obłoki i zdawało się, że to słotecznicę bocheniową pierzaste, wroskach wykapanie chusty, aby niemi ocierać łzy poświęty. Na ziemię spływał blask, niby ptak na srebrnych skrzydłach. Na pościółce z białej mienili się drobne kryształki, ścięte wieczornym mrozem. Gasły, to znów migotały, alekroć promienie przytuliły je do świeżanych ust, chcąc je scałować i unieść w wyżynę — w jasność niebios. Na opustoszałym ugorze kilka samotnych drzew rosło, pod niemi cienie, jakby z świetlistych więzów opadły dusze i nie miały sił waleć z tego śnieżnego pola. Ciszę przegarniały ledwo wyczuwalne powiewy. Słychać było szum jasności, pierścącej grudki śniegu. Podmuchał unosząc postacie z łoża srebrnego, poczem kładł na posłanie i usypiał przesliczną bajką księżycowej nocy, utkanej z westchnień blasków, ze skrzesz gwiazd,

z szeleatów rozpylonych promieni. Czasem gasł ten świat czarodziejski, jakby jego urok unosiły powie-
wy w obłokach i ukryły za podwojami nieba.

Ta cisza koła poranionego Burka. Chłód groźny
gasł ogień bólu, śnieg, niby wilgotnachausta, ocierał
krople krwi, ciekącej z pokaleczeń, zabierał jęk
i chował w spowiciu bitli. Teraz nic mu nie dole-
gało. Leżał w błogiem omdleniu. Było mu dobrze,
spokojniei bezpiecznie, jak za dawnych, szczęśliwych
czasów przy Mazurkiewiczu. Z głębin obolałych ran
ulatywały uczucia, które były wyrazem miłości. Po
pewnym czasie obudziły go kroki ludzkie, donośne
w tym zamartwylm zakątku. Podwignął czerepgłowy.
Słuchał. Posypały się suche grudki. Ach, to tu nie-
daleko posypały się grudki. Ach, to tu niedaleko
znajduje się śmietnik, tutaj co wieczora czyjaś ręka
rzuci dla niego skórki chleba i okrajki wędlin.

Może to o północy zjawia się przyjaciel z da-
kami dobroci. Wstać — wstać, spojrzeć w oczy mi-
osiernie, usłyszeć głos taki pełny. Z największym
rudem wyczołgał się na ulicę. Tuż niedaleko zama-
aczyły bryły postaci. Nie zdawał sobie sprawy, kto
to. Widział własne pragnienia, tęsknoty i do nich
dązał. Wybuch uczuć przytłumił na chwilę wszelkie
cierpienia. Podobny do cienia przemknął się przez
świecką przestrzeń. Przypadł do nóg, podniósł oczy,
by ich dolami spojrzeć, aby wszystkie męczarnie
złąki przemienić w jedno spojrzenie i wyłkać dające
wzrogo opuszczenia. Gasł też, spalał się i wyblysł
gomieć z krynicy łez i uśmiechów.

Dźwignął przednią łapę, pogladził po kolanach
nieznajomą kobietę i radośnie zaskuczał. W tym
dźwięku męfeliło się wszystko : szal saczęcia i śmiech
i ślacz tęskoty.

Jakiś starszy pan, stojący obok na kraju chodnika, dopiero w ostatniej chwili spostrzegł widmo Burka. Przeratony, rzucił się z krzykiem:

— Ciesiu — pies — może wścickły!

Kobieta cofnęła się gwałtownie i całym rozmachem kopnęła natręta. Pies odpadł z najboleściwszym skomleciem.

Burek, leżąc na bruku, uniósł głowę, patrząc na oddalające się postaci. Obraz ich stoczył się w głąb piersi i zawił skargą bezbrzędnej, niezasłużonej krzywdy.

Nawet nie drgnął, kiedy zmęczony przechodzień potknął się na tobole jego ciała, zaklął i zepchnął go w rynsztok.

— Jakieś ścierwo na drodze zawadza.

Pies czuł ból kopnięcia, ale nie mógł się po skartyć... był jak wyrzucony na bruk żebrak, który padł na kamienie, ręki nie może unieść a jeno spojrzaniem skomli, kiedy go deptą stopy ludzkie, trącają wozy.

Burek był bezsilnym, bezbronnym żebrakiem.

Burek, osłoniący parkanem, kilka dni przeleżał w swej kryjówce. Tutaj żaden głos go nie ści gał, żaden kij nie uraził. Wieczorem, kiedy życie miasta całkowicie zamierało, osłabiony wypelzał do najbliższego śmietnika. Wprost szaleństwem wysiłku, na jaki może zdobyć się zgłodniały, rozgrzebywał sterty, szukając pożywienia. Utrudzony gryzł, mamlał słodowaciałe ochlapy. Nabrał tyle sił, że mógł się na nogach utrzymać. Za dnia jednak nigdy nie ukazał się na ulicy, która mu się przedstawiała, jak ogromna pętla hycłowska, strzeżona przez stróżów. Dalszy pobyt był niemożliwy z powodu ciągłej obławy. Widział kres swój: będąc a pod nią nieuchronne przeznaczenie: dół na okopowjsku. Z miasta wypędzała go wrzawa niemała, ~~niebezpieczna~~, bezlitośna. Chciał uciec przed nią. W pewnej chwili od ruch wewnętrzznego przerażenia pchnął go naprzód.

Była ciemna noc a on, drżąc z lęku, pełen podejrzliwości, cichaczem się przemykał odludnemi zaułkami. Wciąż mu zabiegały drogę oczy nienawistne i zarzucające zdradzieckie postronki, to znów ukazywał się majak rakaria, cichającego na ofiarę. Z ulgą odetchnął, kiedy zostawił za sobą ostatnie domy.

Przed nim odnietone pole a w oddali jawił się upragniony cel — jakby ognisko sercem rozpalone. Ku niemu zdątał. Zapach wspomnień, napołykanych na drodze, którą tylekroć przebył, brał na zachętę i pokrzepienie. Wichremrzucony, zadymką przykryty znajdował legowisko pod przydrożnym kamieniem. W czasie swej wędrówki przypomniał sobie sposoby życia, jakich się nauczył w ciężkiej szkole w mieście. Zagnany głodem, wpadał w nocyna podwórza i kradł, co mu pod paszczykę wpadło. Nieraz udało mu się chwycić na ziarnie pod zapaską opieki ludzkiej zgłupiałą kurę. Ze zdobyczą uciekał w pole i w gęstwinie poterał. Nie zawsze jednak uchodził szczęśliwie. Nieraz musiał wypuszczać kęs w trudzie zdobyty. Po nieszczęsnej wyprawie lał skałeczenia i zlewał je łzami.

Jednego wieczora padł u wrót czyjejsz chaty. Obudził się na wyrku okryty kabacina w stajni. Pa-stuch w tajemnicy przed gospodarzem, pielęgnował osłabionego psa, dzielił się z nim swoją strawą. Burek zachowywał się zupełnie obojętnie. Letał zamilkły, ponury, myśląc, że mu przyjdzie tu na zawsze ostać. Więc po to uciekał, aby zginąć wśród obcych. Szamotał się, rwał, chcąc uciec. Klął głowę na korlanach chłopca, o coś go błagał, może, aby go wolno puścił a może, aby mu sił dodał. W tej niewoli dobroci wybuchały oczy płaczem i serce, przywiązane do obcej budy, płakało gorzkimi łzami. Wkońcu udało mu się wymknąć przez uchylone drzwi. W tej samej wsi opadły go gospodarskie psy z groźnym ujadaniem. Nawet nie usiłował walczyć. Osunął się na ziemię i bezsilnym wrokiem popatrzał na pastników :

— Cóż chcecie? — idę swoją drogą... nie słuchajcie się przed wasemi kłam, zabijcie...

I stał się dziw. Kruczki, Mruki, Targaje z opuszczonemi oczkami, zawstydzone rozpięrzchyli się.

Trud go nie zrała, przeszkody ~~nie zniechęcały~~. Poraniony, zgłodniały, mordęgą pokaleczonych nóg zdobywał każdy krok. Podążyłby teraz nawet przez góry, rzeki, poprzez ciosy i kamienie. Śpieszno mu było dotrzeć do drogiego celu. Włókł się gościńcem tęsknoty — jaki wytyczyło przywiązanie i uczucie psa. Cienie drzew, rzucane na śniegu, łączył mrozolnym krokiem czarny, samotny wędrowiec, zaplątany w śnieżyce, zagubiony na pustyni mroźnej.

Daleko, na widnokręgu, słońce rozkwitło w liściach purpurowych chmur.

Rozbitek, włóczęga wyterany w nędzy, ohydzie, skopany srogimi ciosami losu szedł ku temu jasnemu słońcu drogą przygód, niebezpieczeństw, zdążając ku radości, wschodzącej wśród zórz.

Deptał po różowym blasku i po śniegu, jakby po różach i liljach, zasadzonych błogosławioną ręką nadziei przez Niebieskiego Ogródnika na grzędach zmarzłej ziemi...

Z oddali podmuch przyniósł łabą wieść. Burek głodem sercem wciągał znajomą woń, rozniecającą nadzieję. Poczul napływ nowych sił. W źrenicach wzeszło odbicie niebios. Pragnął przygarnąć obraz szaleństwem miłości. Wspiął się na niewielkie wzgórze. Przed nim nieznanym widok. Równina zamrała, okryta całunem. W niektórych miejscach wiatr zerwał biel i widać było skorupy zastygłych ran, zręby zgorzelisk, słupy spalonych kominów, rozkrzyżowane drzewa. Czarne plamy gruzów łączyły się, krzytowały i splatały w ścieżki udręki, w głębokie zmarszczył trosk, utrapień na obliczu ziemi. Wzrok psa ślaniał się wśród ~~magil~~ i nagrobków tego cmentarza, obarczony obrazami zgorzelisk, wstrząśnięty grozą zniszczenia, padał ze skomleniem.

— Gdzie jestem? — co to za okolica?...

Wspiął się pracowicie po garbach wzniesień, zapadając w zasy, w doły, potykając się o belki. Sęki i pazury tężalstwa rozdzierały skałeczenia, jakie zebrał na drogach swego życia i na szlaku swej ostatniej morderczej wędrówki. Krew obficie wyciekała i niezatamowana tężała w skrzepach czarnych. Po każdym silniejszym szarpnięciu budziły się sidsociosy, kopnięcia z całego życia i rozcinały ciało ostremi nożami. Ból przeżywał w rozmaitych kierun-

kach. Dla Burka każda skiba była gdrą nie do przebycia, lada bródka stawała się bezdenną otchłanią. Oblepiony skorupami krwi i popiołu dotarł do zagrody, której zapach leżał na rozognionych ranach jako chusta ukojenia i ochłody. Miejsca znajome, drogie, ponad wszystko ukochane, a teraz takie inne, obce, tak bardzo zmienione. Węszył, nasłuchiwał, krąjąc ścieżkami, które tylekroć co dnia przebiegał, ale one poplątały się i zaginęły w rumowiskach zgnębienia i zwątpienia. Stał. Zapatrzył się. Serce przestało bić.

Tak, to upragniony cel! Światło zmętniało. Na oczach pomroka, cały obraz we łzach. Półno w noc w otworse budy, ogaconej deskami, ukazał się w łach manach człowiek. Stawał wśród gruzów, dźwigał nogi z miejsca na miejsce, z załamaniem rękami patrzył na perynę, ~~na mogiły szwedzkie~~. Zdawało się, że o tej przeklętej godzinie, komin opuszczony poruszył się i teraz sunie szarobiony, udreńczony wśród drzew spalonych, które wyciągały nagie, szerniałe, pokręcone skurczami pieszczące ramiona nuby zamary krzyk ludzkiego bólu.

Człowiek siadł na ulamku podmurówki.

Pies czuwał się po gruzach, padał omadlały i lkał, skomlał w zmarzłe grudy i chciał jak ta gruda, w której osierdriu pulsuje mocne, szalone pragnienie, dowiec się do człowieka, wykrzyknąć ból po stracie przyjaciela, znaleźć schronienie w budnie ludzkiej opieki i szdychać pod dachem spokoja. Z radosnem skondeniem, usay i szczęśliwy złożył głowę na kolanach i piszcząc, płacząc, lizał ręce. Mową miłości i tęsknoty opowiadał tajemnice serca.

Kowalik dźwignął głowę ze spleców załamanych rąk. Długo patrzyły na siebie, nie dając znaku ty-

cia, trzy widma nędzy, bo człowiek, pies i ziemia udręczone i zgnębione miały ten sam wyraz smierci.

Po chwili w obliczu ludzkim znać ogrom wysiłku, wydzierający myśl z pod stert rumowisk. Zrazu drobny płomyk w żrenicach, potem błady rozlew i strumień blasku, który zagasił natychmiast. Człowiek poznał Burka po oczach, pełnych wierności i przywiązania.

Ramiona zatrzepotały gwałtownie — jak skrzydła konającego ptaka, nie uniosły się jednak dopowitania. Wypchnięte ciężkiem westchnieniem nagle rozszerzonych piersi stoczyły się słowa w odłamki cegieł, w popiół:

— Widzisz... widzisz... tyjowizna... krwawica lat... Pocios przyszedł?..

Piec odepchnięty zaskomlał, owił nogi gospodarza skurczem srołochu, zdawało się, że to ofetywa istota, ale gruda ziemi przepojona łzami ~~—~~ pokoleń ten rozdzierający głos wydała, zapłakała, zawyła u progu spalonej chaty.

Człowiek już nic nie rzekł. Siedział naprzód podany, z opuszczonemi rękami, jak drzewo burzą wyrwane z gleby rodnej, ledwo opierające się na krawędzi rumowiska.

Kiedy piesunął głowę, Kowalika już nie było..

Gdzieś jeno wiatr oparł głowę o ścianę i drapał pazurami i skowyczał... chodząc po zgliszcach. Ostatki podpalonych drzew skrzypnęły, dygotały, jakby przeszycie okropną marą wspomnień. Ciężkie mury wypętały, przyczajone, ponure i sały polami. W ich spowiciach księżyc tracił blask, mętniał, niby oko konające, zachodzące bielmem. Jeszcze słabo na wysokościach majaczył. Widmowo błady tchnął światłem, podobnem do gromnicy, otulonej smugą dymu.

Martwią. gał jeszcze raz przedarł chmury i zapadł w otchłani ciemności. Świat usnął bez drżenia, bez szeptu spowity. w czarne plachty milczenia i noc.

Po długich godzinach obudził się dzień szary, omroczony, zmłodowany, przemarnięty. Piescierając umęczone oczy chustami chmur, późno wyjrzało słońce. Było bez światła, jakby zamarło na wysokościach a teraz po omentarzach niebios błędził duch jego. W widmowej jasności zręby podpalonych domów sterezały podobne doślepców, patrzących w czeluść nicości wytartymi oczodołami, które nigdy w życiu uśmiechów zorzy nie zasnaly

Nadciągało stado kruków. Nie było widać ich czarnych postaci. Tylko krakaniem dawały znać, że przybywają całą gromadą, głodem przypędzone. Soneły powoli po sklepieniu Wypłynęły z pośród chmur, jakby z obrzydliwych, zablokowanych gniazd. Z wrzaskiem opadły na stertę gruzów. Stały bez ruchu skostniałe, głodne, osepiałe, z napustonemi piórami. Jeden tylko przewodnik niespokojny nie mógł ustać w miejscu. Odszedł od stada i na własny dziób czy ni poszukiwania. Kroczył powarnie, sibly mędrzec w żalibne szaty przyodziany, czasem kiwnął się, zerkał badawczo, podumał nad nicością popiołu i ruszał dalej, nie dając się uwieść pozorom. Opodał zobaczył wszędobylską srokę. Ta z rozgrzebanej zasy wywlókła jakąś chabaninę. Skoczył ku niej. Nie czekając, at jej wyrwie zdobycz, zatrzepotała skrzydłami. Zły dzobną ostatek, zaklął, pogroził i dusząc w sobie zemstę, pomasterował ku piecowisku. Przechylił głowę, spojrział w dół i zdumiony stanął. Radośnie i dziękczynnie mrukał:

— Widzi mi się, pies zdechły. Kruk nad krukami biedoka nie opuści, ale głodnego opatrzy

i brzuch napelni łaską zarcio... Niechże będzie wielobiony nasem krokanem.

Zawrzeszczał na całą wieś, rozpuścił skrzydła. Na ten sygnał czereda zakrakala i popłynęła za wodą.

Okrutny, piekielny wrzask obudził Burka. Powieki rozdarły się od wewnętrznego wstrząsu. Z pod skrzepów przesączyło się spojrzenie, niby struga krwi, w której odbiło się stado czarnych oprawców. Targnął się, chcąc uciec. Ciało stało się niezmiernie ciężką grudą, wrosła w rany ziemi. Westchnął głęboko i głowa legła na posłaniu śniegu, poddając się losowi. Oko szeroko otwarte patrzyło w niebiosa. ~~Moje~~ — ~~stęsknione~~ spojrzenie ~~wybiegalo~~ — ~~w~~ ~~wyżyny~~ i ~~blaskając~~ się po niezmiernych przestworzach szukało ukochanych twarzy...

Moje duch Mazurkiewicza wyszedł na rozstaje dróg niebieskich i z wysokości przesuwał oczyma wypatrywał, czy z padobu ziemskiego niezdąta przyjaciel wierny, jedyny, dożgonny.

Moje

Ale onego ranka jeno kruki zakrakaly, jeno zgłodniałe kruki spadły na to tywe oko, patrzące w niebiosa.

Nad włóczęgą sterzczało drzewo samotne, oblatarte nędzne. Szarpane gwałtownym podmuchem zachwiała się, zachrzęciło. Opalone konary raz wraz trzasnęły. Zdawało się, że targnięte ramiona chcą spleść czarne, obumarłe palce, a usta usiłują wyszeptać pacierz wieczystego odpoczywania nad psem bezdomnym.

KONIEC.





